

KLEMENS JUNOSZA

CZARNEBŁOTO

(PAJĄKI WIEJSKIE)



1936

NAKŁADEM BIBLIOTEKI DOBRYCH KSIĄŻEK

Ł O M Ż A

BIBLIOTEKA DOBRYCH KSIĄŻEK
WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC
RED. I WYDAWCA: KS. A. ROSZKOWSKI

KOMPUTER

KIEROWNIK LITERACKI: A. L. SZYMAŃSKI

WARUNKI PRENUMERATY

z przesyłką pocztową:

	w broszurze	w oprawie
kwartalnie .	zł. 2.50	zł. 4.—
półrocznie .	zł. 5.—	zł. 8.—
rocznie . .	zł. 10.—	zł. 16.—

Cena pojedynczego tomu: zł. 1, — w oprawie zł. 1.60

Redakcja i Admin. B. D. K.: Łomża, Okrzei 13

SKŁADY GŁÓWNE:

w Łomży — Biblioteka Dobrych Książek, Okrzei 13
w Warszawie — K. T. W. „Kronika Rodzinna”, Podwale 4

TOM X

Ł O M Ż A

ROK 1

19

Czcionkami Druk. Diec. w Łomży

36

ROZDZIAŁ I.

w którym mowa o misternym świata urządzeniu, o siatce koronkowej, rozciągniętej na jego powierzchni, tudzież o niejakim filozofie, mniej głośnym.

Jeżeli patrzymy na zegarek powierchownie, nie widzimy nic osobliwego: cyferblat i dwie wskazówki; ale gdy otworzymy kopertę i zapuścimy wzrok do wnętrza, da nam się widzieć cała, prześliczna, delikatna maszyneria: koła, kółeczka, kawałeczki, sprężynki skombinowane, skomplikowane dziwnie, połączone ze sobą.

Każda cząstka pełni swoją czynność. Każda wykonywa ruchy, ściśle wyrachowane i określone.

Rozumie się, że człowiek zwyczajny i nieogładzony, zdatny tylko do ciężkiej pracy, do łopaty lub siekiery, nie pozna się na kunsztownej mechanice, ale zegarmistrz, okiem znawcy, zgłębi jej wszystkie tajniki.

Odnosi się to nie tylko do zegarka, ale i do całego świata, który, jeżeli się głębiej zastanowimy, jest nie co innego, tylko ogromny zegarek. Biorąc to zdanie wprost, naodwrot, jeszcze raz naodwrot i w znaczeniach przenośnych, kombinując je z tym, co widzimy oczami, dotykamy rękami i czego wreszcie domyślamy się siłą naszego umysłu, przy-

chodzimy do rezultatów zdumiewających i do wniosków takich, które człowieka, nieprzyzwyczajonego do ciągłej pracy myśli, mogą przyprowadzić o gwałtowny ból głowy, a nawet i o gorszą słabość.

Uszer Engelman nie lękał się takiego wypadku dla dwóch powodów: przede wszystkim był biegły w myśleniu, jako największy filozof miasteczka, powtóre zachowywał ściśle przepisy higieny umysłowej, to jest: nosił czapkę jedwabną bardzo lekką, tył głowy strzygł nader krótko, a co trzy tygodnie na karku, w tym miejscu, gdzie się głowa kończy, a szyja zaczyna, kazał stawiać sobie jedną ciętą bańkę.

Jest to znakomity i wypróbowany środek na to, ażeby głowa była zawsze zdrowa, a umysł bystry i lotny.

I to jeszcze dodać należy, że Engelman nie miewał nigdy zbyt obciążonego żołądka. Jadał on raz na tydzień rzeczy pożywne, i to w niewielkiej ilości, a przez sześć dni pozostałych żywił się tylko chlebem, kartoflami, cebulą lub rzodkwią.

Może dlatego, może jeszcze dla innych przyczyn, widział on wiele rzeczy nie w takim świetle, w jakim widzą je zwyczajni ludzie i rozumiał to, co dla głów ciężkich wcale nie jest dostępne.

Ten to człowiek usiłował przeniknąć kombinacje mechanizmu świata i nieraz całymi dniami i nocami nad tym pracował.

Dlaczegoby nie?

Przede wszystkim miał głowę, powtóre miał dużo czasu, potrzecie lubił myśleć. W takich warunkach można kombinować i tyle, ile się podoba.

On też kombinował.

Czasem kreślił kredą na czerwonym stole figury geometryczne i wpatrywał się w nie okiem bystrym. Ze wszystkich, jakie znał i jakie rysować umiał, najbardziej podobało mu się koło, jest ono albowiem zamknięte doskonale, samo przez się przedstawia obraz skończonej całości, a jego obwód nie posiada ani początku, ani końca.

Kombinując dalej, spostrzegł, że jeżeli z jednego punktu zakreślać koła, z początku małe, potem większe, to się utworzy dużo kół, mających wspólny środek, a jeżeli nakreślać koła z różnych punktów, to się utworzy dużo kół, mających środki każde na swój rachunek i bynajmniej nie wspólne.

Zachodzi pytanie, co komu z tego przyjdzie? Cierpliwości!

Dajmy na to, Engelman mieszka w miasteczku, które się nazywa Czarnebloto i dajmy na to, że to miasteczko Engelman obrał sobie za centrum, za środek koła. Jeżeli rzuci okiem na wschód i na zachód, na południe i na północ, to zobaczy, że miasteczko otoczone jest płaszczyzną, wydającą się oku ludzkiemu wielkim kołem, zakreślonym przez promień tak długi, jak daleko ludzkie oko widzi.

Cóż jest na tej płaszczyźnie, mającej dokładną formę koła? Są wioski: Olszanka, Brzozówka, Wierzbówka, Zatraceniec, Koziedolki, dwie Wole i trzy Wólki, Ciepła Wola i Zimna Wola, Biała Wólka, Kurza Wólka, Lisia Wólka. Co więcej? Są lasy pola, łąki, stawy, rzeki, młyny, folwarki, chaty chłopskie — a środkiem tego koła jest Czarnebloto.

Idźmy dalej.

Jeżeli Engelman pojedzie o dwie mile dalej, przypuśćmy, że do swego brata, albo szwagra,

gdyż posiada rozległe stosunki familijne, to znajdzie miasteczko Białebloto, które znów dla swej okolicy będzie centrum koła, o trzy mile dalej to samo, o pięć, dziesięć, piętnaście, trzydzieści, jeszcze to samo.

Gdyby na wielkim arkuszu papieru odmalować fizjonomię naszego świata, jego podobiznę, wziętą z lotu ptaka i gdyby oznaczyć wszystkie punkty centralne i wszystkie koła, zrobiłby się śliczny, misterny, delikatny deseń, z samych kół i punktów skombinowany, coś w rodzaju koronki brabanckiej lub... pajęczyny. I znowuż pytanie: Do czego to prowadzi? Co znaczy deseń?

On dużo znaczy.

Wobec owej siateczki delikatnej jest fizycznym niepodobieństwem, aby jeden chociażby korczyk zboża, wymłócony w chłopskiej stodołę, choćby jedno ciele, wyhodowane w oborze, choćby jedna kura, jedno jajko, mogło wydostać się z tej sieci i wyjść po za jej granice, nie zawadziwszy o jakikolwiek centr.

Owóż na tym właśnie opiera się cały finansowy i życiowo praktyczny mechanizm, który bystrym okiem obserwuje i bada cichy filozof, Uszer Engelman.

Engelman żywi to przekonanie, że niema siły, któraby mogła rozerwać zadzierzgnięte oczka tej siatki i popsuć delikatny deseń koronki, którą pokryte jest oblicze ziemi, niby twarz pięknej oblubienicy, mającej stanąć pod baldachimem ślubnym.

Ale nareszcie: któż jest Engelman?

Powoli... Z taką osobą nie można nagle, tymbardziej, że i odpowiedź na to pytanie łatwa nie jest.

Możnaby wprawdzie powiedzieć odrazu:

Engelman, to jest Engelman — i byłaby to odpowiedź względnie dobra, ale zakrótką i niemającą znaczenia dokładnej informacji. Nie można też powiedzieć, że Engelman, jest to Izraelita, zamieszkały w miasteczku, zwanym Czarnebloto, bo w Czarnymblocie mieszka trzy tysiące dwieście siedemdziesięciu pięciu Izraelitów, licząc w to kobiety i dzieci.

Nie można również powiedzieć, że Engelman jest kupiec lub kapitalista, gdyż handlu on nie prowadzi, a cały jego majątek, ruchomy i nieruchomy, oszacowany bardzo grubo i hojnie, wart jest, licząc w to część domu, kosztowności, meble, garderobę i bibliotekę, osiemdziesiąt dwa ruble i coś kopiejek.

Trudno też powiedzieć, że jest to mąż uczony, gdyż uczonych w Czarnymblocie jest co najmniej trzystu, ale jeżeli powiemy, że Engelman jest to Uszer Engelman, tośmy powiedzieli wszystko.

Usłyszawszy to imię i nazwisko, małe dziecko cmoka ustami, jak gdyby zjadło makagigę, mąż gładzi się po piersiach, jakby po wypiciu kielicha zielonej szabasówki, a kobiety wyrażają swój zachwyt westchnieniami i mówią:

— Oj, oj! to chluba całego miasta, to jest ozdoba Sjonu!

Jak wygląda ozdoba Sjonu?

Zaprawdę, wcale niepokaznie i niktby się nie domyślił, że wielki duch mieszka w takim marnym ciełe. Ozdoba Sjonu trzyma się pochylę, lewo łopatkę ma wystającą, oczy podkrążone, powieki z czerwoną obwódka, nos długi, twarz kościstą, brodę i wąsy rzadkie, rude, przyprószone gęsto siwizną

Tak wygląda ozdoba Sjonu.

Szaty na nim nie rażą elegancją, przeciwnie, jest w nich raczej wielki urok zaniedbania.

Kapota u dołu nosi na sobie zeszlóroczne błoto, nie brak na niej łat na dziurach, ani dziur na łatach, buty są ozdobą szczątkową, pas bawełniany, czarny niegdyś, jest tak spłowiały, że najbiegły farbiarz nie potrafiłby nazwać jego obecnego koloru.

Słusznie powiedział o Engelmanie pewien mąż, że podobny on jest do starego i bardzo już zniszczonego futerału, zawierającego w sobie cenny klejnot. Z futerału tego skóra zupełnie oblaźła, wypłowiał on, zrudział i napozór nie posiada żadnej wartości, ale proszę go otworzyć i zobaczyć, co w nim wewnątrz jest!

Wielki brylant!

Dlatego też, pomimo powierzchowności niepokążnej, Engelman przyjmowany bywa z honorami u wszystkich notablów czarnobłockich. Kupiec zbożowy, taki, co ma tysiąc rubli własnych pieniędzy w obrocie, ubiega się o jego przyjaźń; panowie kahalni zapraszają go do towarzystwa, żonę ma z wielkiej rodziny, wprawdzie niebogatej, ale bardzo znacznej, z takiej, w której byli wielcy uczeni i rabini. Dzieci dał mu Pan Bóg siedmioro, śliczne potomstwo! Używa on poważania i miru w całym Czarnym-błocie, a słowo jego cenione jest na wagę złota.

Engelman jest obywatelem miasteczka, posiada on w jednej czwartej części szóstą część z połowy nieruchomości przy ulicy pryncypalnej, co daje mu mieszkanie w jednej połowie stacji do wspólki ze szwagrem, a jego żonie prawo gotowania kaszy i kartofli na wspólnym kominie.

Z czego Engelman żyje?

Na to pytanie on sam nie potrafiłby odpowiedzieć.

Majątku nie posiada, dochodów stałych nie ma, niestałe trafiają mu się tak rzadko, że nie ma ich co liczyć. Żona jego cokolwiek handluje i utrzymuje dom — sam zaś Engelman, pogrążony w kombinacjach wyższych, nie zajmuje się tak pospolitymi kwestiami, jak to, co jego dzieci dziś lub jutro jeść będą.

Dzięki takiemu odosobnieniu się od spraw prywatnych, Engelman zrobił kilka znakomitych odkryć, pomiędzy innymi to, że niemasz takiej wioski, do której nie prowadziłaby droga przez miasteczko, ani takiego miasteczka, do którego droga nie wiodłaby przez wioskę; że zaś we wsiach mieszkają chłopci i szlachta, a w miasteczkach żydkowie, a na świecie panuje ciągły ruch, więc jedni o drugich nieustannie ocierać się muszą, a na takim wzajemnym ocieraniu się polega cały mechanizm świata.

Jeżeli owca przechodzi przez gęste krzaki, na każdym pozostawia trochę wełny; dla owcy strata nieduża, a ptaki mają z tego posłanie do gniazd; jeżeli chłop wiezie zboże w starym worku, to zboże sypie się po drodze; chłopu niewielka strata, a ptaki mają z tego pożywienie; jeżeli wieś ociera się o miasteczko, zawsze coś przy miasteczku pozostaje; wsi niewielka strata, a miasteczko ma z tego życie.

Tak wygląda tok myśli i takie ma zdanie Uszer Engelman, filozof z Czarnogoblota.

Świat o nim nie wie, ale on wie o świecie; świat o nim nie myśli, ale on przy myśleniu o świecie posiwał; świat go nie zna, ale on zbadał całą jego mechanikę.

ROZDZIAŁ II.

Przebudzenie się lwa, krótkie objaśnienie geologiczne, oraz słówko o moralności czterdziestodwuprocentowej.

Piszący te słowa mniema, że nie popełni czynu karygodnego, jeżeli zaraz z miejsca odwróci ten rozdział na drugą stronę i, zanim zacznie mówić o lwie, skreśli mały traktacik geologiczny.

Wiele rzeczy na tym świecie zaczyna się od końca, a wiele też jest i takich, które mają dwa końce i tym samym zaczynają się niewiadomo skąd.

Nie gdzieindziej to przecie, ale w sławnym i bogobojnym mieście Czarnymbłocie, wiedli dwaj uczeni spór naukowy na temat: skąd się zaczyna ryba? od głowy, czy też od ogona?

Obydwaj mędracy przedstawiali argumenty i dowody równej siły, na skutek tego dysputa nie mogła być rozstrzygnięta inaczej, jak przez arbitra, któremu pod względem nauki i jedna i druga strona przyznawały wyższą kompetencję.

Wezwany bacznie wysłuchał, o co idzie i przez długą chwilę zastanawiał się głęboko, patrząc na przedmiot sporu, leżący na półmisku, następnie wziął z ryby co największe dzwonko, zjadł je, piwem popił i rzekł:

— Nie zaprzeczycie, dobrzy ludzie, że ta ryba, jeszcze przed kwadranssem cała, jest już obecnie zaczęta, niechże teraz pouczą was własne wasze żrenice, skąd zaczęta została. Cokolwiek bądź chcielibyście zarzucić mojej metodzie, fakt przecież jest faktem i obecnie możecie już, bez żadnej pomocy, dojść, na czym

się ryba skończy: na głowie, na ogonie, czy na drugim dzwonku?

Ten spór, o którym dużo swego czasu myślał i opowiadał Uszer Engelman, do dzisiejszego dnia jeszcze zajmuje umysły poważnych obywateli Czarnegołota i dzieli ich na dwa stronnictwa: partię głowy i partię ogona; orzeczenie bowiem arbitra zyskało tylko aprobatę ze strony prostaków i żarłoków, ale nie dostało honoru uznania przez myślicieli prawdziwych i głębokich.

Również nierozstrzygniętą i do dziś dnia otwartą pozostaje druga kwestia: skąd się zaczęło miasto Czarnełoto.

Ani tradycja starożytnych rodów, ani pomniki piśmiennictwa nie rzucają na to pytanie dostatecznego światła, a właściwie mówiąc, nie rzucają nic, ani jednego promyka.

Monumenty zasłużonych ludzi na kirkucie, zrobione z balików drewnianych, spróchniały lub też zgniły na szczęt i nic się z nich dowiedzieć nie można; starożytnych budowli w Czarnymbłocie niema, gdyż miasto co lat kilkanaście periodycznie dotykane bywa klęską ognia.

Istniała przed laty stara bożnica modrzewiowa, lecz i tej niema już dzisiaj, bo starszyzna miejska marzyła o murach i drewniana rudera, jakgdyby dogadzając tym marzeniom, nie robiła żadnej opozycji i dała się pożreć płomieniom.

Z powodu marnej świeczki łojowej, niezagaszonej w swoim czasie, powstał piękny gmach murowany i malowany na żółto.

Uczeni zastanawiali się nad początkiem miasta, ale nie mogli wyjść z zaczarowanego koła domysłów i przypuszczeń, bo poważnych fak-

tów i pozytywnych dowodów nie mieli, a to ich zastanawiało najbardziej, że domy, stawiane zaledwie przed kilkunastoma laty, zagłębiały się coraz bardziej w ziemię.

Niektóre schowały się w nią z podwalinami, inne małymi oknami dotykały prawie powierzchni gruntu, zaś starzy ludzie pamiętali, że za ich młodych lat wzgórze, na którym miasto się wznosi, było znacznie mniej wypukłe, niż obecnie.

Ten fakt dawał wiele do myślenia. Jeżeli wzgórze coraz bardziej wyniosłe się robi i, że się tak wyrazimy, rośnie w górę i jeżeli ten postępowy wzrost nie ustanie, to oczywiście z czasem gród się wzniesie.

Owszem, niech się wznosi, ale w innym znaczeniu, w rozumieniu zaś zwykłym, niech nie rośnie zbyt szybko—bo i tak wjazd, zwłaszcza jesienią i na wiosnę, jest bardzo ciężki.

Żyje w pamięci obywateli przygoda Jankła Basa, kupca, który sprowadzał w październiku sześć kuf okowity do składu. Wozy ugrzęzły pod górą i nie było sposobu ich wyciągnąć, pomimo że nie żałowano chłopom wódki, a wołom batów. Trzeba było przelewać kosztowny towar w inne, mniejsze beczki i czynić to na ulicy. Jankiel kilka garncy okowity przy tym stracił, a dzierżawca z Ciepłej Woli, od którego ona pochodziła, był tak hardy, że nie chciał tej straty wynagrodzić.

Słusznie powiedziano, że bezczelność ludzka jest jak ocean i wcale nie ma granic.

Najniespodziewaniej zdarzył się wypadek, który aczkolwiek daty początku miasteczka nie wskazał, pozwolił jednak wywnioskować, że jest ono bardzo starożytne i od dawnych czasów zamieszkane było przez Izraelitów.

Na przedstawienie pana burmistrza polecono wykopać w mieście nową studnię, iżby Czarnobłoto posiadało wodę na potrzebę obywateli, oraz na wypadek pożaru.

Sprowadzono ludzi biegłych i przystąpiono do roboty.

Takie wydarzenie, ważne dla miasta, nie trafia się codzień, a że mieszkańcy mieli, jak zresztą i dotychczas mają, dużo ciekawości, a jeszcze więcej wolnego czasu, przeto po całych dniach przypatrywali się czynności kopania i baczny wzrokiem badali pokłady gruntu, w którego głąb stopniowo coraz niżej dostawali się kopacze.

Nie tylko kobiety i dzieci, ale poważni ludzie, kupcy, kapitaliści i uczeni, patrzyli w ziemię pilnie, jakgdyby przeczuwając, że dzieje rodzinnego ich miasta wyjaśnione do pewnego stopnia zostaną.

Nad wielkim dołem godzinami całymi stali i patrzyli tacy notable, jak bogaty kupiec Jankiel Bas, wielki aferzysta Dawid Śliwka, uczony Uszer Engelman i wielu innych, co najwybitniejszych, mężów.

— Szczególna rzecz — rzekł Jankiel — jak ziemia, na której stoi nasze miasto, nie jest podobna do innych gatunków ziemi. Nie po raz pierwszy zdarza mi się być przy kopaniu studni, ale gdziekolwiek taką czynność widziałem, gatunek ziemi nie był taki, jak ten.

— Cóż osobliwego w nim widzicie? — zapytał Dawid Śliwka.

— Co?

— Tak, tak, co osobliwego? Ziemia jest ziemia.

— Przepraszam was, handlując okowitą, zbożem, wełną, zwiedziłem świat na kilka mil

dokoła, z czego zresztą próżnej chwały nie szukam — i miałem przytem sposobność oglądania różnych gatunków ziemi i rozmawiania z ludźmi, którzy się na niej znają. Otóż wiem dokładnie: bywa glina, bywa piasek, bywa czarna ziemia, tak, jak w Zatrąceńcu naprzykład pole czarne; ale to, co my widzimy, nie jest ani gliną, ani piaskiem, ani czarną ziemią. Cóż więc jest?

Engelman głos zabrał.

— Ja wam powiem — rzekł — puściłem w ruch myśl moją i nie napróżno. To wcale nie jest ziemia.

— Więc cóż?

— Co jest? — dorzucił Dawid.

— To są najprawdziwsze śmiecie.

— Śmiecie?

— Przypatrzcie się tylko uważnie. W głębokości dwóch łokci kopacze natrafili na szczątki starej miotły, która jeszcze nie zdążyła zgnieć. Zdaje się, że nie potrzebuję dodawać, iż miotła jest dowodem obecności śmieci.

— Uszer słusznie mówi — rzekł Jankiel Bas.

— Uważajcie dalej, tu widzę blaszane pudełko od sardynek.

— To jest głupstwo.

— Nie, to dowód. Dzieci bawią się takimi pudełkami.

— Więc co?

— Któż wie? Jeżeli weźmiemy na uwagę głębokość, w jakiej to pudełko znalezione, to łatwo przyjść do wniosku, że mogło ono służyć do zabawy naszym ojcom, a może nawet naszym dziadkom.

— Oby dla zasług swoich używali szczęścia w rajul

— Oby używalil... Chciejcie mi wierzyć, pa-

nowie, że w tym wypadku śmiecie do pewnego stopnia znaczą tyle, co, nie przyrównywując, mądra książka.

— Nie plamcie ust waszych bluźnierstwem.

— A wy nie bądźcie popędliwi i zbyt pochopni w sądzie, bo wyrzeczecie głupie zdanie. Ja nie powiedziałem: nabożna książka, tylko mądra książka; powtóre, dla bezpieczeństwa i od wszelkiego wypadku, dodałem: „nie przyrównywując”, a dlaczego ja tak powiedziałem, zaraz wytłumaczę.

— Bardzo jesteśmy ciekawi.

— Jeżeli przewracasz karty książki, to możesz w nich wyczytać, co było; jeżeli zaczniesz pilnie rozgrzebywać śmiecie, również dowiedzieć się możesz, skąd one się wzięły.

— Eh! eh!

— Za pozwoleniem, śmiecie też mają mowę; nie jest ona, jak mowa ludzka, nie jest jako pismo, ale jest mowa. Patrzcie uważnie, ile ta studnia ma już głębokości.

— Może sążeń...

— Może trochę więcej—dodał Dawid.

— A ile potrzeba pokoleń, żeby wytworzyć sążeń śmieci?

— Jeżeli duża familia—rzekł Dawid po długim namyśle—to, podług mego rozumienia przez rok zrobi więcej, niż sążeń kubiczny śmieci... Mówię to z praktyki.

— Bardzo wam wierzę—odparł Engelman—ale tu idzie o pokład, o te stwardniałe śmiecie, w których można już kopać, jak w ziemi.

— Aj!—zawołał Dawid—ja już rozumiem! Nasz dom, ten dom, w którym ja mieszkam z moją familią, stawał dziadek, a ten dom dopiero na jaki łokieć wrósł w ziemię—to znaczy, że na sążeń potrzeba trzech dziadków!

— Jesteście bliscy prawdy i mówicie pięknie. Otóż, wielce szanowni, patrzcie i podziwiajcie. W tej chwili z głębokości sążniowej rydel robotnika wyrzucił wcale dobrze zachowane szczątki wielkiego pantofla. Nie zaprzeczycie zapewne, że jest to niezbity dowód, że przed trzema dziadkami nasze miasto było już izraelskie i nabożne, albowiem ludzie innej wiary chodzą bądź to boso, bądź też w butach, a jedyny, oprócz żydów, człowiek w miasteczku, który używa pantofli, to jest aptekarz, nosi aksamitne i wyszywane jedwabiem. Takie nie wytrzymałyby w ziemi nawet pół roku. Ten pantofel, którego szczątki przed sobą widzimy, jest aktualnie żydowski i to żadnej wątpliwości nie ulega. Obecność zaś jego dowodzi, że ziemia, na której miasto się wznosi, od wieków jest nasza, że na niej kwitnęła nabożność, krzewiła się mądrość i że Czarnebłoto od wieków było Czarnymbłotem, twierdzą mocną, panującą nad wszelkimi okolicznymi wioskami.

Jankiel, słuchając wywodów Engelmana, trącał nieznacznie Dawida w bok i mówił:

— Uważaj, uważaj!

Dawid cmokał ustami i był zachwycony domysłnością i bystrym umysłem filozofa.

Codziennie przychodzili ci trzej notable, aby patrzeć na postęp budowy studni i codzień bardziej i silniej utwierdzali się w przekonaniu, że Czarnebłoto jest niezmiernie stárożytne i niezmiernie żydowskie, że tworzyło ono się tak, jak się tworzy góra potężna, że panowało nad okolicą niby wieża wysoka, albo twierdza mocna, że było punktem centralnym swego koła, węzłem licznych nici, splełanych doskonale, w których sieci misternej znajdowały się wszyst-

kie wioski od Wierzbówki do Zatraceńca, od Olszanki do Kurzej Wólki.

Sześć sążni kopano, zanim natrafiono na źródło; chwilami była obawa, że cała praca pójdzie na marne i że upragniona przez mieszkańców woda nie tryśnie.

Na szczęście, trysnęła i to tak obficie, że robotnicy ledwie po rusztowaniu i cembrowaniu uciec przed nią zdołali.

Woda zimna, czysta dobyła się ze znacznej głębokości i wyrzuciła na powierzchnię ziemi ogromnych rozmiarów pantofel.

To już był najwymowniejszy i najbardziej przekonywający dowód wielkiej starożytności miasta, dowód, który jego mieszkańców napełnił słusznie dumą i podniósł ich o całe niebo wyżej w przekonaniu własnym.

Teraz możemy zobaczyć, jak wygląda śpiący lew.

Ślicznie wygląda.

Lew, gdy śpi, ma pazury ukryte, paszczę zamkniętą, opiera głowę na łapie, a przyjemny wietrzyk chłodzi go i porusza lekko jego wspinałą grzywę.

Piękny jest widok lwa uspionego, leży on nieruchomo, siła jego spoczywa. Mysz może przebiegać koło niego bezkarnie, a marna mucha siada na jego kudłach tak bezpiecznie, jak gdyby to nie była lwia grzywa, lecz zwyczajna, sierścią pospolitych bydłał wypchana kanapa.

Miasteczko Czarnebloto w tym jest do lwa podobne, że usypia i budzi się, jak on.

„Jak lew pomiędzy zwierzętami, tak ty, o miasto moje, wśród wiosek” — śpiewał swoje go czasu poeta, a gdy gruby jakiś człowiek zarzucał, że w porównaniu jest zawiele hono-
Czarnebloto

ru, Uszer Engelman stanął w obronie poety i przyznał, że w istocie zawiele jest honoru... dla lwa.

Jest dzień lipcowy, święto, godzina czwarta po południu, deszcz pada.

Na ulicach miasteczka cisza grobowa, „a na rynku ani żywego ducha. Sklepy pozamykane, okna prawie wszystkie zasłonięte.

Wychudzona koza przechadza się po rynku, kot zgłodniały czatuje na wróble. I taka cisza, taki spokój bezwzględny trwa prawie do wieczora.

Deszcz ustał, wiatr chmury rozpędził, zachodzące słońce zalewa miasto światłem złocistym i oto tu i owdzie otwiera się okienko i dolatuje z niego odgłos pieśni.

Ale jacy to mężowie, jakie niewiasty, jakie dzieci, jakie pieśni!..

Język ludzki tego nie opowie, pióro nie opisze.

Każdy prawie mąż w atlasowej kapocie, każda prawie niewiasta w jedwabiach. Przechodzone to i łatanie miejscami, racimory trochę już utraciły świeżość, ale racimory! A jakie czapki futrzane, z tchórzów, z kun, z lisów, z soboli—a jakie kosztowności na niewiastach! Jakie perły, jakie złoto, jakie brylanty!

Coraz częściej drzwi skrzypią, coraz nowe, wspaniałe, jeszcze wspanialsze postaci wychodzą na ulicę, na rynek i powoli, majestatycznym krokiem, spuszczają się ze wzgórką, na którym stoi miasto, na równinę, nad rzeczkę, gdzie się zwykle co tydzień, letnią porą, taka parada odbywa.

Miał słuszność poeta, mówiąc, że lew się pięknie budzi; ślicznie on wygląda, gdy otwórzy jedno oko; piękniej, gdy oba.

A jak przytem mruczy rozkoszniel

Nie jest to groźny ryk, rozlegający się na puszczy, ale łagodne mruczenie, wyraz błogości po wypoczynku i po śnie, pełnym widzeń przyjemnych.

Z otwartych okienek płyną pieśni rzewne, smutne, albo radosne, szemrzą niby toczące się po kamienistym łożysku strumienie a spacerującym nad rzeką mężom słusznie wydawać się może, że te strumyki zlały się już w jedną rzekę dużą, której fale pluszczą zgodnie, wydając harmonijne szmery.

I cieszą się mężowie, gładzą brody, podchwytują takt i, jak który może, tenorem, basem, falsetem, dorzucają swoje własne trojaki do tego wielkiego kapitału harmonii.

Niewiasty, słysząc to, przymrużają oczy z zachwytu, a ustami wyrabiają takie grymasy i cmoktania, jakgdyby jadły placki figowe z miodem, rajskie jabłka, lub gęsi smalec z chlebem.

Ale oto już słońce złotą głowę ku spoczynkowi skłania, już mu i poczerwieniało jasne oblicze, niby porządnemu obywatelowi po spożyciu dobrej szabasowej kolacji i wypiciu wielkiej butli koszernego wina. Wietrzyk letni, niby „miszures” usłużny, nakrył je ogromną pierzyną z lekkiej chmury — i oto już drzemie ono, już tonie zupełnie w betach... już śpi...

Na wysokościach niebieskich zapalają się gwiazdki, na ziemi zaś świeczki łożowe i kopące lampki.

Ustają pieśni i marzenia, twarda rzeczywistość w prawa swoje wstępuje. Jankiel Bas, który jeszcze przed chwilą o cudnych krajo-brazach dalekiego Wschodu marzył, osadził swego ducha na miejscu i duch ten, niby duch-

orzeł na potężnych skrzydłach, bystrym lotem z nad Jordanu wpadł do olszanieckiej gorzelni.

Duch Dawida Śliwki, który dopiero co na wyżynach Libanu myszkował, w jednej sekundzie wpadł pomiędzy stada chłopskich gęsi na pastwisku w Zatrąceńcu i już tam jest, już je ogląda, już ich wartość targową ocenia.

I inne duchy, niby duchy lwy, z ponad wód babilońskich, z pod Jerycha lub Damaszku, wpadły między Wole i Wólki... duchy odświeżone, wypoczęte, silne...

Racimory, atłasy, czapki futrzane, klejnoty powracają z nad rzeczki, pnąc się po pochyłości wzgórze, utworzonego z pokładów śmieci, zsypanych i ubitych przez wiele pokoleń, rozdzielają się na grupy drobne, coraz drobniejsze, od grup odpadają jednostki i wszystko chowa się w niskich drzwiach domów drewnianych.

Otwierają się szynkownie i sklepy; we wnętrzach ich, oświetlonych naftowymi lampkami, rysują się postaci kobiece i męskie, a we wszystkich głowach teraz mieszka, wszystkie serca napełnia, na wszystkich ustach teraz błądzi jeden tylko wyraz:

— Początek, dobry początek!

Wielki, piękny wyraz, z którego idzie wszystko dobre; dobry początek, to połowa interesu, to dobra nadzieja, otucha, zachęta, to pewność niemal, że wszystkie zamiary udadzą się jak najpomyślniej...

Okienka błyszczą światłem dogorywających łojówek, niby wielkie szare koty ślepiami; ciemność zapada zupełna, noc obejmuje panowanie nad światem.

Tu i owdzie uczony jeszcze nad książką się kiwa; tam praktyczny i światowy człowiek ra-

chunki przegląda lub się do drogi szykuje; kobiety z wielkim krzykiem dziatwę zapędzają do snu, gdyż rade jeszcze na progach do gawędy z sąsiadkami zasiąść — wypowiedzieć wszystko, co na sercu mają, uzalić się na dolegliwości fizyczne i moralne, na drożyznę gęsiego szmalcu i kartofli, na skąpstwo mężów, na wszystko, co najgorsze w życiu.

Posiadały na progach, niby kwoki na grzędach, i gdczą, radzą, przerywając sobie nawzajem to westchnieniem, to śmiechem, przekleństwem na wrogów, albo ostrym, gryzącym dowcipem.

Radzą długo, gdyż po święcie nikt wcześniej spać nie chodzi, a umysł, wywczasowany i wypoczęty w dzień, potrzebuje ruchu. Umysł, a cóż dopiero język niewiast czarnobłockich, który nienawidzi spoczynku i niby woda spływających z wysokiej góry potoków musi być w ciągłym i nieustannym ruchu.

Skrzypią żałośnie drzwi stajen, stękają wychudzone szkapy i kręcą łbami, widząc, że im chomonta chcą na karki pakować.

We wszystkich kierunkach z pochyłości wzgórza, na wschód i na zachód, na południe i na północ, staczają się biedki dwukołowe, a ktoby się umiał wsłuchać dobrze w ciszę nocną, ktoby wszystkie jej szmery ułować potrafił—posłyszałby w różnych stronach, w wioskach, tonących w ciemności, zawzięte ujadanie kundli wiejskich.

Te psy ogłaszają ludziom, że się lew uspio-ny przebudził i że biegnie, szukając kogoby pożarł.

Już północ — światełka gasną, sejmy kobiece na progach skończone, tylko w jednym dom-

ku i w jednym szynku świeci się jeszcze. Tam czuwają.

Czuwa też i Engelman, gdyż wyspał się doskonale w dzień i teraz, na przyzbie przed domem usiadłszy, fajkę pali, wodze myślom puszcza i kombinuje.

On wie, co znaczą te dwa światła, dlaczego nie gasną one, chociaż jest noc, a tym samym nie ma prawdopodobieństwa, że nagle ktoś obudzi się ze snu i przyjdzie do szynkarza wódki kupić, lub do tamtego drugiego przyjemny dyskurs z nim prowadzić.

Engelman wie, że zarówno szynkarz, jak i ów drugi obywatel nie są uczeni kabaliści, żeby mieli noce na rozmyślaniu przepędzać i to wie także, że zarówno jeden, jak drugi, nie należą do rzędu rozrzutników i nie wypalaliby nafty napróżno. Wie, że to światło się pali i palić się musi dla takich interesów, które słońca nie znoszą.

Nie jest to nadzwyczaj pięknie, nie jest bardzo pięknie, ale cóż robić?

Ten, który pali światło w nocy, potrzebuje żyć — i ten, co przy słońcu handlować nie lubi, także „potrzebuje żyć” — a w tych dwóch wyrazach leży najglówniejsza przyczyna wielu zjawisk życiowych, napozór dziwnych i niezrozumiałych, ale w gruncie rzeczy tak naturalnych, jak to, że słońce świeci w dzień, a gwiazdy w nocy.

Owóż, jeżeli w procesie myślenia nad tą mianowicie sprawą wyruszymy z tego punktu widzenia, to możemy w wywodach zajechać niezmiernie daleko.

Engelman tak też czyni; siedzi na progu izby i kombinuje:

— Czysta moralność jest to niby czysty

spirytus, chociaż i to wątpliwe, bo czystego spirytusu nie ma, najwyżej jest 96^o, 97^o — ja też myślę, że czysta moralność nie trzyma wyższej próby, a jeżeli trzyma, to chyba jakaś apteczna nadzwyczajna i wogóle bardzo rzadko zjawiająca się w codziennym handlu.

I dalej:

— Ja myślę, że mądre zdanie, mówiące, że człowiek, „potrzebuje żyć”, jest to zwyczajna woda. Tania rzecz, ale niezbędna dla każdej istoty stworzonej, a zwłaszcza dla człowieka.

Opierając się na tych dwóch porównaniach, możemy oznaczyć dokładnie stopień moralności. Weźmy na przykład owego szynkarza, który, pomimo spóźnionej pory, pali lampę w swojej brudnej szynkowni.

Czy to jest człowiek moralny? Trochę jest, cokolwiek jest, a nawet dużo jest, jeżeli sędzić będziemy bezstronnie. On się modli, on obserwuje święta, on w życiu swoim nie jadł trefnego pokarmu, on zachowuje wszelkie prawa i przepisy, obowiązujące żyda.

Względem swojej żony i dzieci nie jest zły. Daje im pożywienie, odziewa je, posyła chłopców do szkółki, słowem, czyni to, co każdy porządny i uczciwy ojciec. Jest to moralność, jeżeli nie tak bezwzględnie czysta i mocna, jak bezwodny spirytus, to przynajmniej, jak dobra okowita na 78^o.

Weźmy teraz tego samego szynkarza z drugiej strony.

Czy on jest niemoralny? Cokolwiek jest. On przez całą noc pali lampę, do niego przychodzą ludzie, nie lubiący słońca, przynoszą mu różne rzeczy i sprzedają tanio — to wszystko prawda. I to prawda, chociaż mówić o tym

głośno nie wypada, że te rzeczy są kradzione ale... „każdy człowiek potrzebuje żyć”.

Jeżeli wodę tej maksymy zmieszamy z okowitą moralności, jeżeli wstrząśniemy je dobrze w naczyniu naszego myślenia, a potem zbadamy za pomocą próby, to się pokaże jasno, że moralność owego szynkarza pod względem mocy równa się zwyczajnej, średniej wódce. Czterdzieści dwa stopnie.

Czy taka moralność nie ma już żadnej wartości?

Stanowczo ma i jeźliby ją można sprzedawać na garnce, to ludzie płaciliby za nią tyle w stosunku do czystej moralności, ile się płaci za wódkę 42% w stosunku do czystego spirytusu.

Engelman rozmyśla dalej i przychodzi do wniosku, że człowiek, w którym jest chociażby bardzo maleńka odrobina dobrego, nie może być nazwany bezwarunkowo złym.

Oto teraz na przykład, wśród ciszy nocnej, słychać ciężkie kroki. Ktoś idzie.

Niech sobie idzie!

Sylwetka jego zarysowała się w świetle lampki, płonącej w szynku na oknie i widać, że jest to barczysty człowiek, dźwigający worek na ramionach. Worek ciężki, zapewne ze zbożem, bo chłop ugina się pod jego brzemieniem.

Wszedł do szynku i światelko natychmiast zagasło, a właściwie nie zagasło, lecz przeniesione zostało przez gospodarza do drugiej izby, której okna na podwórko wychodzą.

Co się tam robi? Cóż nam do tego? Niech się robi, co chce; ludzie potrzebują żyć.

Świt zastał jeszcze filozofa na ławce przed domem, zastał go pogrążonego w dumaniach o moralności i o misternym urządzeniu świata, w którym się wszystko wiąże, płacze, kombinuje i wikła.

ROZDZIAŁ III,

opisujący oberżę pod „Zielonym łabędziem”, panią Małkę Fisch, tudzież pewien rodzaj flirtu handlowego.

Są pewne nieprawdy, uznane powszechnie za prawdy niewzruszone i nie ulegające zaprzeczeniu. Oberża w Czarnymbłocie pod „Zielonym łabędziem” była właśnie taką nieprawdą.

Dzierżawcy, drobna szlachta, koloniści, włościanie z całej okolicy znali doskonale ten dom, w którym przy każdej bytności sporo zostawiali pieniędzy, ale „Zielonego łabędzia” nikt, jako żywo, na oczy swoje nie widział.

Nie widzieli go też ani żydzi czarnobłoccy, ani sama właścicielka, ani jej mąż i nie przychodziło im nigdy na myśl zapytać, skąd się wzięła na nazwa? Który z przodków taki herb osobliwy dla domu wymyślił?

Co prawda, niewiele im zależało na posiadaniu owej wiadomości. Biały łabędź, czerwony, czy pstry, wszystko to jedno w gruncie rzeczy — byle handel szedł, — a handel szedł doskonale.

Jeżeli Czarnobłoto było centralnym punktem interesów okolicy, to oberża pod „Zielonym łabędziem” była centralnym punktem Czarnobłota, była ona sercem tego wielkiego organizmu handlowego. W dniu targowe, jarmarczne, świąteczne, bywał tu zjazd duży.

W paradnej stancji gromadziło się wyższe towarzystwo: dzierżawcy, rządcy folwarków, w średniej drobna szlachta i ekonomowie, a w wielkiej izbie narożnej, która się niczym

od zwyczajnej nie różniła szynkowni, pospolity naród—chłopi.

Oberża podobna była do wielkiego pociągu pasażerskiego, podzielonego na klasy.

Pierwsza, urządzone z przepychem, umeblowana była starymi, ale wyściełanymi gratami; na środku stał stół jesionowy z klapami, politurowany onego czasu, a przy ścianach kilka stolików, bejcowanych na czerwono.

Nad kanapą wisiało lustro, tak popstrzone przez muchy i taką grubą warstwą kurzu pokryte, że już czynności swych na żaden sposób spełniać nie mogło. Były też obrazy poczerniałe, popękane, może niegdyś ładne, może po jakim amatorze zbieraczu pozostałe, lecz zniszczone zupełnie, tak że mogły uchodzić za arcydzieła bardzo starożytne, pokryte pleśnią wieków.

W tym salonie przyjmowała gości sama pani Małka i tu obrabiano najgrubsze interesy.

W drugiej klasie były krzeselka wyplatane i stoliki pokryte czerwonymi serwetami, w trzeciej tylko proste ławy przy ścianach i dwa zwyczajne stoły sosnowe na koziołkach.

Ma się rozumieć, że i towar i trunki także się na klasy dzieliły.

W pierwszej nieraz zjawiało się na stole wino i porter, marynata ze szczupaka, sardynki i inne delikatesy; w drugiej arak, piwo bawarskie, marynowane śledzie; w trzeciej siwucha zwyczajna, pieprzem, wapnem i tytuniem zaprawna, żeby chłop czuł przynajmniej, że coś wypił i żeby miał po czym spluć.

Pani Małka miała oko na wszystko i na wszystkich, a prowadziła interesy doskonale. U niej w oberży i w sklepie wytworzył się punkt centralny wszystkich interesów okolicy,

a wpływ miała tak znaczny, że nawet Jankiel Bas i Dawid Śliwka musieli się z nią liczyć.

Sam pan Fisch, zacny Mojsie Fisch, znaczył tyle, co przeszloroczny mróz względem tegorocznej wody, czyli krócej mówiąc, nie znaczył nic i całym jego zadaniem było słuchać żony i robić, co ona każe.

Tak to się zaraz od pierwszych dni pożycia małżeńskiego ułożyło. Pani Małka pochodziła ze znacznej familii, z dalekiego miasta, odległego dziesięć mil od Czarnegołota.

Wyszła za mąż za Mojsia, bo tak rodzice kazali, bo Mojsie miał sławę uczonego i nabożnego kawalera, pochodził także z arystokracji, a majątek, jaki do wspólki małżeńskiej wkładał, wynosił około sześciuset rubli.

Pod względem powierzchowności para ta przedstawiała rażący kontrast. On był niepozorny, chudy, zgarbiony, oblicze podobne miał do karty starego pergaminu, bródkę do kępki trawy, zrudziałej na słotach jesiennych; Małka natomiast była kobieta, co się zowie piękna, a jeżeli dzierżawca z Zatraceńca wspominał nieraz o róży z Saronu, to dlatego, że sądził, iż Małka jest właśnie do takiej róży podobna.

Wiedziała o tym piękna kupcowa doskonale i wiedziała także, iż uroda w takim interesie, jak oberża, gdzie dużo panów bywa, nic a nic nie przeszkadza, ale owszem w pewnych razach pomaga.

Ubierała się też elegancko, nie dotykała takich towarów, które mogłyby poplamieć jej ręce i umiała w razie potrzeby „robić oko” i być bardzo uprzejmą dla gości. Był to flirt niewinny, czysto handlowej natury i pan Mojsie

Fisch, chociaż był z natury wielki zazdrośnik, uznawał jednak praktyczność tego flirtu.

Wiedział doskonale z ksiązek i z tradycji, że bywały liczne dowody, co może zrobić ładna kobieta, choćby tylko przypomnieć dwie Esterki i Judytę. Historia uczy, że obie te panienki i trzecia wdówka miały oczy bardzo piękne, a władały nimi nader zręcznie; spojżenia ich miały blask piorunu i zarazem słodczy miodu.

Skoro pani Małka posiadała także piękne oczy i także dzielnie władać nimi potrafiła, to pytanie, dlaczego nie miała robić z nich użytku?

Nie leżało w jej intencjach ucinanie głowy Holofernesowi, przede wszystkim dla braku Holofernesa, a powtóre, z przyczyny, że taki interes grozi kryminalnym procesem — ale zwracać głowę choćby młodemu dzierżawcy z Zatracańca umiała doskonale.

To nie jest bez znaczenia. Wie Jankiel Bas, że można od tego dzierżawcy taniej kupić zboże pod „Zielonym łabędziem” w obecności Małki, niż pertraktując interes na cztery oczy w Zatracańcu.

Jankiel Bas ma to do siebie, że jest człowiek sprawiedliwy — a nie jest głupi — rozumie dobrze, że ręka rękę myje, to też od wszelkich transakcyj, zawartych w oberży, daje pięknej gospodyni porękawiczne.

Jeżeli kto widzi w tym co złego, niech mu oko wypłynie, żeby nie widział za dużo.

Niekiedy jednak Mojsie Fisch nie mógł się oprzeć brzydkiemu uczuciu zazdrości. Raz naprzykład zdawało mu się, że dzierżawca z Zatracańca zbyt pilnie i cokolwiek zadługo podziwia nową bransoletę na ręku Małki.

Uczuł Mojsie, że krew w nim się burzy, ale narazie poznać tego po sobie nie dał; dopiero wieczorem, kiedy już w sklepie i w zajeździe ucichło, kiedy goście porozjeżdżali się, ośmielił się powiedzieć do żony:

— Słuchaj-no Małka, mnie przykro mówić to słowo, ale...

— Cóż?

— Są interesy, których ja nie rozumiem.

— Wielka nowość! — odrzekła żona — na dziesięć interesów z pewnością jest dziewięć takich, których twój umysł objąć nie zdoła.

— Czy masz mnie za głupca?

— Przeciwnie, uważam cię za bardzo mądrego człowieka, ale rozum twój zdatny jest do szkoły żydowskiej, nie zaś do interesów i nie do handlu. Ty się wcale nie znasz na tym.

— Przepraszam cię bardzo.

— Nie ma za co, każdemu zdarzy się powiedzieć głupstwo, a uczonemu człowiekowi najczęściej.

— Ależ ja bynajmniej...

— Wszystko jedno, ja i tak i tak nie bardzo zważam na twoje gadanie.

— Małciu!

— No, czego jeszcze chcesz? Daj mi już pokój. Ja jestem zmęczona, cały dzień był ogromny ruch, chciałabym teraz iść spać i odpocząć.

— Ja tylko...

— No, co? co? Kończ już to twoje gadanie, nie cykaj po półkwatku, wylej odrazu cały gąsior...

— Pozwól mi przyjść do słowa...

— Bronię ci? Przychodź...

— Widzisz... ja sobie miarkuję, że ty za bardzo

się śmiejesz do tego młodego goja, dzierzawcy z Zatraceńca.

— Coś ty powiedział?

— Że za nadto się śmiejesz, za wiele z nim rozmawiasz, za ładnie patrzysz na niego.

— No, no, a co więcej? Mów odrazu, wyrzuć z siebie wszystką złość, która w tobie kipi. Mów, co więcej?

— Cóż ma być jeszcze więcej? Czyż to mało?

— Ma się rozumieć, że bardzo mało.

— Co ty mówisz? Więc to mało, że ty, stateczna kobieta, zamężna, prowadzisz wesołe rozmowy z takim gojem? Więc to mało, że się do niego śmiejesz, że na niego patrzysz?

— I to ci się nie podoba?

— Nie.

— To bardzo dobrze.

— Ja jestem twój mąż, ty powinnaś mnie słuchać!

— Owszem, owszem, już słucham; obaczysz, co tu będzie za tydzień?

— Będzie jarmark.

— Jak dla kogo.

— Dla całego miasta.

— Dla nas nie; ponieważ nie podoba ci się, że ja się śmieję, rozmawiam i patrzę na ludzi, więc będę cały tydzień płakała, schowam się na strych, albo do piwnicy i nie powiem do nikogo ani jednego słowa. Zobaczymy wtedy, jaki będziesz miał jarmark i co utargujesz.

— Przecież ja nie chcę, żebyś się miała chować przed ludźmi; wszak mamy sklep i zajazd.

— Ja już sama teraz nie wiem, czego ty chcesz i najlepiej zrobisz, jeżeli nie będziesz się wtrącał w nieswoje rzeczy.

— Ja przecież jestem mąż.

— Ja wiem, co ty jesteś, a co ja jestem, ty nie rozumiesz. Najlepiej zrobisz, jeżeli pójdziesz spać i przestaniesz mącić mi w głowie.

Z tymi słowy energiczna pani Małka wypchnęła Mojsia za drzwi — i na tym się rozmowa skończyła.

Mojsie Fisch, aczkolwiek wypchnięty za drzwi, nie obraził się i miał słuszość. Wielka rzecz być wypchniętym za drzwi przez kobietę, i do tego przez własną żonę! Taka awantura porządnego człowieka ani ziębi, ani grzeje.

Wyrzuciła — niech się cieszy z triumfu.

Mojsie posłał sobie, z powodu gorąca, pierzynę na ulicy przed domem, na tak zwanym podsieniu, jak to czynią podczas lata wogóle wszyscy obywatele starozakonni w Czarnym-błocie.

Nocleg taki jest bardzo przyjemny; człowiek, położywszy się, zanim uśnie, widzi nad sobą księżyc, gwiazdy i cały firmament niebieski, czuje, że łagodny wietrzyk chłodzi mu oblicze, słyszy rechotanie żab i turkot młyna, nie próżnującego nigdy.

Nieraz usiłował przekonać obywateli burmistrz, że sypianie pod gołym niebem nie jest zgodne z przyzwoitością publiczną; doktor, bardzo doświadczony człowiek i niezmiernie biegły w swoim fachu, ostrzegał, że to się sprzeciwia higienie; że przy takim interesie można się zaziębić, dostać trochę kataru, odrobinę febry, cokolwiek malarii, albo jeszcze czego w lepszym gatunku.

Ale obywatele nie słuchali tych głosów. Ich dziadkowie sypiali w lecie w ten sam sposób, dlaczego nie mają podobnie czynić wnuki?

Co nieprzyzwoitego w tym, że ktoś na uli-

cy śpi? Niech się ten wstydzi, co wcale w nocy nie śpi, upija się, hula, ale stateczny obywatel może spać, choćby na środku rynku. Nie ma nic do ukrywania podczas snu; prędzej w dzień, kiedy geszefta załatwia, kiedy szachruje i kręci, zakryłby się przed ludzkimi oczami, aby go nie podpatrzono.

Mojsie Fisch położył się na wielkiej pierzynie czerwonej, ale nie mógł usnąć. Trapił go niepokój i pewne wątpliwości: postępowanie żony wydało mu się dziwne. Niby nie popełnia ona i nie popełniła dotychczas nic karygodnego, ale niekiedy ma taką minę, jak gdyby chciała zrobić głupstwo.

Zachodzi pytanie, czy jest to prawdziwy zamiar, czy tylko pozór zamiaru?

Jeżeli tylko pozór, w takim razie dlaczego na pytanie męża nie odpowiada szczerze, że jest to pozór, figielek handlowy, po za którym kryją się dalsze praktyczne, a głęboko obmyślane plany?

Mąż powinien być wtajemniczony w takie interesy, jako mąż i jako współnik całego majątku. Być może, że to pozór, ale być również może, iż zamiar — w takim razie zachodzi pytanie, dlaczego Małka nie mieni się, kiedy mąż na nią patrzy.

Wogóle jest to kobieta bardzo dziwna. Wobec męża i wobec ludzi prostych a biednych jest ona taka wielka, taka wspaniała, taka pyszna, jak królowa Saba, która swego czasu jeździła do króla Salomona; dla marnego dzierzawcy, który przychodzi do oberży, jest nadzwyczajnie uprzejma i grzeczna.

Jeżeli w jej myśli jest zamiar, to na twarzy powinien być kolor — ale ona jest dziwna. Gdy się rozgniewa, wówczas robi się czerwono-

na jak śmierć; zdaje się, że jej twarz to kryształowa karafka, nalana krwią, w której pływa para okropnie błyszczących oczu.

Mojsie Fisch oglądał niekiedy takie widowisko, a gdyby go kto wówczas zapytał, gdzie jest jego dusza, to nie potrafiłby na to odpowiedzieć.

Zazwyczaj, kiedy się nie gniewa, ona jest blada, a czasem, gdy się zamyśli, gdy tworzy kombinacje i plany, siedząc nieruchomo przy stole, to wydaje się niby figura z kamienia.

Dzierżawca z Zatraceńca dostrzegł to i nie raz przy sposobności powtarza.

— Pani Małka jest kobieta z marmuru.

Mojsie nie lubi słuchać komplementów, do jego żony stosowanych, ale przyznaje w duchu, że w tym jest trochę prawdy.

Nie mogąc spać, zapatrzony w złote gwiazdy, jaśniejące na szafirowym tle nieba, Mojsie rozmyśla. Zastanawia się nad swym małżeństwem i przychodzi do wniosku, że ma ono swoje dobre i złe strony. Dobre, ponieważ żona interesy prowadzi doskonale, złe, gdyż bardzo pyszna względem niego, a zanadto uprzejma dla puryców różnych, którzy w sklepie bywają.

I czego oni właściwie chcą?

Zdawałoby się, że jeżeli kto potrzebuje cukru, śledzi, herbaty, świec lub innego towaru, to powinien przyjść do sklepu, powiedzieć czego żąda, zapłacić, zabrać sprawunek i iść do domu. Tymczasem on siedzi, a po co on siedzi? Żeby rozmawiać z Małką.

A o czym z nią rozmawia? Oczywiście nie o przedmiotach poważnych, lecz o głupstwach,

o których porządny człowiek nie powinien nawet myśleć.

On naprzykład rozmawia o tym, że pani Małka jest śliczna kobieta, że jej bardzo do twarzy w żółtym kolorze...

Oby sam żółtaczkę dostał, bezwstydnik!

Powiada, że piękna dama z takimi oczami nie powinna siedzieć w Czarnymbłocie! Ciekawa rzecz, gdzie ona ma siedzieć i co komu do tego, w jakim miejscu ona siedzi!

A Małka słucha tych głupstw z wielką uwagą i śmieje się. Dlaczego ona się śmieje?

Czy jej to przyjemność robi, że kto plecie głupstwa, czy jest tak ograniczona, że lubuje się w tym, co nie ma żadnego sensu? Zdaje się przecież, że kobieta niegłupia...

Bardzo ciężko wzdychał Mojsie i spać nie mógł, przewracał się na swojej pościeli, w gwiazdy się wpatrywał badawczo, jakgdyby w nich spodziewał się odpowiedzi na męczące pytanie, dlaczego Małka się śmieje?

Nic innego, tylko w tym musi być ręka złych duchów, czyhających nieustannie na to, aby płać figle ludziom.

Kiedy pomyślał o duchach, z oddalenia, z wieży kościoła dał się słyszeć przykry głos puszczyka, a współcześnie chmurka przysłoniła księżyc tak, że ściemniło się nagle.

Mojsie tedy przykrył głowę pod wpływem mimowolnego strachu i niebawem zasnął. Sen jednak nie przyniósł mu ukojenia i to, o czym myślał na jawie, majaczyło się jeszcze w widziadłach.

Widział sklep swój, zajazd i trzy stancje gościnne, a w najparadniejszej z nich dzierżawcę z Zatracańca i Małkę, bardzo ładną, bardzo wystrojoną i bardzo śmiejącą się.

Całą pociechą w tych snach przykrych było, że widział przy sobie małego Abramka, swego syna pierworodnego i jedyne go, żrenicę swego oka, swoją nadzieję i dumę.

Oprócz Abramka, więcej dzieci nie było, ale Mojsie nie tracił jeszcze nadziei, że dzięki zasługom jego przodków i dzięki dobrym radom pewnego bogobojnego i sprawiedliwego mędrca, wszystko się zmieni na lepsze.

Tymczasem cieszył się jedynakiem i z dumą patrzył na niego.

Dziecko miało pięć lat, a było już niezmiernie poważne i myślące. Już chodziło do chederu i dawało nadzieję, że będzie biegłe w myśleniu i rachunkach.

Oboje rodzice nie żalowali pieniędzy na to, żeby jedynaczek wyglądał elegancko i wyróżniał się od swoich rówieśników. Pani Małka, nie żałując fatygi, własnoręcznie zdjęła wierzch ze starej atlasowej salopy i kazała uszyć z niego dla Abramka bardzo piękną kapotę.

W tym stroju, przepasany pasem wełnianym, w wielkiej aksamitnej czapce (którą swego czasu nosił jeszcze dziadek Mojsia), w niebieskich pończochach i w pantoflach, pięcioletni dzieciak wyglądał tak pięknie i poważnie, jak gdyby był, co najmniej, wielkim kupcem od zboża i członkiem kahału.

Widząc go, ludzie stawali na ulicy i zazdrościli rodzicom pociechy.

Noc letnia krótka jest, a panowanie ciemności podczas niej nie może się bynajmniej nazywać wielkim panowaniem.

Zaledwie słońce dobrze zajdzie, ledwie ludzie się do snu ułożą, już w zabudowaniach mieszczan, na strychach domów kupieckich

w środku miasta, zaczynają drzeć się koguty, ogłaszając północ.

Grube, cienkie, chrapliwe, najrozmaitsze głosy tych ptaków łączą się w jeden chór; psy, przebudzone, odzywają się szczekaniem i znowu cisza—ale na krótko, bo oto ciemności się przerzedzają, na niebie od wschodu blade, bardzo blade światło się zjawia; właściwie nawet nie światło, tylko coś pośredniego pomiędzy zupełną ciemnością a brzaskiem. Jeszcze chwila a bladeść ta wyraźniejszą się robi, nabiera tonu żółtawego.

Jak kot z pieca, Czarnebloto powoli i leniwie wysuwa się z ciemności.

Już można rozróżnić kilka drzew wysokich, synagogę, domy z okiennicami, pozamykanymi szczególnie.

Jeszcze moment. Żłoto wschodu rozpala się, staje się różowe, wróble z głośnym ćwierkaniem spadają na ziemię, bo już widać doskonale śmiecie i różne szczątki pożywienia, walające się koło domów, cały ów materiał, z którego w przyszłości utworzy się nowy pokład gruntu dla przyszłych pokoleń.

Wrony, kracząc, przeciągają nad miastem, jaskółki zwrotnym lotem migają w powietrzu, chuda koza wychodzi na rynek i pożywienia szuka, psy i inne, jeszcze bardziej niż psy, nieczyste zwierzęta wychodzą podwórka lustrować.

Z oddalonych uliczek, gdzie mieszczenie-rolnicy mają swoje siedziby, dolatuje piszczenie otwieranych wierzei od stodół, skrzyp żórawi studziennych i ryczenie bydła.

Słońce się ukazuje i rzuca blaski, wielkie letnie blaski; z domku przy bóżnicy wychodzi zaspany staruszek, z długą brodą, w obdartej

połatanej kapocie, z kijem zakrzywionym w rękę.

Idzie on od domu do domu i kijem tym trzykrotnie w okiennice uderza, wzywając tym sposobem nabożnych obywateli, aby wstali ze snu i, zanim zaczną szachrować i gonić wiatr w polu, przede wszystkim poszli oddać cześć Bogu.

To jest urzędowe niejako rozpoczęcie się dnia w Czarnymbłocie.

ROZDZIAŁ IV.

Opisujący jarmark w Czarnymbłocie. Tu także poznajemy imię pana Walentego Wasążka.

Słusznie powiada piękna pani Małka, że człowiek żyje od godziny do godziny, od jarmarku do jarmarku. Zdanie to podzielają w Czarnymbłocie wszyscy obywatele bez wyjątku: pisze się na nie dorosły, czy nieletni, bogaty kupiec zbożowy i najbiedniejszy kapcan i łapserdak, dla każdego bowiem dzień jarmarczny jest dniem radości i wesela.

Zawczasu też mieszkańcy Czarnegoblota czynią przygotowania, aby wystąpić godnie w chwili tak ważnej i tak doniosłe znaczenie mającej.

Kupcy sprowadzają świeży towar do sklepów, szynkarze trunki, przekupnie szykują pieśniadze, faktorzy języki, biedne żydówki starają się zawczasu o zapas niedojrzałych owoców, pieką pierniki, makagigi, obwarzanki, całe miasto jest w ruchu gorączkowym.

Pani Małka stara się, aby pod „Zielonym łabędziem” było szykownie i elegancko, każała więc swoim służebnicom trochę uprzątnąć

izbę paradną, w oknach zawiesić nowe firanki z zielonej glasy, bo wiadomo, że teraz ludzie wogóle komfort lubią i że elegancja w urządzeniu zakładu ściąga publiczność.

Na kilka dni przed jarmarkiem piękna pani Małka zawołała swego małżonka i rzekła do niego lakonicznie:

— Mojsie, dziś na noc pojedziesz w drogę.

— Owszem — odrzekł: — Dokąd mam pojechać?

— Dokąd? Alboż nie wiesz, że niedługo jarmark? Ty masz taką szczególną głowę, że nigdy o niczym nie pamiętasz.

— No, nie masz się o co gniewać. Małe dziecko wie, że nim nadejdzie jarmark, bywa czas przedjarmarczny i że każdy myśli o zakupie towarów, ale swoją drogą mógł się trafić interes całkiem inny. Ja myślałem nawet zrobić z Janklem małą spółkę na kupno owsa.

— Ty nie zrobisz tej spółki..

— Dlaczego?

— Bo ja już zrobiłam bez ciebie. Powiem ci więcej. Ja już nawet sprzedałam mój udział Dawidowi.

— Dawidowi?

— Czemu robisz takie wielkie oczy? Czy mi nie wolno odstąpić mego udziału Ickowi, Dawidowi, lub komu mi się podoba?

— Owszem, wolno, tylko ja się dziwię, że ty tak prędko to zrobiłaś.

— Masz rację, dziw się.

— Dziwię się doprawdy i jeszcze to mi się wydaje osobliwe, że ty mi wchodzisz w drogę.

— Nierozumne jest twoje słowo, Mojsie. Naprzód, ja ci zupełnie w drogę nie wchodzę, bo czybyś ty sfuszerował interes, czy ja samabym go porządnie zrobiła — pieniądze zaw-

sze przyjdą do nas. Ja ich nie stracę, owszem, ja dorobię dwa, trzy razy tyle, ja nagromadzę, zbiorę, a dla kogo zbiorę? Dla Abramka. Ja nie wiem, czy ty masz prawo na to narzekać?

— To prawda, ale i jabym chciał czasem zrobić jaki geszefcik, chociażby tylko dla prajemności.

— Ja ci nie bronię, rób, owszem. I spółkę z Jankłem mogłeś zrobić, ale masz ciężką głowę. Zanim się zdecydowałeś, namyśliłeś, zanim swoim zwyczajem podrapałeś się w brodę, zanim poradziłeś się bardzo mądrych twoich przyjaciół, ja już cię uprzedziłam. To też ja mam uczciwego zysku trzydzieści dwa ruble, a ty... namyślałeś się. Ja się cieszę moim, ty się ciesz twoim i nie mamy się o co kłócić. Tymczasem idź do Berka, zamów u niego miejsce na furze do kolei. Jutro rano powinieneś być w Warszawie.

— Co nie mam być? Owszem, będę.

— Dostaniesz pieniądze i spis towarów, które trzeba kupić do sklepu. Wszak wiesz, gdzie się jaki towar kupuje?

— Oj, oj, albo mnie to pierwszy raz?

— Mogłeś zapomnieć, tyle mądrych rzeczy masz na pamięci! — dodała ironicznie.

— Ty nie znasz mnie jeszcze, Małciu. Gdy siedzę spokojnie w domu, rzeczywiście jestem cokolwiek powolny, a nawet mogę się wydać człowiekiem ociężałym, do interesów zupełnie niezdatnym, ale proszę mnie zobaczyć w podróży, proszę zobaczyć. Jestem zupełnie inny człowiek.

— A cóż ty robisz w drodze? — zapytała męża.

— Co ja robię w drodze? Dobrze pytanie! Co ja robię? Nie każdy to może zrozumieć.

Ja siedzę na furze, albo w wagonie i palę fajkę.

— To zupełnie tak samo, jak w domu.

— Nie pozwoliłaś mi dokończyć tego, com chciał powiedzieć. W domu ja palę fajkę i rozmýłam, w drodze zaś palę i rozmawiam. O jakich interesach można w drodze usłyszeć, jakich ludzi spotkać! Słuchając różnych opowiadań o wielkich geszeftach, ja czuję, że się we mnie budzi lew; że mógłbym być wielkim kupcem i ryzykantem nadzwyczajnym. Daj no mi tylko trochę kapitału i puść mnie w drogę, to dopiero zobaczysz, jaki ja potrafię zrobić figiel i jakie piękne zyski do domu przywiozę!

Mówiąc to, Mojsie bardzo się zapalił, oczy mu błyszcząły, jak u kota, twarz pokryła się rumieńcem.

Pani Małka na te zapaly była, jak zawsze, bardzo obojętna.

— Ja ci wierzę—rzekła—ale jednak proszę cię, niech ten lew, który się ma w tobie przebudzić, jeszcze trochę śpi; przynajmniej do czasu, dopóki nie powrócisz z Warszawy i nie przywieziesz towaru. Wiadomo ci, że nam dużo różnych rzeczy w sklepie brakuje, a przed jarmarkiem trzeba we wszystko się zaopatrzyć, więc ty swojego lwa nie budź, aż po jarmarku. Tymczasem jedź, towary kupisz według spisu, który ci dam, dopilnujesz, żeby dobrze opakowali i przywieziesz na stację. Będzie oczekiwał na ciebie Berek z furą.

— Bardzo dobrze.

— Sądzę, że dwa dni czasu wystarczy ci na załatwienie sprawunków.

— Dwa?

— Mało ci dwa dni?

— Owszem, za dużo! Ty mnie znasz, ja w domu jestem sobie powolny i spokojny, ale

zobacz no mnie gdzieindziej! Ryba tak się nie rusza w wodzie, jak ja w Warszawie! Za pół godziny wszystkie sprawunki będą załatwione! Jak ja jestem w dużym mieście, między ludźmi, w wielkim ruchu, to mam zupełnie inny werk w głowie i gang w nogach. Chodzę wtenczas, jak parowa maszyna, a taki jestem zapalony, żebym nie jadł, nie spał, tylko ciągle wielkie geszefta robił! Zazdrość mnie przejmuje, gdy widzę tylu żydków, jak biegają, krzyczą, ładują towar na fury. Nabieram wielkiego smaku do interesów handlowych, zapal mnie ogarnia...

— To dobrze, że jesteś taki zapalony i że czujesz w sobie inny gang, ale swoją drogą nie spiesz się. Masz dwa dni czasu, nie daj się oszukać, dopilnuj, żeby ci dobrze odmierzyli i odważyli, żebyś nie za płacił więcej, niż potrzeba.

— Ja?

— Przecież nie ja, bo mnie tam nie będzie.

— Masz rację, ale dwa dni to za dużo; po co aż dwa dni?

— Już tak być musi i Berek nie przyjedzie prędzej na kolej.

Mojsie Fisch, czując przedsmak Warszawy, wielkiego ruchu i wielkich interesów, zapalił się odrazu i nie poszedł, ale pobiegł bardzo szybko do Berka, aby zamówić sobie miejsce na wielkiej furze, która dwa razy tygodniowo toczyła się regularnie od Czarnegołota do stacji kolei żelaznej, odległej o pięć mil drogi.

Berek był tego dnia bardzo hardy, a wiedząc, że przed jarmarkiem wszyscy kupcy muszą zaopatrzyć swe sklepy, podniósł o pięćdziesiąt procent swoją taryfę pasażerską i towarową; gdy zaś kto protestował, lżył go bez

pomiarkowania słowem nieprzystojnym i grubym, przeklinał brzydkim przekleństwem, zwyczajnie, jak furman, z samego fachu swojego człowiek ordynaryjny, który, mając do czynienia prawie ciągle z końmi, nie może nabrać ogłady towarzyskiej i dystynkcji.

Mojsie także nie chciał się zgodzić na wygórowaną cenę, ale Berek ani grosza nie odstąpił—i jedynie ze względu na wysoką pozycję Mojsia, jako męża pani Małki, nie zelżył go sromotnie. Wogóle dość delikatnie się z nim obszedł, życząc mu tylko, aby przy pierwszej okazji nogę złamał.

Gdy noc nadeszła, Mojsie siedział już na furze w towarzystwie bardzo licznym, palił fajkę i brał udział w rozmowie o nadzwyczajnych interesach, jakie się w przeszłości i czasach mniej odległych przytrafiały.

Stosownie do zlecenia żony, lwa w sobie nie budził i pozwolił mu spać spokojnie, dopóki nie nadejdzie chwila stosowna.

Śliczna bardzo i przyjemna dziwnie jest taka podróż na wielkiej furze, zwłaszcza podczas nocy pogodnej. Osiemnastu mężów siedzi na bryce, na przodku mieści się Berek i kieruje trzema chudymi szkapami, a patrzy, czy na drodze jeszcze mu się jaki pasażer nie trafi. Zazwyczaj trafia się i siada, jest mu trochę ciasno, ale przyjemnie. Rozmowa idzie ogólna—czego się tam nie można dowiedzieć! czego nie usłyszeć!

Prawie każdy podróżny pali fajkę, niektórzy mają trochę pożywienia i jedzą, a gdy rozmowa znuży, to trochę drzemią, kiwając się na prawo i na lewo. Zdarza się przytem, że jedna mądra głowa, podczas ogólnego kiwania, zetknie się z drugą i uderzą o siebie nawza-

jem, ale to nic, uderzą, odskoczą i znów się kiwają miarowo. Czasem się który pasażer przeciągnie, czasem Berek ziewnie tak głośno, że się wszyscy obudzą, a niekiedy, gdy się fura nad rowem przechyli, robi się gwałt niezmierny, jakby pożar nagle wybuchnął.

Wymyślają wówczas Berkowi, mówiąc mu, że łajdak jest, że śpi w drodze i życie ludzkie lekceważy, ale on na to nie zważa i albo milczy, lub gdy go zbyt niecierpliwą, woła grubiańsko:

— Siedźcie cicho, gałgany, bo was naprawdę do rowu wysypię, żebyście połamali swoje kości!

Robi się krzyk, ale sen bierze górę nad złością. Zawzięte głosy milkną, głowy znowu się kiwają miarowo.

Księżyc rzuca z wysokości białe promienie. Ślizgają się one po wychudłych grzbietach końskich, po asamitnych czapkach, kapotach zatłuszczonych, po brodach czarnych, siwych, kasztanowatych, żółtych, po karkach pochylonych, po wielkim biczu, który tkwi w grubej dłoni Berka i co chwila spracowane konie uderza.

Ciężka fura toczy się po nierównej drodze powoli, toczy się coraz dalej ku stacji.

Nie tylko w Czarnymbłocie o jarmarku myślano, ale i w okolicy robiono przygotowania do tej uroczystości obyczajowo-handlowej.

W promieniu kilkumilowym wiedziano, że zbliża się ów dzień ważny.

Drobna szlachta i chłopci robili przegląd inwentarza i namyślali się, coby kupić, a co sprzedać; kobiety myślały o trzodzie, drobiu, o nabiale, jako o środkach do zdobycia chustek kraciastych, perkalików, płócienek, wstążek, koralii i bursztynów ze szkła, paciorków i tych

rozmaitych świecidełek, bez których wiejska elegantka z chłopskiej zagrody nie może się obejść...

Cała prawie ludność wioskowa była zmobilizowana i gotowa do wielkiej wyprawy, a dodać trzeba, że w okolicy wioski były gęsto zamieszkane, w części przez drobną szlachtę zagonową. Oprócz tych wiosek, w okolicy były wielkie dobra, należące do dwóch magnatów. Obadwaj ci panowie gospodarstwem sami się nie zajmowali i wogóle zaglądali rzadko do swych dóbr, które, podzielone na mniejsze folwarki, wypuszczali w dzierżawę. Było więc sporo dzierżawców, rządców, ekonomów, leśniczych i pani Małka miała zupełną słuszość, przyznając okolicy tej wyższość nad innymi i twierdząc, że pięciu małych dzierżawców daje miasteczku znacznie więcej dochodu i korzyści, niż jeden duży dziedzic.

☞ Daje więcej, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, w których każdy obywatel zamożniejszy omija miasteczko i, korzystając z kolei żelaznych, handluje nie ze swoimi żydkami, mającymi do niego niezaprzeczone prawo, lecz z jakimiś domami warszawskimi lub zagranicznymi, co jest oczywiście wielkie paskudztwo i naruszenie odwiecznego porządku.

Z czego będzie żył i utrzymywał swoją rodzinę Jankiel Bas, Dawid Śliwka, tyłu faktorów i kupców zbożowych, jeżeli sami dziedzice zaczną handlować? Przecież tym dziedzicom i wszystkim ludziom, którzy żyją z ziemi, nikt ziemi do góry nogami nie przewraca, nikt nie rusza zagonów, wydających zboże, a oni chcą wyrócić do góry nogami cały handel!

Nie potrzeba dowodzić, że jest to zbrodnia, prawie taka, jak rozbój na publicznej drodze.

Na szczęście w okolicy Czarnegoblota panuje dawny system, sprawiedliwy, taki właśnie, jaki powinien być: ani jedno ziarno zboża nie ominie miasteczka, ani jedna kura nie wydo stanie się z siatki, dokoła Czarnegoblota rozrzuconej.

Tak właśnie jest dobrze; tak być powinno, gdyż na świecie od dawien dawna ten jest ustanowiony porządek, żeby jedni orali, a drudzy żeby handlowali. Zaraza czasów nowych wkrada się wszędzie, psuje ład, inne obyczaje zaprowadza, i to właśnie dla ludzi myślących jest przykre, bo oni, widząc jaśniej i dalej, niż śmiertelnicy zwyczajni, przewidują następstwa najgorsze.

Uszer Engelman zastanawiał się nieraz specjalnie nad tymi mianowicie kwestiami i przyszedł do bardzo smutnych wniosków. Gdyby dalej poszło w tym stosunku, gdyby dzierżawcy w okolicy Czarnegoblota nauczyli się handlować zbożem, a chłopci zrozumieli, co to znaczy współka, to zaprawdę strach pomyśleć, co by się stać mogło z Czarnyoblota.

Oby nasze oczy tego nie widziały i nasze uszy tego nie słyszały, ale następstwa takiego przewrotu byłyby przerażające! Zacni kupcy, obrotni i wygadani ludzie, uczeni filozofowie, musieliby rąbać drzewo, roztrzasać gnój na polach, kopać kartofle, słowem, wykonywać roboty obrzydliwe i poniżające, bardziej bydłom, niżeli ludziom właściwe.

Na szczęście, okolica Czarnegoblota była jeszcze niedostępna dla dzikich inowacyj.

Tam szło wszystko uczciwie, po staremu. Miasteczko było miasteczkiem, każda wieś wsią — jedno drugiemu nie wydierało atry-

bucji — chłop żaden nie handlował, a żydom ani się śniło orać lub machać ciężkimi cepami.

Miasteczko kwitnęło na swej górcie śmieciowej i panowało dumnie nad wioskami, rozrzuconymi wśród pól i lasów.

Już w przeddzień jarmarku, na noc, dążyli chłopci pieszo, ów krowę, ów wołu, albo inne zwierzę prowadząc, a odpoczywali przy gościńcu, w polu lub w lesie. Wlokły się wozy rzemieślników z sąsiednich miasteczek, wozy bednarzy, szewców, czapników, którzy od wczesnego ranka mieli rozbić swe kramy na rynku.

Z nastaniem dnia największy się ruch rozpoczynał.

Wszystkimi drogami, drózkami, które do Czarneoblota wiodły, ciągnęły wozy, biedki, bryczki, dryndule najrozmaitszych fasonów, a ludu pieszego, jak mrowia.

Można się było obawiać, czy się ta wielka publiczność zmieści w tak małej mieścinie, czy przygotowane przez zabiegliwych szynkarzy zapasy napojów i żywności wystarczą?

Próżna obawa.

Wiadomo z praktyki od najdawniejszych czasów, że Czarneobloto, pomimo swojej pozornej szczupłości, jest niesłychanie pakowne.

Podobne ono jest do wańtucha od wełny, który, sam przez się wcale niewielki, gdy go wypchać, wygląda jak Lewiatan. Ma ono piękny rynek, ma place specjalne, na użytek jarmarczny przeznaczone; tak bydłocy, koński i — za wielkim przeproszeniem — świński.

Targi te rozległe są i nie było zdarzenia, nawet podczas najświetniejszych jarmarków, żeby miejsca na nich zabrakło.

Drogą, od Olszanki do Czarneoblota wio-

dącą, jedzie wierzchem na chudej szkapie ogromnie czupurny jegomość.

Szkapą pod nim okielznana i osiodłana. Co prawda, siodło nie zanadto wspaniałe, stara, zniszczona terlica, gołem drzewem świecąca, bo skóra z niej zlazła miejscami, ale zawsze siodło, ze strzemionami, jak się należy.

Mąż, na tym siodle siedzący, ma nos potężny, trochę czerwony, wąsiska konopiaste, wielkie, wyraz twarzy zawiadycki, czapkę na bakier.

Jegomość ten jest ubrany w surdut sukieny szaraczkowy, spodnie z płócienka domowej roboty, w kraty czerwone z niebieskim, buty z cholewami do kolan. Rękę ma narobioną, jak chłop, chociaż chłopem nie jest; cała okolica wie doskonale, że to pan Walenty Wasązek, szlachcic zagonowy z Olszanki.

Ma on własną posiadzialność z obejściem i dziewięć morgów gruntu w jedenastu kawałkach wąziutkich, a długich niesłychanie.

Niegdyś miał trochę piękniejszą fortunę, ale sporo ziemi sprzedać musiał na „prawo”, bo procesował się wciąż, a zamiłowanie do spraw miał takie, że byle o najmniejszą bagatelę skargi do sądu podawał.

Zaledwie się ożenił i gospodarstwo na siebie objął, zaraz ze szwagrami taniec po sądach rozpoczął i wodzili się o te długie zagony od instancji do instancji, a że, jeden drugiemu, rozmyślnie przytem psoty robili, zabijali cielęta, ukrećali lby gęsiom i sami się często za czupryny brali, więc, oprócz spraw cywilnych, rosły ciągle karne, z różnym szczęściem dla jednej i dla drugiej strony prowadzone.

Już się Wasązek i dzieci dochował, już mu i ogromne wąsiska urosły, gdy zagonki posago-

we w spokojne posiadanie objął, ale nie żałował ani pieniędzy, ani czasu straconego, bokawał świata zwiedził, sądy najrozmaitsze poznał, prawa się owąchał tak, że aż kodeks od niego zalatywał, a artykuły wszelkie sypał z pamięci, jak groch z worka.

Zaden z jego sąsiadów do takiej biegłości nie doszedł, chociaż też byli to ludzie na różne sposoby wypraktykowani i posiwieli w procesach. To też równać się z nim nawet nie śmieli, a w razie potrzeby sami przychodzili o radę prosić.

W takich wypadkach Waszązek tryumfował, zasiadał z powagą na ławie w izbie, lub też na kamieniu przed chatą i odrazu bez żadnego przygotowania, okiem nawet nie mrugnawszy—wykład miał, gęsto go artykułami prawa przepłatając.

— I niech wam się nie zdaje, ludzie — mówił—że Waszązek jeno na małe sprawy znawca. Ho! ho! Zna on ci kredytorstwo i hypoteczność, wie dobrze, z którego boku co się zaczyna i gdzie się kończy...

Zmarnował większą część fortuny na procesy, ale ten miał zysk, że w kaszę sobie napluć nie dał i że po dzień dzisiejszy chodzi z podniesionym czołem i patrzy na ludzi tak z wysoka, jak gdyby siedział na dzwonnicy.

Jechał pan Waszązek stępa, fajeczkę ćmił i o nowym jakimś procesie myślał, gdyż z przechodniami i przejeżdżającymi w rozmowę się nie wdawał, a na powitanie ledwie że głową raczył kiwać.

Wtem usłyszał po za sobą turkot i wołanie:
— Wio, wio!

Obejrzał się i wstrzymał trochę szkapę. Niebawem jadący zrównał się z nim.

Był to Jukiel, pachciarz z Zatraceńca, dobrze znany w okolicy Jukiel Katz, bardzo sprytny i obrotny obywatel.

Jukiel siedział wysoko na tak dobrze wyładowanej biedzie, że dziw, jakim sposobem mógł się na niej utrzymać.

— Ho! ho! — zawołał basem Walenty — a niechże cię psi zjedzą, Juklu, toś biedę wypchał dopiero!

— Każdy człowiek swoją biedę pcha — odparł sentencjonalnie żyd — a tym czasem dzień dobry panu Walentemu.

— Dzień dobry! Ma się rozumieć, że będzie dobry. Dla takiego spekulanta, jak Jukiel, jarmark to żniwo.

— Jak czasem. Trafi się dobry, trafi się gałgan i częściej gałgan, niż dobry, a ten choć niby powinien być najlepszy, nie wiadomo jeszcze, jaki będzie...

— Wielki będzie, nadzwyczajny!

— Skąd to można wiedzieć?

— A toć ludu wali moc! Jak muchy czernieją po drodze. Ile to przed nami, ile za nami, a przecież ta droga nie jedna. O! panie Jukiel, czujesz ty, że będzie dobry jarmark, skoroś tak biedę wypchał, że siedzisz na niej tak, jak na wielbłądzie.

— To same drobiazgi, więcej powiózł mój syn wozem.

— Ha! dawni Izraelitowie jeździli podobno i na wielbłądach i na inszych bestiach, prawda?

— Albo ja wiem; ja przy tym nie byłem; zresztą, co mnie do tego, ja mam swojego konia i biedkę — to dosyć dla mnie.

— Nie ma się czego wstydzić; jeździli staro-Czarnebloto

dawne żydowie na wielbłądach, bo jeździli — i, mannę, bywało, swego czasu, jedli, aż im się uszy trzęsły, ale, że im coś do łba przystąpiło i zgrymasili, tedy muszą jeść czosnek. Może nieprawda panie Jukiel?

Żyd ramionami ruszył.

— Panie Walenty — rzekł — na co wasan zaczepia tych starodawnych Izraelitów, — co już od tysiąca lat pomarli. Oni już nie handlują, nie szachrują, oni już leżą w ziemi. Daj im wasan leżeć spokojnie i nie rusz ich, a jeżeli masz złość do dzisiejszych, to ich pozwij do sądu, albo rachuj się z nimi innym sposobem.

— Jukiel swój rozum ma, a ja swój.

— To wielka prawda; zostańmy każdy przy swoim, a jeżeli asan chce, to możemy zrobić handelek na co innego.

— No, no, nie mamy się o co sprzeczać. Tak sobie oto powiedziałem, aby gadać. W drodze się nudzi, porozmawiać więc dobrze. Nie?

— Dlaczego — owszem.

— Cóż wasz dzierzawca w Zatraceńcu?

— Piękny kawaler.

— Ma się rozumieć, że piękny. A rychło z Zatraceńca wyleci.

— Tymczasem siedzi.

— Toć i pies na płocie niekiedy siedzi, ale nie utrzymuje się mocno i zleci. On też jakoś, podług mego rozumu, nie inaczej siedzi, jeno po psiemu...

— Jeszcze mu kontrakt służy na sześć lat.

— Bywa, że i przed kontraktem dzierzawcy wychodzą, albo ich eksmitują. Nie dzisiejszy ja człowiek, zęby na prawie zjadłem, a widziałem eksmisyj więcej, niż mam włosów na głowie. A Jukiel wie, co to jest eksmisja, co?

— Dlaczego nie miałbym wiedzieć! To jest bardzo głupi interes.

— Wasz dzierżawca pozna go niedługo bliżej.

— Co pan Walenty w tym ma? Może pan sam chce wziąć Zatraceniec? Może pan ma amatora?

— Może sam wezmę, może kogo mam, a może sobie jeszcze co innego myślę, to już mój interes.

— No! w takim razie po co czekać aż pan Różański wyleci? Lepiej iść wprost do niego i porozumieć się. Dajcie dobre odstępnę, on nie będzie się upierał. Zarobi trochę i pójdzie dalej. Czy mało na świecie majątków do wydzierżawienia? Chce pan Walenty, ja mogę być do tego interesu faktorem, usłużę niedrogo, aby tylko cokolwiek, aby darmo gęby nie psuć.

— Albo on zechce odstąpić?

— Niech się pan Walenty nie boi, nie załujcie pieniędzy, a Zatraceniec będzie wasz na całe sześć lat. I niedość na tem. Jak się sześć lat skończy, to Jukiel będzie umiał trafić do plenipotenta hrabiowskiego i tak interes nakręcić, żeby z wami zrobili kontrakt jeszcze na dwanaście lat. Pan Walenty myśli, że ja plenipotenta nie znam, że ja w Warszawie nie bywam, że nie wiem, gdzie on mieszka? Oj, oj! żeby ja tak drogę do szczęścia znał, jak znam całą Chmielną ulicę i jego mieszkanie! On jest wielki pan, on dużo krzyczy, wielkie fanaberie potrafi, ale swoją drogą z nim można. Z każdym można, tylko trzeba umieć.

— Na bok! z drogi!—rozległ się głos za nimi. Jukiel skręcił na bok i czapkę zdjął pokor-

nie. Waszątek jeszcze bardziej kaszkiet na bacier nasunął i ani na krok nie ustąpił.

— Dla wszystkich droga równa! — mruknął.

Nikt mu nie odpowiedział; stangret w czapce z galonami zręcznie wyminął szlachcica i zasypał go tumanem kurzawy. Zgrabna bryczka, zaprzężona w parę tęgich koni, mignęła się tylko.

— Z drogi! — mruczał Waszątek. — Patrzcie go, jaki pan! On będzie na mnie krzyczał: z drogi! Wielka figura! Zawsze, co ja, to ja; urodzony, tutejszy, na własnych śmieciach siedzę, a on co? Diabli go wiedzą, z kąd przyszedł i diabli go wiedzą dokąd pójdzie, prawda Jukiel?

— Co wasan do niego cierpi?

— Co mam cierpieć! Niech go licho porwie! Pychy nie cierpię, bom taki dobry pan, jak i on, a może lepszy.

— Na jedno pan Walenty jest dobry, na drugie on jest dobry; każdy człowiek jest dobry na taką lub owaką stronę, a pan Walenty, jako człowiek praktyczny, to bardzo dobrze rozumie.

— Macie rację, on dobry na tę stronę, gdzie „Zielony łabędź”.

— A wasan nie bywa pod „Łabędziem?”

— To co innego; ja zajeżdżam dlatego, żeby bydlę przy żłobie postawić, a samemu pod dachem być, w godnej kompanii wypić i przekąsić, on zaś dla czego innego tam zagląda.

— Tak samo w godnej kompanii potrzebuje czasem wypić.

— A Małka? — zapytał szlachcic, śmiejąc się na całe gardło.

Jukiel splunął nieznacznie.

— Panie Walenty — rzekł — pfe! Wasan powiada to, co nie trzeba. Co Małka? jaka Mał-

ka? Ona jest sobie zwyczajna żydówka, ma swego męża, swój handel, swoje zatrudnienie, a on jest pan; ona ma swoje kombinacje, on swoje. Co między nimi może być?

— No, juści ślepie ma, psia kość, ładne!

— Pfe! panie Walenty, wielkie pfe! Wasan nie powinien wymówić takie słowo! To nie pasuje na letniego i porządnego człowieka. Oczy! Co za dziwo, że człowiek ma oczy? Ładne, brzydkie, aby oczy, aby widziały.

— No, no, wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi

— Niech sobie siedzi, niech wcale nie siedzi, niech leży! Co nam do tego? Daj wasan pokój, panie Walenty, nie mówmy już o tym. Wasan zapewne chce co kupić na jarmarku?

— Nie.

— To po co wasan jedzie?

— Interes mam.

— Pieniądzy?

— A właśnie, muszę spenetrować po mieście, może znajdę jakiego żydka.

— Przecież ma asan na miejscu w Olszance Chaskiela, bardzo porządny człowiek i chętny do każdej dogodności. Dlaczego on panu Walentemu nie dał?

— Obiecywał, że się na jarmarku postara i właśnie dlatego jadę.

— Niech się pan Walenty nie boi; jeżeli Chaskiel przyobiecał, że się postara, to się postara napewno. On bardzo słowny jest. Zresztą, dlaczego nie ma być słowny? Panu Walentemu jeszcze można dać pieniądze.

— Dlaczego Jukiel mówi, że jeszcze?

— Bo są tacy, którym już dać nie można.

— No, to skoro mnie można, po co mam czekać na Chaskla. Niech Jukiel sam da, będzie i prędzej i pewniej.

— Może jabym dał, ale mnie nie pasuje, trochęby to było niepolitycznie.

— Aha, żydowska hajzówka! Znam ja się na tym.

— Asan myśli, że asan się zna, asan się wcale nie zna. Są takie interesy, na których nie każdy może się znać. Kto panu Walentemu powiedział o hajzówce?

— A cóż to jest?

— Widzi asan, na żydów gadają dużo, ale w tym gadaniu prawdy jest mało, tak samo i z hajzówką. Dlaczego ma być jakaś hajzówka, kiedy to jest tylko zwyczajna grzeczność i delikatność; jeden drugiemu nie wydziera chleba z ręki. Czy asan myśli, że teraz łatwo żyć? Wcale nie łatwo, a gdyby jeden drugiemu chciał jeszcze psuć, to chyba wszyscyby z głodu pomarli. Widzi pan Walenty, że nie ma żadnej hajzówki, tylko jest delikatność i grzeczność.

— Więc takim prawem o moim interesie z wami nie ma co mówić?

— Ja tego nie powiedziałem. Niech pan Walenty będzie koło południa u Małki, może ja tam przyjdę, a najprędzej przyjdziemy oba. Może się coś zrobi, może być asan spokojny.

— No to dziękuję wam, bo mi bardzo pilno potrzeba pieniędzy.

— Asan pewnie chce gruntu przykupić? Właśnie teraz ziemia niedroga.

— Właśnie, że o grunt idzie, ale nie o kupienie, tylko o co innego. Sąsiad mój, Michał, po przezwaniu Koszałka, znacie go zapewne?

— Oj, oj, co nie mam znać. Jaki interes ma pan Walenty z tym Koszałką?

— W grunt mi się lajdak worał; między, któ-

„Pod łabędziem” pani Małka na swoim stanowisku od rana. Dzieli ona swoją energię pomiędzy sklep a salon pierwszej klasy. Ubrała się niby po domowemu, ale elegancko. Obcisła suknia uwydatnia jej kształty; w uszach błyszczą kolczyki z brylantami, na szyi sznur pereł, na pulchnej białej ręce bransoleta ze szmaragdem. Rano piękna dama z pół godziny przepędziła przed lustrem; mąż jej zauważył to, splunął i w myśli podziękował Bogu, że go nie stworzył kobietą, że nie uczynił go naczyniem próżności.

— Co to jest — myślał sobie — za głupota pół godziny siedzieć przed zwierciadłem i przypatrywać się — czemu? — Własnej gębie, nosowi, oczom, ustom, włosom! I po co? Aby ucieszyć złego ducha, który wymyślił zwierciadło? Co jej przyjdzie z tego? Czy, chociażby dwadzieścia cztery godzin na odbicie twarzy swojej patrzyła, przybędzie jej jeden grosz do majątku? Pfe, pfe i jeszcze raz pfe! Wysoka jest drabina próżności, ale mąż roztropny nawet na pierwszym jej szczeblu nogi nie postawi, nie będzie się przyglądał własnemu swemu nosowi, nie będzie hołdował brodzie swojej; niewiasta natomiast wdrapuje się na najwyższy szczebel, przy pomocy współnika swojego, szatana, który od samego świata początku lubi z kobietami handlować.

Dalsze rozmyślanie na ten temat Mojsie musiał odłożyć do właściwszej chwili, gdyż teraz czym innym zaprzątnięty miał umysł. Żona powierzyła mu nadzór nad klasą drugą i trzecią, a obie były pełne gości i chociaż kuzynowie Mojsia, chwilowo zatrudnieni przy nalewaniu kieliszków i wydawaniu butelek, byli porządni ludzie i godni zaufania, jednak nie za-

szkodziło, że czujne oko gospodarza, chociaż od czasu do czasu, znienacka padało na ich ręce.

Nic bowiem łatwiejszego, jak się cokolwiek omylić; a omyłka najczęściej trafia się takim właśnie ludziom, którzy, rzadko bardzo własny grosz posiadając, nie mają wprawy w liczeniu. A takich tylko do pomocy brać można, gdyż wielki kapitalista nie zechce się wynająć do nalewania kieliszków w szynkowni.

Do „salonu” wszedł młody dzierżawca, zrzucił z siebie szare okrycie płócienne, siadł na trzeszczącej kanapie i główką od szpicruty w stół kilkakrotnie uderzył.

Na to wpadł zaraz zadyszany „myszures”, stały maiordomus zajazdu i, kłaniając się nisko, zapytał:

— Co wielmożny pan rozkaże?

— Nie był tu jeszcze Jankiel?

— Nie, ale nadejdzie, tylko patrzeć; jeżeli pilno, mogę polecieć po niego.

— Dobrze, powiedz mu, że ja przyjechałem i czekam.

— Zaraz lecę, już lecę! Czy mam kazać stangretowi, żeby do stajni zajechał?

— Naturalnie. A gdzie gospodyni?

— Pani Małka w sklepie jest, ale ona tu zaraz przyjdzie. Jak się tylko dowie, że wielmożny pan przyjechał, to w ten moment przyjdzie.

Jeszcze nie dokończył tych słów, gdy Małka weszła

— Taki gość! — rzekła z uśmiechem — taki rzadki gość, to jest zdarzenie, naprawdę.

— Jakże się pani miewa? — zapytał, biorąc ją za rękę.

— Nie życzę moim wrogom, żeby się tak mieli, jak ja.

— Co pani zawsze tych wrogów ma na

myśli? Któż oni są? Może i ja do ich liczby należę?

— Fe, jak można tak nie dobrze myśleć o mnie? Chociaż?

— Co?

— Pan dobrze wiesz co. Pan lubisz czasem żartować i mówić takie słowa, których mnie nie wypada słuchać. Czy tak robi przyjaciel? Czy...

— Nie wypada? Na środku rynku powiem, że piękniejszej od pani kobiety w życiu moim nie widziałem i że szkoda pani dla takiego szkaradnego i brudnego żyda, jak szanowny pani małżonek.

— Cicho, cicho, dość, daj pan pokój...

Młody człowiek znów ujął piękną Małkę za rękę przyczem bransoletka, zapewne źle zapięta, upadła na ziemię.

Podniósł ją zaraz i podał właścicielce.

— Widzi pan—rzekła—niechący zrobił mi pan szkodę.

— W czym?

— Tu był kamień, widocznie wypadł na ziemię. Zaraz go trzeba poszukać i niedość, że poszukać, trzeba go wprawić, a kto to robi? Czy w naszym kochanym Czarnymbłocie jest porządny jubiler? Raz mi się popsuł kolczyk, to musiałam go dać do reparacji blacharzowi.

— Blacharzowi?

— Cóż miałam robić? Spieszyłam się wtedy na bardzo znaczne wesele. Jankiel córeczkę za mąż wydawał, a kolczyk miałam zepsuty. W całym mieście, prócz kowala, bednarza i szewców, nie ma rzemieślników, byłam więc w wielkim kłopotcie. Dopiero mąż doradził mi, żeby zawołać blacharza... Jeżeli potrafi napra-

wić kwartę, może naprawi i kolczyk. No, i naprawił. Później reparacja tej blacharskiej reparacji kosztowała mnie kilka rubli. Ach! co pan najlepszego zrobił! Kamyk zginął, taki kosztowny kamyk! Doprawdy, dla mnie duża szkoda jest.

— Szukajmy.

Nachylili się oboje i zaczęli szukać. Mojsie, spieszący z koszem butelek do drugiej stacji, zobaczył to przez drzwi nawpół otwarte.

Na razie nic nie rzekł, ale pomyślał sobie, że taka wspólna czynność jest bardzo podejrzana i że można o niej myśleć i tak i owak i jeszcze inaczej... Co oni mogli zgubić i czego szukają?

Kamyk się nie znalazł, piękna kupcowa była bardzo zafrasowana.

— Niech-no mi pani da tę bransoletkę — rzekł młody człowiek.

— Na co?

— Wybieram się do Warszawy w tych dniach, więc każe wstawić nowy kamyk. Zapewne był to brylancik?

— Oj, i jaki brylant—odrzekła z westchnieniem—bardzo ładny brylant.

— Zapewniam panią, że i ten, który każe wstawić, nie będzie mały, a jeżeli znajdą się przy nim jeszcze jakie małe klejnociki, to chyba pani wielkiej przykrości nie sprawi?

— Komu to klejnociki mogą sprawić przykrość?

— I nie będzie mnie pani uważała za swego wroga?

— Nie mówmy o tym. Sam pan wie, że tak nie jest. Pomówimy o tym kiedyindziej; dziś jarmark, ja muszę wracać do sklepu. A może panu czem służyć?

— Wyjdę teraz na miasto. Zobaczą konie, za pół godziny wrócę, to mi pani każe dać co zjeść.

— Dobrze, owszem.

— A gdyby Jankiel przyszedł, niech go pani wstrzyma.

— Na co panu Jankiel?

— Pieniędzy mi trzeba, może pożyczę, może trochę zboża kupi. Obedrze mnie porządnie.

— Dlaczego?

— Bo to żyd twardy, jak kamień.

— Niech się pan nie lęka, moja w tym głowa, żeby on był miękki jak wosk.

— Dopomoże mi pani?

— Pan się pyta? A kiedyż, to ja panu nie chciałam pomódz? Ja zawsze po pańskiej stronie. Słowom tym towarzyszył tak przyjemny uśmiech, że młody człowiek byłby chętnie zepsuł drugą bransoletkę, ale nowi przybysze weszli do „salonu”.

W kwadrans później, Mojsie spotkał Małkę w sieni. On szedł po nowy transport butelek, ona wybiegła, aby zawołać służącą.

Bez żadnych wstępów Mojsie rzekł gwałtownie do żony:

— Słuchaj-no, Małka, czegoś ty szukała na podłodze z tym...

— Z kim?

— Nu z tym gojem!

— Czyś co zgubił?

— Ja nic nie zgubiłem.

— W takim razie nie bądź głupi i nie zawracaj mi głowy.

Na tak ostrą i stanowczą odpowiedź Mojsie replikować już nie miał odwagi, postanowił jednak w duchu, że przede wszystkim, jak tylko będzie miał czas wolny, to się namyśli,

a jak się już dobrze namyśli, weźmie się z całą energią do rzeczy i zdobędzie odpowiedź na pytanie: czego oni szukali?

Dla ścisłości historycznej dodać należy, że pani Małka, natychmiast po wyjściu dzierżawcy, znalazła swój szmaragd, że bardzo troskliwie zawinęła go w papier i schowała do mocnej dębowej szkatułki, w której przechowywała kosztowności własne i przyjęte na zastaw.

ROZDZIAŁ V,

opisujący trzy wielkie sale operacyjne, oraz znakomitych chirurgów i ich obiecujących asystentów.

Nie potrzeba jeździć do Berlina, lub do Wiednia, żeby poznać działalność znakomitych operatorów; w Czarnobłocie także można coś widzieć, a nie będzie w naszych słowach ani odrobiny przesady, gdy powiemy, że chirurgowie czarnobloccy, bez użycia noża, bez rozlewu krwi, nie sprawując pacjentom dolegliwych cierpień fizycznych, dokonywują operacyj nadzwyczajnych, o jakich nie śniło się najznakomitszym profesorom i praktykom, mającym europejską sławę. Szczególniej, gdy idzie o usunięcie nowotworów charakteru monetarnego, zręczność chirurgów czarnobłockich granic nie ma i przechodzi wszelkie wyobrażenie. Choćby nawet chłop połknął garść miedzianych groszaków, wydobędą je z niego tak szybko i zgrabnie, że ani się spostrzeże, kiedy ciężaru niepotrzebnego się pozbył.

W dzień jarmarczny chirurgowie czarnobloccy najgorliwiej i najenergiczniej pracują.

Ledwie jednego pacjenta zoperować zdążyli, już drugi jest na stole, a trzeciego odurzają, żeby był gotów.

Zajazd „Pod zielonym Łabędziem” podobny jest w tym dniu do olbrzymiej kliniki, w której pacjentom jest tak przyjemnie, jakgdyby napełniona była gazem rozweselającym. Tak tam gwarno i huczno, tak szkło brzęczy, tak się pacjenci śmieją, że patrzący z boku mógłby mniemać, iż się im coś bardzo przyjemnego wydarzyło, lub że wspólną a radosną uroczystość obchodzą.

W paradnej sali młody dzierzawca w dość niedbalej pozie zasiada na kanapie, pani Małka chloroformuje go pełnym obietnic wejrzeniem ogromnych czarnych oczów, tudzież winem, które dla tak rzadkiego i nadzwyczajnego gościa sama własnoręcznie z piwnicy przyniosła.

Główny chirurg i sławny operator, Jankiel Bas, z niezmierną powagą gładzi brodę, jego dwaj asystenci, Tobiasz Glancman i Noach Szparag, gestykulują na stronie i wiedzą między sobą spór bardzo ożywiony.

Jankiel Bas, jak trafnie przewidywał dzierzawca, jest dziwnie twardy, jest tak twardy i nieugięty, jak sztaba żelazna. Pani Małka usiłuje go zmiękczyć cokolwiek, co jej przychodzi z trudnością; młody człowiek nie może ukryć pewnego niepokoju, gdyż niepewny jest rezultatu. Cała jego nadzieja w pięknej gospodyni, która mu przyrzekła poparcie i wzrokiem bardzo wymownym zdaje się to przyrzeczenie ponawiać.

Ale to będzie drogo kosztowało i nic dziwnego, bo istotnie interes jest twardy. Przede Czarnebloto.

wszystkim Jankiel Bas jest twardy i nieusposobiony; wyraźnie powiada, że nie ma do proponowanej transakcji ani chęci, ani pieniędzy.

Co do pierwszego punktu, ustępuje jedynie naleganiom i prośbom pani Małki; co do drugiego zaś, musiałaby się starać o współników, ale jacyż to współnicy! Nie fachowi ludzie od zboża, nawet nie faktorzy. Tobiasz Głancman, młody człowiek, — dopiero zaczyna się puszczać na geszefta, jest jeszcze nie śmiały i nie decyduje się łatwo; Noach Szparag, przeciwnie, jest już stary i prawie wycofany z interesów i musi przynajmniej dziesięć razy zażyć tabaki, zanim poweźmie postanowienie, że trzeba coś zrobić. Jankiel zaś, trzeci i główny współnik w tej aferze, przystępuje do rzeczy bez „fajeru” i zdradza tendencję ospałą, ziewa bez ceremonii, jak nie „Pod Łabędziem” w dzień jarmarczny, ale jakby u siebie w domu, w święto, po południu.

W przemówieniach jego czuć gorycz i zniechęcenie.

— Pan zapewne sądzi, że zboże jest towar. Nie zawsze, jak czasem. Niekiedy jest dobry towar, a niekiedy bywa wart tyle, co śmiecie.

— Moja pszenica jest prześliczna; widział Jankiel zapewne, przejeżdżając przez Zatrąceniec.

— Owszem, widziałem, bardzo ładna pszenica, ale cóż z tego, kiedy teraz cena brzydka; kto kupuje w tym roku, jest wielki ryzykant, może grubo stracić.

— Dlaczego?

— Dlatego, że przychodził taki telegraf do Gdańska, że w Ameryce szlachta ma ogromny urodzaj w tym roku, że cały świat pszenicą zasypie; Węgry też mają zboża więcej, niż za-

wsze — wszędzie urodzaj, na całym świecie urodzaj — zboże będzie za bezcen i w małym ruchu! Kto może chcieć kupować?

— Jankiel kupi—rzekła pani Małka z uśmiechem. — Ja wiem, że Jankiel kupi.

— Kupię, ale bardzo tanio.

Wymienił cenę, dzierżawca aż się zerwał z kanapy.

— Ależ to niesposób?

— Nie ma w handlu gniewu, nie ma w handlu przymusu. Niech się pan wstrzyma do wiosny, może będą ceny lepsze, może się trochę poprawi.

— Pan wiesz, że wstrzymać się nie mogę.

— Więc musi pan sprzedać tanio. Ja powiedziałem już, że pieniędzy teraz dużo nie mam, muszę do tego interesu mieć współników, to też wpływa na cenę.

— A to z jakiej racji?

— Bardzo prosta racja. Jeżeli ja robiłbym sam ten interes i skorzystał na nim, dajmy na to, mówiąc dla przykładu, rubla, — to ja będę bardzo kontent, że zarobiłem rubla, a skoro jest prócz mnie dwóch współników, to oni też chcą być bardzo kontenci i także zarobić po rublu. To jest jasne, jak dzień.

— Ma się rozumieć — rzekł Glancman: — my też chcemy żyć.

Rozpoczął się targ zawzięty. Młody człowiek z początku trzymał się twardo, lecz widząc, że nie poradzi, stawał się coraz skłonniejszym do ustępstw. Pieniądzy potrzebował na gwałt, o czym współnicy wiedzieli doskonale.

Podczas targu pani Małka rzuciła od czasu do czasu delikatne słówko, aby zmiękczyć twardość Jankla i jego współników lub w ce-

lu przekonania młodego człowieka, że sprzedaż, jaką czyni, aczkolwiek nie jest wyjątkowo świetna, jednak... bywają na świecie daleko gorsze.

— W tym roku rzeczywiście cena mała — mówiła:—ale pan jest człowiek młody...

— Aj, aj! i jaki młody!—wstrzącił Jankiel— ja już nie pamiętam, kiedy taki młody byłem.

— Pan masz czas, pan możesz się doczekać daleko lepszych, bardzo wysokich cen!...

— Aby tylko zdrowie było—dorzucił Glancman — to się wszystko wyrówna.

— Handlowy interes — zakonkludował Jankiel Bas — dziś stracił, jutro zarobił, aby handel szedł!..

Cały stół, z którego przy zawieraniu transakcji zazwyczaj zdejmowano serwetę, zapisany był kredą przez Jankla i przez jego współników.

Jest to obyczaj bardzo słuszny. Kreda, mineral szlachetny, a zarazem nie drogi, jest jakby stworzona do notowania umów przedwstępnych i obrachowań tymczasowych. Ślad jej daje się z łatwością zetrzeć rękawem, albo chustką i stół pozostaje czysty, jak gdyby nigdy żadnych umów na nim nie zawierano.

Każdy porządny kupiec nosi kredę w kieszeni, bo ona we wszelkim zdarzeniu może się przydać, bo ona jest niejako poprzedniczką atramentu, którego znaczenie jest zupełnie inne. Atrament ma charakter stały i bardziej poważny; zaraz też, gdy kreda kończy swą rolę, on swoją zaczyna. To też, kiedy Jankiel powiedział wielkie słowo: „siojn”, pani Małka natychmiast przyniosła kałamarz, pełen utopionych much, ale zresztą bardzo porządny, dwa arkusze szarego papieru i pióro.

Pisanie nie zabrało wiele czasu, a gdy już było skończone, Jankiel wydobyl z kieszeni ogromny skórzany pugilares, dający się rozciągać niby harmonijka i wyrzucił z niego na stół paczkę zatłuszczonych banknotów. Operacja była skończona; Jankiel i jego współnicy wyszli ze stancji, a pani Małka, niby trochę zażenowana, mówiąc ciągle o przyjaźni, życzliwości i o swoim dobrym sercu, przyjęła jednak dość sute porękawiczne, jako wynagrodzenie za to, że skruszyła twardość Jankla.

Młody człowiek wyszedł na miasto, a za chwilę na tej samej kanapie, przy tym samym stole, operowano już drugiego dzierżawcę, jakiegoś siwego wosacza, który widocznie miał bardzo gwałtowny temperament, gdyż wymachiwał ciągle rękami, klął strasznie, a na powłóczyście spojrzenia pięknej kobiety wcale nie zważał.

W chwili uniesienia posunął nawet gburowatość do tego stopnia, że powiedział do zachwycającej kupcowej te słowa:

— Niech Małka nie przewraca ślepiami, bo to się na sto diabłów nie zda. Widziałem ją już ładniejsze, kiedy jeszcze Małki na świecie nie było.

Nie wiele szlachcicowi ta krewkość i gwałtowność temperamentu pomogła; zoperowano go równie szybko i zręcznie, jak łagodnego młodzieńca, a przy odbieraniu porękawicznego Małka zrobiła do niego takie słodkie oczy, jakie tylko kot może zrobić do myszy, gdy ją z daleka spostrzeże. Nie było mowy o uczuciach przyjaźni i poświęceniu, a natomiast szedł targ zawzięty, przy którym nie dobierało wyszukanych wyrazów.

Wszystko to jest jedno zresztą, gdyż różne są metody załatwiania interesów, a wszystkie w skutku jednakowe.

Delikatnego — trzeba operować delikatnie, szorstkiego — szorstko i bezwzględnie.

Dzień był doskonały, tranzakcje szły wybornie, ogromny pugilares Jankla napelniał się dowodami, grubiał, pęczniał, puchł i można było bez przesady powiedzieć, że mieścił w sobie prawie całą okolicę Czarnegołota.

Po dzierżawcy gwałtownym przyszedł spokojny, po spokojnym płacziwy, wyrzekający na złe czasy; po tamtym apatyczny, mający minę człowieka, któremu dawno już życie obrzydło.

Byli i oficjaliści, którym trzeba było pożyczyc na rachunek tantiemy — byli różni ludzie i wszyscy wychodzili zoperowani biegle, wprawnie, zręcznie, z niezawodną pewnością ręki i spokojem mistrza, działającego świadomie i napewno.

Część pieniędzy, otrzymanych przy kupnie lub pożyczce, zostawała w sklepie pani Małki, w tym pierwszorzędnym sklepie czarnobłockim, w którym można było dostać wszystkiego, czego tylko dusza zapraśnie, od wina do nafty, od herbaty aż do smarowidła.

Znana to w Czarnymłocie zasada, że pieniądze powinien szybko i przez bardzo wiele rąk przepływać, do każdej albowiem jakaś odrobinka przyłgnie, a z tych odrobinek ludzie mają życie.

Naturalnie, że pojęcie o odrobince jest bardzo względne. Co jest okruszyną dla Jankla Basa, wydawać się może ogromem dla dzierżawcy rogałkowego, a odrobinka, jaką w dniu jarmarcznym zyskuje pani Małka, warta jest

znacznie więcej, niż całoroczny dochód filozofa Engelmana.

W drugiej stacji było o wiele gwarniej, zwłaszcza w południe i po południu, gdy ruch jarmarczny dochodził do kulminacyjnego punktu. Tam między szaraczkami, pełnymi buty i animumszu, przewijali się operatorowie specjali, pachciarze wiejscy, kapitaliści, nie tacy wprawdzie zamożni, jak Jankiel Bas, ale swoją drogą bardzo porządni i solidni ludzie; przyczyniali się oni, jak mogli, do ożywienia stosunków handlowych Czarnegoblota i okolicy, a każdy z nich dla większego kupca wart był tyle, ile najlepsze biuro informacyjne.

Czego nie wiedział naprzykład taki Jankiel z Zatraceńca, Chaskiel z Olszanki, Mendel z Wierzbówki? Oni wiedzieli, kiedy u którego gospodarza kura jajko zniosła, ile która krowa mleka daje, ile motków przędzy, wianków cebuli, grzybów suszonych, czosnku wisi na strychu. Nie było dla nich nic skrytego, żadnych tajemnic. Wiadomo im było, jaki przy której stajni jest zamek, jaki charakter ma każdy kundel podwórzowy, znali najdokładniej wszelkie drożynki polne i leśne, ścieżki między zbożami, doły w polach, suche rowy—słowem całą topografię wioskową jak najdokładniej.

O każdym chłopie mogli dać informację wyborną: czy jest pracowity, czy próżniak, trzeźwy, czy pijak, czy ma babę dobrą, czy się jej boi, czy nie. Wiedzieli, co warte są jego dzieci: czy lubią palić papierosy i kosztować słodkiej wódki, czy też nie dadzą się skusić zapomocą tych środków.

Od tych informatorów dowiedzieć się było można z całą dokładnością, czy w danym folwarku karbowy ma cholewy u butów bardzo

szerokie, czy zwyczajne; gdzie są składane na noc klucze od śpichrza, który fornal ma zamiłowanie specjalne do handlu owsem, który pastuch nie broni znajomemu żydkowi wejść do obory i zaglądać do żłobów, który owczarz zna się na rzeczy i umie wybierać braki, jak się należy.

Oni wiedzą najdokładniej, kiedy w folwarku fornale śpią w czworakach, a kiedy w stajni, kiedy śpią twardo, kiedy lekko, a kiedy bardzo mocno. Wiedzą, ile kto na wsi ma pieniędzy, ile mu brakuje, czy ten brak jest bardzo dokuczliwy, czy też można go wytrzymać i do jakiego czasu.

Gdyby ich kto przebudził z głębokiego snu, mogą powiedzieć bez zająknięcia, ile kto posiada stożków siana i kop słomy, czy ma czym przeżywić konie i bydło do wiosny, czy też je musi na jesieni sprzedać.

Jest taki paskudny inwentarz, na który szanujący się kupiec nie powinien patrzeć, a jeżeli wypadkiem spojrzy i zobaczy, to wypada mu splunąć. Wiejski żydek też spluwa, ale swoją drogą liczy sztuki i ocenia je. Wie on dobrze, ile warte jest prosię, ile chudy podświnek, a ile spasiony karmnik.

Jest to obrzydliwe towaroznawstwo, ale w interesie przydatne, a częstokroć się zdarza, że szanujący się kapitalista pożycza chłopu pieniądze na taką nieprzyzwoitą ewikcję.

Chłop się zaklina, że jak tylko wieprze sprzeda, zaraz dług odda.

Paskudna hipoteka, ale cóż robić? Pilnuje więc chłop na jarmarku, żeby pieniędzy nie stracił, zanim oddać je zdąży.

Właśnie i Wasążek taką Chaskłowi i Jukłowi, którzy porozumieli się w dwóch słowach,

ewikcję przedstawiał. Kapitałiści spluwali, mówiąc, że od takiej godnej osoby, jak pan Waszązek, zapewnienia nie potrzebują, że im zwykły rewers wystarczy, ale zarazem spojrzeli wymownie jeden na drugiego. Jukiel był spokojny, wiedział bowiem, że od tego dnia chlew Waszązka pozostawać będzie pod ścisłą kontrolą i że żadna zmiana w brzydkim personelu jego mieszkańców nie ujdzie przed baczny okiem Chaskla.

Niebardzo jest przyjemnie patrzeć na takie stworzenia i na nich opierać pewność kapitału, ale jeżeli inaczej nie można, to lepiej wziąć jeszcze dwa procent miesięcznie wyżej za nieprzyjemność, niż nie robić wcale interesu, lub opierać go na pięknych oczach Waszązka, albo, co na jedno wynosi, na powietrzu.

Wielki i ciężki był targ żyda z szaraczkiem, trochę już ciętym dla fantazji. Waszązek wymyślał swoim dobroczyńcom od rozbójników i wisielców, życzył im, żeby zgnili w prochu, lub w jeszcze gorszym kryminale. Zgodę przybijał im na dłoniach twardą, narobioną ręką ciężką, jak z ołowiu, silną, jak ze stali.

Jukiel wrywał dłoń.

— Pfe! niech acan tak nie bijel! Acan może miarkować, że to boli...

— Głupiś i obyczajju nie znasz, dobra zgoda—dobre przybicie. Robimy zgodę, czy nie?

— No, już, już!

— A to dawaj rękę.

— Na co?

— Bez wykrętów. Ma być zgoda, niech raz będzie zgoda i skutek!

Pochwycił rękę Jukla i uderzył w nią swoją dłonią tak silnie, że aż żyd odskooczył.

— Niech acan nie robi awantury, do czego to podobne jest? Niech acan lepiej siada przy stole i pisze rewers. Czy acan piśmienny jest?

— Czy ja piśmienny? A cóż to sobie myślisz? Ja na kodeksach i na sprawach zęby zjadłem i piśmiennybym nie był? Ręka w pracy zeszywniała krzynekę, ale pisma się ona nie boi.

Tak samo, jak w głównym salonie, kreda ustąpiła pola atramentowi, Walenty zasiadł przy stoliku, odsunął butelki, kufle i zaczął pisać. Ciężko mu to szło, w izbie było ponuro i duszno. Gdy się nachylił nad stołem, a jako chłop wysoki, bardzo zgiąć się musiał, żyły na czole i na skroniach wystąpiły mu, jak baty, twarz nabrała koloru karmazynowego, z czoła krople potu, niby ziarna grochu, spadały na papier.

— Acanu, panie Walenty, krzynekę, ciężko jest—zauważył Jukiel.

— Gorąco, psia dusza!

— Nu, z rewersem nie można czekać do zimy.

— Pomaleńku napiszę.

— Ja acanu co powiem, panie Walenty, na co się pan ma zrywać i męczyć, tu żydek jeden przyjdzie. On bardzo lekki do pióra jest, w jednej minucie napisze i drogo nie weźmie. Porządny chłopak, da mu pan cokolwiek za fatygę, bogatelkę, i będzie kontent.

— O to! jeszcze będę żydziakowi kieszenie napychał! Dość mnie już kosztujecie!

— Ale niech-no pan Walenty uważa, że pana Walentego pisanie długo zabawi, a my nie mamy czasu. Dziś jarmark, dziś godzina więcej warta, niż zwyczajne trzy dni. Ja poślę po żydka.

— Czekać, czekać!—odpowiedział Waszątek

i zdjął przedewszystkiem z szyi czerwony szalik wełniany, który pomimo gorąca miał na sobie, następnie zrzucił surdut, kamizelkę, rękawy od koszuli zawinał po łokcie i tak rozneglizowany, chociaż kobiet w izbie nie brakło, do pisania zasiadł.

— No, teraz — rzekł — pójdzie już, jak po mydle, zobaczysz.

Szło oporem.

Ręka mokra przylepiała się do papieru, muchy, obsiadające łysinę, przeszkadzały zebrać myśli, pióro wyslizgiwało się z ręki.

Wielkimi literami wypisywał szlachcic: „Ja nizej podpisany własnoręcznie, Walenty Waszązek” .. Znowuż umoczył pióro w kałamarzu, ale umoczył zanadto i ogromny kleks rozlał się po papierze.

— No, co teraz będzie? — spytał Jukiel.

— Uf! gorąco piekielne; siedzę jak w piecu, ciężko! Niech będzie, co chce, posyłaj po onego żydziaka wnet.

Chaskiel pobiegł i mistrza od pióra z sobą przyprowadził.

Był to żydek blady, jak kreda, szczupły, w kapocie nieco krótszej, niż czarnobłocka moda wymaga, z oczami zapadłymi, piersią zakłęśłą, suchotnik.

— To ty, żydku, taki mechanik od pióra?? — zapytał Waszązek.

— Ja. Co ma być?

— Napiszesz rewers, a ja podpiszę.

— A co ma być?

— Rewers, powiadam ci. Czyś głuchy?

— Słyszę, ale chcę wiedzieć co ma być?

— On się pyta, co za to dostanie — wtrącił

Jukiel.

— A cóż ty chcesz?

— Rubla.

— Żebyś ty zmarniał, cygańsko duszo. Rubla za głupi rewers?

— Co ja winien, że wasan chce napisać głupi rewers?

— Chcę, bo biorę pieniądze.

— Ja też chcę brać pieniądze.

— Panie Walenty, nie bałamućmy — prosił Jukiel: — to jest jarmark, mamy jeszcze dużo interesów do zrobienia.

Po krótkim targu, żydek, jako człowiek miękkiego serca, dał się przekonać, że za pisanie rewersu żąda trochę zadrogo i poprzestał na dwudziestu groszach, które mu Walenty zaraz po uskutecznionej czynności doręczył. Następnie skrypt podpisał, pieniądze do kieszeni zgarnął i, spokojny, że już będzie miał o czym z sąsiadem taniec rozpocząć, udał się na miasto, aby sprawunki załatwić.

Gdy Wasząnek robił transakcje finansowe „Pod Łabędziem”, sąsiad jego i przeciwnik zarazem, uczynił to samo „Pod Kogutem”. Tak więc obadwaj byli przygotowani do niekrwawej przed kratkami sądowymi rozprawy.

Dodawało im to animuszu i fantazji nadzwyczajnej. Miny mieli zawadiackie, czapki zbakierowane, chód wprawdzie niepewny, ale nadzwyczaj śmiały. Ludzie ustępowali im z drogi.

W trzecim oddziale wielkiej polikliniki „Pod zielonym łabędziem” operowano chłopów. Krzyk tam był ogromny, rejwach nadzwyczajny.

Chłop w normalnych warunkach mówi głośno, a gdy wypije parę półkwaterek, krzyczy; delikatny człowiek, jeżeli chce chłopą przekonać i wpakować mu w twardą mózgownicę pewnik, że dwa i dwa jest siedem, musi krzyć jeszcze głośniej, że zaś w szynkowni znajdowało się współcześnie ze czterdziestu chłopów, ze dwadzieścia bab i kilkunastu delikat-

nych ludzi, więc łatwo sobie wyobrazić, że panna tam pewien szmer czysto jarmarczny. Nawet Mojsie Fisch, który sam nieraz mówił, że niezmiernie lubi ten rodzaj muzyki i nad wszelkie inne go przekłada, od czasu do czasu zatykał uszy i krzywił się z nadmiaru rozkoszy.

Piękny organ głosu miał Michał Rokita, jeszcze piękniejsze Bartłomiej Podsiadło, Roch Pierzchała, Filip Jagoda. Głosy tych ludzi były bardzo mocne, tak mocne, jak ich plecy rozrosłe, ręce potężne, mięśnie żelazne.

Wszystko na świecie musi mieć swój koniec, więc też i jarmark się skończył.

Jak rano szeregi fur pięły się różnymi drózkami na wzgórze Czarnobłockie, tak o zachodzie słońca znowuż tymi samymi drózkami staczały się na dół, każda jakąś cząstkę z siebie w Czarnymbłocie zostawiwszy.

W miasteczku gwar się uciszał, natomiast na drogach było głośno. Niejeden wieśniak, podochociwszy sobie, śpiewał na cały głos z całych sił, inni kłócili się, inni rozmawiali.

O północy, a nawet jeszcze po północy, słychać było turkot wozów i głosy zapóźnionych jarmarkowiczów, jakby na stwierdzenie tej wielkiej prawdy, że droga na jarmark jest znacznie krótsza, aniżeli droga z jarmarku.

Może komu dziwnym się wyda, ale tak jest, a przyczyny różnicy dwóch zupełnie jednakowych i równych dróg są następujące: Na jarmark chłop jedzie rano, z jarmarku wraca wieczorem; na jarmark jedzie trzeźwy, z jarmarku podcięty; na jarmark spieszy się i nie wstępuje do karczemu przydrożnych, z jarmarku nie ma potrzeby się spieszyć i może wstępować, gdzie zechce. Nikt mu też nie broni nocować w rowie przydrożnym, lub zna-

leżć sobie inny na świeżym powietrzu przytułek.

Oto są powody, dla których, wbrew logice, ale zupełnie zgodnie z rzeczywistością, jedna i ta sama droga może być raz dłuższą, raz krótszą.

ROZDZIAŁ VI.

O bydlęciu mądrym, o dziadzie hardym, oraz o dwóch pannach urodziwych.

Jeżeli kto wyobraża sobie, że na jarmarku w Czarnymbłocie bywają tylko ludzie z tego mizernego świata, który oczami naszymi widzimy, na którym żyjemy i handlujemy, ten jest w błędzie i znajduje się od prawdy tak daleko, jak dajmy na to miasto Czarnebłoto od miejsca, na którym ongi wznosił się gród rozpusty — Sodoma.

Że nie tylko zwyczajni ludzie bywają na jarmarkach, o tym dają świadectwo z jednej strony uczeni mężowie, z drugiej zaś nieokrzesani prostacy, co jest wymownym a niezbitym dowodem prawdy.

Można w tym razie powiedzieć, że prawdę, o której mówimy, widzący widzą, a ślepi ją namacali.

Jest niedaleko od Czarnebłota nieduże, ale bardzo sławne miasteczko Kopytków; w nim mieszka pewien mąż sprawiedliwy i uczony, do którego się tysiące ludzi zjeżdżają, głośny na dalekie, dalekie okolice, rabi Chaim. On wie dobrze, kto bywa na jarmarkach i jakim towarem handluje.

Gdyby kto miał szczęście być dopuszczono-

nym przed oblicze rabi Chaima i usłyszeć słowa, które niekiedy z ust swoich, niby rajskie ptaki ze złoconej klatki, wypuszcza, dowiedziałby się wielu, a wielu ciekawych, a nieznanym rzeczy: usłyszałby, że na tym naszym świecie znajduje się drugi jeszcze świat, zaludniony przez istoty niewidzialne gęściej, niż największe miasto. Są między nimi złe i dobre, pomocne i psotne, przyjazne i wrogie, a skoro są na świecie, to oczywista rzecz, że bywają i na jarmarkach, bo któżby im mógł tej przyjemności zabronić? Ale nie trzeba szukać aż tak wielkiej powagi, jak rabi Chaim z Kopytkowa, gdyż każdy najprostszy żyd wie o tym, że na jarmarkach w Czarnymblocie bywa wielki miłośnik prorok Elias i w ten lub inny sposób nastęrcza ubogim żydom sposobność do zarobienia, aby mieli z czego żyć i żywić liczne potomstwo; wie również, że bywają duchy dobre i złe, wie, że w bezmyślnych zwierzętach, w koniach, bydło, w drobiu siedzą duchy zmarłych ludzi, że istnieją one nawet w przedmiotach martwych, jak np. w suchych drzewach i kamieniach przydrożnych.

Ciemny i nieokrzesany naród, chłopci, niezdolni do poważnego myślenia i zastanawiania się nad zagadnieniami świata, także mają o złych duchach pojęcie. Wiedzą oni, że o północy przeszkadzają one na groblach, koło mostów, na drogach rozstajnych i czynią różne psoty niegodziwe.

Waszątek, chociaż nie zaznał w swoim życiu i nie zazna do śmierci smaku mądrych ksiąg i chociaż, z drugiej strony, nie jest tak bezwzględnie nieokrzesany, jak na przykład Michał Rokita, znał się jednak cokolwiek na

duchach i miewał z nimi nieraz do czynienia. Najczęściej spotykał ich, powracając z jarmarku.

Opowiadać o tych przygodach nie lubił, ale ludzie wiedzieli, że je miewał; świadczyło bowiem o tym zabłocone ubranie, czasem guz na czole, lub siniaki pod okiem. Po załatwieniu interesu z żydami i zakupieniu kilku drobnych sprawunków, Waszątek powrócił jeszcze „Pod Łabędzia” i tam zabawiał się w godnej kompanii, przy butelce.

Trwało to może do jedenastej w nocy. Dokładnie tego Waszątek nawet po gwiazdach wymiarkować nie mógł, gdyż te, jak na złość, rozruszały się owej nocy na firmamencie, akurat, jak żydzi na jarmarku.

Chociaż Waszątek miał wóz kuty i litry wyplatane, które wyglądały — pisz, maluj — jak bryczka, jednak na kołach jeździć nie lubił i najczęściej podróżował wierzchem, na starej gniadej kobyle. Była to szkapa własnego chowu Waszązka, znała swego pana i słuchała go, jak pies. Waszątek nie sprzedałby jej nawet za duże pieniądze, bo też było to bydlatko wcale mądre i na wszystkie sposoby wypraktykowane.

Waszątek umiał cenić jej przymioty i wiedział, że lepszej szkapiny dla siebie nie znajdzie. Istotnie, była ona jakby stworzona dla niego.

Słusznie powiedział ongi pewien chłop, że „insze bydłę, chociaż nie potrafi przemówić, ma jednak więcej rozumu, aniżeli niektóry człowiek”.

Zdanie to możnaby doskonale do szkapę Walentego Waszązka zastosować.

Do drogi tak była wypraktykowana i wi-

dząca, że czy w zaprzęgu, czy pod wierzchem, wśród nocy najciemniejszej, stapała tak pewno i śmiało, jakby w samo południe. Waszązek mógł spać na wozie doskonale, gdyż pewny był, że szkapa nie zabłądzi i że go do rowu nie wrzuci.

Przed sądem gminnym zawsze stawała, jakby wiedząc, że jej pan ma ciągle do tego domu interesa, zatrzymywała się również przed każdą karczmą. Jeżeli Waszązek zeszedł z wozu na rozgrzewkę, czekała spokojnie, dopóki nie wyjdzie, jeżeli zaś nie zsiadał i spał, stała przez jakąś chwilę i wlokła się w dalszą drogę.

Do pastwiska bydłatko było jedyne; zawsze znalazła drogę do cudzej koniczyny lub owsa, ale za najmniejszym szmerem, dosłyszawszy zdaleka odgłos kroków ludzkich, wynosiła się pocichutku na swoje miejsce i szczypała chudą, ale Waszązkową trawkę, najlegalniej i bez obawy, że jej kto jakąś przykrość wyrządzi.

Nie było wypadku, żeby ją złapano w szkodzi, a przecież wyglądała nieźle, chociaż jej skąpy Waszązek cukierkami nie pasł.

Na noclegach i popasach, w cudzych stajniach i zajazdach, umiała się doskonale zdjąć z uzdzienicy i powyjadać obrok innym koniom, a sprawowała się przytem tak cicho i spokojnie, że żaden furman się nie obudził i malwersacji nie spostrzegł.

Pożywiwszy się, jak należy, wracała na swoje miejsce i albo kładła się na słomie, albo też stała spokojnie, ze łbem nisko, do samej ziemi spuszczonej, apatyczna, jakby jej życie obrzydło.

Ogromnie zaradne bydłatko!

Potulna i spokojna wobec Waszązka, Wa-
Czarnebloto.

sążkowej i małych Wasączczaków, które najbezpieczniej na niej jeździły, względem obcych ludzi była niezmiernie harda i nieprzystępna.

Gdy się do niej kto zbliżał, tuliła uszy i wyszczerzała ogromne żółte zęby, z wyrazem wielkiego niezadowolenia.

Raz w nocy złodziej zakradł się do stajni i chciał ją uprowadzić; tak go pogryzła i kopytami potłukła, że przez kilka tygodni leżał i ledwie się wylizał, tymbarźziej, że i Wasążek, którego hałas w stajni przebudził, nakładł mu także porządnie.

Od tej pory już się złodzieje nie kusili o szkapę.

Ale wszystkie te przymioty, które wykazywała jako szkapą zaprzężną w drodze, zaradną w cudzej stajni i na pastwisku, potulną w domu, energiczna wobec obcych, były niczym z przymiotami jej, jako wierzchówki.

Zdaje się, że Wasążek część własnej fantazji jej odstąpił, bo gdy jej żywie i słomę z ogona wyskubał, gdy ją nieco rękawem wygładził, a stare siodlisko na nią włożył, nabierała takiej zawadiackiej miny i fanaberii, że trudno było ją poznać.

Od Wasążkowej posiedzialności do figury za wioską niosła łeb wysoko, potem spuszczała go znowuż, ale niechno do innej wioski wchodziła, znów była fantazja okrutna i mina.

I Wasążek się wtedy pod bok podpierał, czapkę na bakier przekręcał i paradował tak, aż chłopci przystawali, mówiąc:

— Grosiwa wiele nie ma, ale miniasty od stu diabłów!

Z iluż to przygód niedobrych wyratowała Wasążka wierna szkapą!

Szlachciura gorący był, do zaczepki skory,

do bójki jeszcze pędzsy, to też trafiało się czasem zwłaszcza, gdy się na kilku rzucił, że musiał zmykać, aby kości salwować. W takich zdarzeniach, skoro tylko szkapiny swej dopadł, był bezpieczny zupełnie. Nieraz gonili go i na dobrych koniach, ale gdzieżtam! Szkapę rwała, jak wicher, grudy ziemi wyrzucając z pod kopyt.

Waszątek wówczas pochylał się tak, że jego konopiaste wąsiska splatały się niemal z rozwianą grzywą wierzchówki i wykrzykiwał co chwila:

— Hulaj, starucha!

I starucha hulala też, hulala bez pamięci. Mogło się zdawać, że ją szal jakiś ogarał.

Rowy, wyrwy, zagony, nic nie znaczyły dla niej; pędziła, jak wicher, dysząc ciężko, pędziła dotąd, dopóki mogła.

Potem zwalniała bieg stopniowo, uspakajała się, aż wreszcie, ciężko robiąc bokami, stawała.

Wówczas Waszątek napominał ją łagodnie i ostrzegał:

— A sprobuj-no i ochwac się, starucho, obaczysz, zaraz żydowi cię sprzedam!

Nie ochwaciła się, zdrowie miała żelazne i trwałość niespożyta.

Poczciwe bydłę. Siedmioro źrebiąt miał od niej Waszątek, a wszystkie pięknie się wychowały i za dobre pieniądze do ludzi poszły. Pamięta je Waszątek dobrze, wszystkie były gniade jako i matka, tyse jako i matka, z pończochą na lewej nodze zadniej, też jako i matka.

Jeden tylko był odmieniec i miał łeb, jak latarnię, całkiem biały, ale swoją drogą natura w nim była poczciwa; do roboty nie zanadto ciekawy, do żarcia jedyny i przez to właśnie zawsze gładki i gnatami nie świecił. Doskonały koń, kupił go ksiądz z Zimnej Woli i nie

wstydzi się nim jeździć w pojedynkę chociaż osoba znaczna i kanonik.

Starucha wiedziała zawsze, kiedy Waszązek jest trzeźwy, a kiedy pijany, boć się i to szlachcicowi, odpuść mu Panie, zdarzało.

Gdy trzeźwy był, szła pod nim równo i śmiało; gdy pijany, dreptała drobno, podbiegając bokiem to na prawo, to na lewo, stosownie do tego, w którą stronę się szlachciura przechylał i tym sposobem podtrzymywała go na sobie, aby nie spadł.

Ktoby widział w nocy Waszązka, powracającego z jarmarku na swej szkapie, idącej drobnutkiem kroczeniem, zbaczającej co chwila to na prawo, to na lewo, mógłby wziąć jeźdźca i konia za jedną istotę i pomyśleć, że ma przed sobą dobrze podchmielonego centaury.

Tym razem Waszązek był dobrze cięty, ale nie drzemał, bo mu nowa sprawa na to nie pozwalała. Myślał o niej, miał już potrzebne na nią pieniądze i rozkoszował się przedsmakiem tańca, jaki z sąsiadem rozpocznie.

Droga ciągnęła się przez niewielką groblę, przerzynał ją rów nie głęboki, a na nim rzucony był mostek z balików, nawpół spróchniałych, jak klawisze ruchomych.

Właśnie do tego mostku dojeżdżał Waszązek, a tak się myślą w swoją uciechę spodziewaną zagłębił, że aż głośno mówić zaczął:

— Będę tańcował—rzekł—o! będę tańcował!

Nagle niewiadomo skąd, w ciemności nocnej, odezwał się głos gruby, ochryply, jakby z pod ziemi wychodzący.

— Łziesz, Walenty, bo nie będziesz tańcował!

Szkapa stanęła, jak wryta, szlachcic na razie zorientować się nie mógł, co się stało, kto

do niego przemawia. Uczuł, że mu się jakoś zimno robi, ale przez wrodzonego ducha przekory krzyknął:

— Otóż będę!

— Nie będziesz! — odezwało się znowu z pod ziemi

— Ktoś ty? — zawołał szlachcic, czując, że mu się czapka na głowie podnosi.

Zamiast odpowiedzi, rozległ się jakiś śmiech dziwny nieludki, w którym słyhać było jakgdyby wycie wilka, głos puszczyka, a jednocześnie ogromna jakaś figura ukazała się tuż przy drodze.

Musiało w niej być coś osobliwego i nadzwyczajnego, bo szkapa drgnęła i rzuciła się w bok tak nagle, że Waszątek o mało z siodła nie wyleciał.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał i uderzył szkapę z całej siły prętem.

Starucha chrapnęła tylko, rzuciła się naprzód, jak szalona, nie drogą, ale przez podorywkę, przez ściernie, przez łąkę; pędziła, jak wicher, jakby przez wicher ścigana.

Waszątek zląkł się bardzo, ale, co dziwniejsza, że przestraszyła się także i szkapa.

Wysoka postać, która niespodziewanie ukazała się jakgdyby z pod ziemi, ją, tę tak spokojną kobylinę, przejęła trwogą — to też, choć Waszątek nie krzyknął na nią „hulaj starucha!” — pędziła, jak wicher, bez względu na ciemność i na nierówność gruntu.

Szlachcic przynaglał ją jeszcze do biegu.

Tajemnicza postać wybuchnęła śmiechem.

— Dobrze ci tak! — rzekła — jałmużny ubogiemu nie dałeś i jeszcze mnie zdyfamowałeś brzydkim słowem, mnie! Ho, ho! jeszcze ja cię nieraz nocną porą tak nastraszę, że nie

będziesz wiedział, któredy uciekać. Mnie dyfamaować, mnie, Błażeja Pokrzywę! Mnie, którego na dziesięć parafii wkoło dziadowskim królem zowią. Ja na jarmarkach pierwszy, ja na odpustach pierwszy, ja na zaduszkach pierwszy; ja sto pieśni znam dziadowskich, a jedna nad drugą dziwniejsza! ja dziesięć głosów różnych dobyć potrafię, a jeden nad drugim silniejszy, ja wiem, co przede dworem zaśpiewać, co przed chałupą, co przed kościołem, co przy cmentarzu, a co na jarmarku pasuje. Ja nie przybłęda z końca świata, ani nie kaleka z wypadku, ani chleba z biedy proszący — ja dziad z dziada pradziada rodzony; mój ojciec dziadem był, a matka też z dziadowskiego rodu; jeszcze panną była, a już za babę chodziła po świecie. I on mi dyfamację czynił!

Odsapnął i usiadł na mostku, z pod którego był wyszedł. Z gniewu widocznie jeść mu się zachciało. Zapuścił rękę w sakwę i szukać zaczął, mówiąc do siebie półgłosem:

— Naród jest miłosierny, daje chleb i trojaki... Insza baba i jajko do garści wciśnie i okrasy nie pożałuje, a za ziele dobre od słabości, za zamówienie, za odczynienie, za każdą przysługę zapłaci. Dobry i miłosierny naród, jałmużnę świętą daje i ubogie wspiera. Trafi się i taki Waszątek, coby i psu z gardła wyciągnął, trafi się odmieniec, dusza zatracona, ale rzadko...

Brzękło coś w torbie, flasza z gorzałką zapewne; dziad ją do ust chciwie przyłożył i ciągnął długo, potem rozmaite wiktuały wydobywał i jadł powoli.

Świt przy tej czynności go zastał. Cienie nocy przeredzać się zaczęły i pierzchać, można już było widzieć drogę i mostek na niej,

przysadziste grusze polne, co się rozsiadły na miedzach, a w oddaleniu kilkanaście wysokich topoli, które wyglądały niby smukłe wieżyczki.

Dziad podniósł się.

Był to chłop dużego wzrostu, barczysty, z miny raczej na zbójcę, niż na ubogiego żebraka-kalekę wyglądał. Piwne błyszczące oczy groźnie patrzyły z pod brwi krzaczastych czarnych, jak smoła. Długie włosy, szpakowate spadały mu na ramiona, broda aż na piersi.

Utykał trochę na prawą nogę i o kuli chodził, właściwie jednak nie była mu ona potrzebna, chyba dla dziadowskiego decorum. Gdy go nikt nie widział, Błażej niósł tę kulę pod pachą, lub na ramieniu.

Oprócz kuli, nosił z sobą i kij dziadowski, długi, sękaty, zakrzywiony w grubszym końcu, a w cieńszym dobrze okuty, powyżej okucia zaś obciążnięty skórą z jeża. Z takim koszturem w rękę mógł dziad między najbardziej złymi psami przechodzić; kolczasta skórka jeża potrafiła je utrzymać w przyzwoitej odległości. Zresztą, ów kosztur potrzebny był raczej dla zachowania tradycji dziadowskiej, aniżeli dla obrony. Błażej Pokrzywa tak był dobrze w całej okolicy znany, że i psy wioskowe szczerkały na niego jedynie ze zwyczaju i poczucia psiego obowiązku.

Szczerkały, gdy szedł, a gdy usiadł przed którą chałupą dla wypoczynku lub gawędki, gdy świeży, pachnący chleb zajadał, to najzawziętszy Burek albo Łysek gospodarski siedział przy nim spokojnie, patrzył mu w oczy, a nawet i łasił się do niego.

Nie przeszkadzało mu to później z ujadaniem groźnym odprowadzić dziada aż do następnej chałupy.

Błażej miał dla wszelkich form poszanowanie i tym lubił się szczycić, że nie jest lada-jaki żebrak ale dziad zacny, według wszelkiej formy.

Oprócz kosztura z jeżową skórką, miał skorupkę żółwią, w której, gdy pod kościołem siedział, zbierał grosze; miał dwie sakwy płócienne, łatanie gęsto, chodaki wykrzywione i dziurawe, sukmanę starą, jak świat, przepasany był pasem rzemiennym, wytartym aż do białości.

Na szyi nosił różaniec z wielkich drewnianych paciorków, zakończony krzyżem mosiężnym.

Błażej był to dziad posesjonat, nie włóczęga bynajmniej, lecz osiadły na swoich własnych śmieciach. Mieszkał w Zimnej Woli, wsi kościelnej, gdzie miał niedaleko cmentarza własną lepiankę po ojcu.

Stała ona na gruncie dworskim, ale nikt dziada o tytuł własności nie pytał i używalności mu nie bronił.

Oddawna w zwyczaj weszło, że w lepiance dziad siedzi—to i siedzi. Nie przeszkadzało to nikomu. „Dziadowską budą” ta posesja się zwała, a sołtys z Zimnej Woli, setnie stary chłop i dawnych rzeczy świadomy, opowiada, że niegdyś, jak wielka zaraza na świecie panowała i grabarz nie mógł sobie z kopaniem grobów dać rady, zgodzono mu do pomocy dziada. Ten, czy dlatego, że chromał i chodzić trudno mu było, czy też, że na wsi go na komorne wziąć nie chciano, budę sobie tuż przy cmentarzu sklecił.

Zaraza przemigła, a dziad został, budę fundamentalnie wzmocnił, gliną i ziemią obrzucił, tak, że trawa na niej porosła.

Z czasem zrobił sobie i drzwi zamykane i okienko i komin, a jednego razu, powróciwszy z włóczęgi kilkotygodniowej, babę szkaradną z sobą przyprowadził i dzieciaka, też kulawego jak sam.

Zaczęli ludzie na to sarkać, że zgorszenie się dzieje tuż przy samym cmentarzu, ale dziad gorszących się brzydkim słowem zdyfamował i złe języki przytarł, gdyż papierami się wywiódł i przekonał, metryki pokazawszy, jako baba jest jego prawowita żona, a chłopiec, prawowity syn, ochrzczony aktualnie, -że po imieniu mu Błażej, a po nazwisku Pokrzywa.

Wójt się w tę sprawę wdał, papiery obejrzał, dziada z familią zapisali do ksiąg i już pozostał on tak przy wsi, jako rękaw przy kapocie, lub guzik przy inszym stroju.

Czas uchodził, Błażek podrastał i w dziadowskim rzemiośle porządnie był chowany, aż nareszcie stara Pokrzywina zmarła, a Pokrzywa, jak się w świat po zebraniu puścił, tak więcej go oko ludzkie nie widziało.

Pewnie zmarł gdzie dziadzisko i ziemię gryzie.

W lepiance, w budzie dziadowskiej, Błażej sam pozostał, a że to tak niby jakby na prawie sukcesji, więc mu nikt przeszkody żadnej nie czynił i siedzi po dzisiejszy dzień spokojnie.

Siedzi, ma się rozumieć, gdy przyjdzie; ale więcej włóczy się po okolicy, na odpusty, na jarmarki i grosze do kabzy, a chleb do torby zbiera, jak dziad.

Baby nie ma. Sam sobie jeść gotuje, sam sobie niekiedy lachmany pierze; w swojej wsi o jałmużnę nigdy nie prosi, chyba, że mu kto z własnej chęci grosz do garści wciśnie, to

weźmie, ale nie darmo, bo zaraz, na poczeka-
niu, pacierz zmówi, żeby nie myśleli ludzie, że
jest jako inni dziadowie, co to i pieniądze we-
zmą i nawet „Bóg zapłać!” nie rzekną.

Kapnie mu też czasem co nieco za suszone
zioła, których w lepiance ma zawsze dość, na
różne słabości skutecznych.

Taki to jest ów Błażej, co Wasażka prze-
straszył, ów dziad posesjonat, dziad z dziadów.

Podjadłszy sobie dobrze na mostku, Błażej
wstał i, nie spiesząc się, poszedł drogą, potem
ścieżką wydeptaną, co się wśród pól wila, ni-
by szara tasiemka; szedł ze dwie godziny, aż
wyszedł pod samą Brzozówkę, pod folwark.

Właśnie przechodził koło dworu, otoczonego
dużym, osztachetowanym ogrodem.

Słońce już weszło, na dziedzińcu między
budynkami był ruch, żuraw od studni skrzy-
piał przeciągle, fornale konie poili.

Koło sztachet ogrodowych, od drogi tylko
rowem oddzielonych, dobył Błażej głosu wiel-
kiego i stosownie do wczesnej pory dnia, za-
czął śpiewać z pełnej piersi:

„Kiedy ranne wstają zorze...”

Ledwie prześpiewał jedną zwrotkę, z po za
leszczyny, malin, agrestowych krzaków, wy-
chyliła się jasna postać i ktoś dźwięcznym, mi-
łym głosem zawołał:

— Dziadku, dziadku!

Błażej się obejrzał, za sztachetami stała
dziewczyna młodziuchna, ładna, a świeża, jak
poranek, który na nią blaski swe rzucał.

Ubrana była w jasną sukienkę, włosy mia-
ła uczesane gładko i w jeden wielki warkocz
splcione. Za nią ukazała się druga, tak sa-
mo ubrana i bardzo do pierwszej podobna.

Błażej czapkę zdjął i do samych sztachet się zbliżył.

— Niech będzie pochwalony!—rzekł.—Dzień dobry panienkom!

— Dzień dobry dziadku! A skąd Pan Bóg prowadzi tak rano?

— Na jarmarku się było wczoraj w Czarnymbłocie, panienko, na jarmarku, podług dziadowskiego rzemiosła, które cięższe i trudniejsze, a mało intratniejsze, niż insze szewstwo. Wieczorem się wyszło z Czarnegoblota, nocą się cokolwiek przespało pod mostem, a potem się poszło i idzie się oto przed siebie.

— Wstąpcie do kuchni, barszczu wam dadzą, a i chleb jest świętutki, wczoraj pieczony.

— Bóg zapłać! Stroi panienczkę kwiatek, a jeszcze piękniej stroi miłosierdzie dla ubogiego. Niechże Bóg wynagrodzi, niech da panienkom zdrowie dobre, fortunę wielką i mężów, każdej takiego, jako sama sobie uwidzi i upodoba...

— Idźcie do kuchni.

— Pójdę, panienko, podjem sobie i modlić się będę do świętej Zofii, patronki starszej panienki, i do świętej Jadwigi, patronki młodszej panienki, aby wyprosiły wam szczęście i błogosławieństwo Boże. Podjem sobie, pomodłę się i pójdę dalej w świat.

— A w którą stronę, dziadku, pójdziecie?

— Gdzie oczy wskażą i nogi poniosą. Powlokę się, kusztykając, przez las, bo między drzewiną chłodniej i precz, precz, lasem do Zimnej Woli na noc ściągnę do domu, jeżeli zdążę...

— To wam droga wypadnie przez Majdan.

— Dziadowi, panienko, rozmaicie drogi wypadają, czasem przez Majdan, czasem i nie

przez Majdan, ale dziś musi mi wypaść przez Majdan.

— A to dlaczego?

— Dla panienki. Chociaż ja prosty dziedzisko i nieuczony, ale zawsze zmiarkuję, co kiedy i jak uczynić, żeby za dobre słowo i za jałmużną świętą według swojej możliwości odслужи.

— Nie rozumiem ja, dziadku, co wy mówicie.

— Oj, dobrze panienka rozumie, tylko się przyznać nie chce.

Panna Zofia zarumieniła się, jak dojrzewająca wisienka, siostra jej zaczęła się śmiać, a dziad prawil dalej:

— Dziś mi droga przez Majdan wypadnie, panienko, sprawiedliwie przez Majdan, a coby panienka miała tam komu nakazać, to nakażę, a komuby się kazała kłaniać, to się pokłonię.

— Powiedzieć nie mam nic, a co do poklonienia się, to niech się dziadek pokłoni od nas pani Zawadzkiej!

— Dobrze, panienko, pokłonię się, a jej synkowi to pewnie nie trzeba?

— Dlaczegoż?

— Tedy pokłonić mu się od panienki?

— Po cóż?

— Dlaczegoż? Po cóż? I pokłonić się — i nie kłaniaj się... Mój dziadowski rozum nie zmiarkuje.

— Miarkujcie sobie jak chcecie, ja przecież nie mówię ani tak, ani owak

— To właśnie najlepiej, panienko.

— A to dlaczego?

— Bo ja, podług swego pomiarkowania, powiem mu i tak i owak.

— Tylko bardzo was proszę, nie powiedz-

cie za dużo. Ja wam nic nie polecam i do niczego was nie upoważniam. Pan Stanisław, jeżeli chce, może do nas przyjechać, zna drogę; że już dwa tygodnie nie był, to jego wola. Nikt tu nie tęskni z tego powodu i nie płacze, ale jeżeli jego mama, pani Zawadzka, przyjedzie, będziemy bardzo rade. Niech jej to dziadek powtórzy, niech powie, że tęskno nam za nią, że przyjechałybyśmy do niej, ale teraz czas taki, w gospodarstwie zajęcie, że nie ma kiedy, i ojca o konie prosić nie śmiemy. Pani Zawadzkiej łatwiej, niż nam, na leśniczówce gospodarstwo małeńkie, oddalić się można, a pan Stanisław dla mamy koni żałować nie będzie. To tylko, dziadku, powiedziec, nic więcej. Nic a nic, ani jednego słówka, bo zagniewałabym się was strasznie.

— Dobrze, panienko, dobrze, Błażeja uczyć nie trzeba, powie on wszystko pani Zawadzkiej, a gdyby jej syna w lesie spotkał, to już na Majdan nie pójdzie, tylko lasem, wprost koło jeziora, do Zimnej Woli. Com miał matce powiedziec, to powiem synowi, on zaś jej powtórzy akuratnie, do słowa. O, powtórzy, to bardzo akuraty panicz.

— Skąd wy, dziadku, wiedziec możecie, czy on akuraty, czy nie?

— Dużo się, panienko zlocista, po świecie chodziło, dużo się widzi i słyszy, więc też i niejedno się wie. Ludzie nieraz mówią, na dziada nie zważają, a dziad siedzi w izbie, albo koło izby i słyszy. A wie panienska, co to ucho dziadowskie?

— No, ucho, jak ucho.

— Oj nie, panienko złota, nie; różne są na świecie uszy, a wcale niepodobne jedne do drugich. Insze chłopskie, insze żydowskie, a dziadowskie jeszcze inaksze.

-- Jakież więc?

— A właśnie, że rychtyk, jak dziadowska torba — głębokie. Co tam wpadnie, to już i siedzi, bo dziad rzadko kiedy torbę wytrząsa. Panienczki śmieją się z dziada...

— Ależ nie.

— Wiem ci ja to, wiem, bom trochę widzący.

— Jakto, widzący?

— Skoro trzeba urok odczynić — odczynię; zamówić bolączkę — zamówię; co w człowieku siedzi, przeniknę, i oj, panienko, jakie kto pomyslenie ma — zgadnę.

— Nie może być!

— A no, niech panienka spróbuje.

— Jakże mam spróbować?

— Powiedzieć, co panienka myśli?

— Powiedzieć.

— Panienka myśli tak: dobrze, że dziadziśko idzie na Majdan, ale szkoda, że jutro nie będzie tędy powracał. Otóż, na złość, będę jutro powracał, jak się tylko jasne słoneczko ukáže.

Widocznie dziad odgadł myśli dziewcząt, gdyż roześmiały się głośno i uciekły w ogród, niby sarenki spłoszone.

Błazej brodę pogładził i powlókł się do kuchni na barszcz.

ROZDZIAŁ VII.

Słówko o dzierzawcy z Brzozówki, jego siostrze Gertrudzie, o soku wiśniowym i asygnacji na drzewo.

O dzierzawcy Brzozówki kapitaliści czarnobłoccy rozmaicie mówili, wogóle nie przypadła on im do gustu. Zboża na pniu nigdy nie

sprzedawał, pieniędzy na zapłacenie raty dzierżawnej nie pożyczał, a kiedy przyszło do jakiej transakcji, targował się o każdy grosz, czasem kłął, a bywały i takie zdarzenia, że porządne go kupca wyrzucał za drzwi.

Tego rodzaju ludzie nie są bardzo przyjemni w obejściu, ale za to pewni w interesie; są pewni w interesie, ale zarobić wiele na nich nie można.

U takiego człowieka sto korcy znaczy zawsze sto korcy, a dajmy na to ósmy grudnia jest bezwarunkowo ósmy grudnia, choćby tego dnia było nawet trzęsienie ziemi. Jest to bardzo ładnie, ale niekorzystnie, nie można bowiem dostać ani grosza za uchybienie terminu, ani kilku korcy zboża za oczekiwanie, ani nawet głupiego cielęcia lub gęsi za grzeczność. Gdyby wszyscy ludzie byli tacy, wówczas delikatność kapitalistów nie przynosiłaby wcale procentu.

W Czarnymbłocie wiedziano dobrze, że Brzozówka od dwudziestu kilku lat jest w dzierżawie pana Jacka Boreckiego i będzie w niej dotąd, dopóki pan Jacek Borecki zechce, bo nikt z okolicznych dzierżawców rat tak regularnie nie płaci i nikt tak nie gospodaruje porządnie, jak on.

Mówią, że pan Borecki ma pieniądze; finansiści czarnobłoccy obliczyli, że kto ma takie dochody duże i takie wydatki małe, jak on, ten musiał przez dwadzieścia kilka lat uskładać przynajmniej kilkanaście tysięcy rubli,

Nie można było jednak dojść, gdzie je trzyma i co z nimi robi; nawet znany z dyplomatycznych zdolności Dawid Śliwka nie mógł tego wy badać.

Posyłano na zwiady młodego żydka, aby

pod pozorem stręczenia służby zamówił się do dworku w Brzozówce i wymiarkował, gdzie co może być, ale wyprawa się nie powiodła.

Pan Jacek, człowiek z natury podejrzliwy, spotkawszy żydka na dziedzińcu, sam go zaczął badać i dopytywać, a ponieważ młodzieniec plątał się w odpowiedziach i nie umiał objaśnić, po co właściwie przyszedł, szlachcic kazał go za bramę wyprowadzić, zapowiedziawszy mu przytem, że jeżeli się jeszcze raz pokaże w folwarku, to go grubsza nieprzyjemność spotka.

Mógłby kto mniemać, że żydek posłany był w złych intencjach; jest to pogląd błędny i finansistom czarnobłockim uwłaczający: jeżeli chcieli wiedzieć, czy pan Jacek ma pieniądze, to tylko jedynie dla zaspokojenia ciekawości.

Młodemu żydkowi powiedziano, że jest głupi i że przez niezręczne branie się do rzeczy wzbudza tylko niechęć do całego miasteczka.

Młodzieniec odrzekł i dość nawet opryskliwie, żeby na zwiady udał się ktoś mądrzejszy, jeżeli, notabene, znajdzie się taki w Czarnym-błocie.

Dawid Śliwka nic nie mówił, ale wyzwanie wziął do serca i postanowił przy pierwszej sposobności gruntownie rzecz zbadać. Jakoż jednego dnia przyjechał do Brzozówki wielce zaaferowany, spocony, czerwony na twarzy i oświadczył służbie, że się musi widzieć z panem Boreckim, w nadzwyczaj ważnym i pilnym interesie.

Powiedziano mu, że pan Jacek jest w polu pod lasem, gdzie jęczmień koszą.

Dawid nie czekał aż wróci, lecz siadł na biedkę i okładając konia biczem, popędził galopem na pole.

Pan Jacek dojrzał go zdaleka i poznał, a widząc, że mu jakieś nadzwyczajne znaki żyd daje, opuścił robotników i zbliżył się do samej drogi.

Dawid zeskoczył z biedki.

— Panie—rzekł, dysząc—wielmożny panie! Złote jabłko wiozę, na moje sumienie, złote jabłko!

— To je sobie wież—odpowiedział obojętnie szlachcic:—cóż mnie do tego?

— Jakto co? Ono jest dla pana; ja do pana jadę naumyślnie, ja konia zabijam, żeby nas kto nie ubiegł.

— Nas?

— Ma się rozumieć, przecież i ja przytym coś zarobię.

— Mów-no po ludzku, bo ja przy robocie jestem, a romansować z żydami nie lubię; chcesz co kupić — kupuj, płac, zabieraj i wyńś się, gdzie pieprz rośnie.

— Po co pieprz? Pan dobrodziej jest bardzo gorący.

— Bądź zdrów, szczęśliwej drogi życzeń!

To mówiąc, odwrócił się i ku robotnikom zmierzał.

— Panie, proszę pana! — wołał, biegnąc za nim, Dawid. — Ja panu do ręki majątek wielki daję, pan może jeszcze sto lat żyć i drugie takie zdarzenie się nie trafi. Niech pan dobrowolnie szczęścia z rąk nie wypuszcza, niech pan nie krzywdzi córek.

— Niech cię o moje córki głowa nie boli, to nie twoja rzecz. Co masz mówić?

— Zna pan mająteczek, Tartaczek, o pięć mil za Czarnymbłotem?

— Znam.

— Dobra w nim ziemia?

— Doskonała.

— I las jest...

— Przerzedzony.

— I łąki, aj, jakie łąki! Oj, ojl żebym ja takie szczęście miał.

— Istotnie wyborne!

Dawid przechylił głowę, przymrużył jedno oko i zapytał:

— Jak się wielmożnemu panu zdaje, czy za ten majątek można dać po tysiąc rubli za włókę?

— Bez namysłu można.

— No — zawołał Dawid z tryumfem — to Tartaczek, choćby jutro, może być pański! Terazniejszy dziedzic cokolwiek w interesach; jemu się przykrzy na wsi, chce zamieszkać w mieście, odpocząć — dlatego sprzedaje z wolnej ręki. Trzeba zaraz dziś na noc jechać, z dziedzicem porozmawiać, a pojutrze do hipoteki i koniec.

Pan Jacek uśmiechnął się pod wąsem i odrzekł powoli:

— Nie trzeba jechać dziś na noc.

— Jakto nie trzeba? — zawołał zaperzony Dawid.

— Bo nie. Ja nie kupię tego majątku.

— Nie kupi pan?

— Nie.

— Przecież dopiero co powiedział pan sam, że można dać cenę, jaką żądają, bez namysłu.

— Rzeczywiście, że można.

— No, więc?

— Ale ja nie dam.

— Niech mi pan wytłumaczy, dlaczego? co w tym za feler jest?

— Są dwa, jak dla mnie: pierwszy, że nie

mam chęci do kupna, drugi, że nie posiadam pieniędzy.

— Pan nie ma pieniędzy?

— Dziwi cię to?

— Ma się rozumieć; jeżeli pan pieniędzy nie ma, któż je będzie miał w naszych stonach?

— To mi wszystko jedno; niech ma, kto chce!

Próbował jeszcze Dawid z różnych beczek, zachodził stąd i zowąd, ale to się na nic nie zdało.

Dzierżawca Brzozówki był taki zawzięty i zapracowany gospodarz, że myślą po za granice folwarku, pól i łąk bardzo rzadko wybiegał, cudzymi sprawami nie zajmował się wcale, bliższych stosunków prawie z nikim nie utrzymywał. Od świtu do nocy był on na polu, lub w stodole, wszędzie zajrzał, wszystkiego sam dopilnował.

Nie dziw, że w opinii kapitalistów czarnobłockich uchodził za zamożnego, jeżeli nie za bogatego człowieka.

Borecki był to mężczyzna wysoki, silny, imponującej postawy; rysy twarzy miał wyraziste, wąsy duże, szpakowate.

Owdowiał po kilku zaledwie latach pożycia małżeńskiego. Żonę, kobietę młodą, a bardzo dobrą i kochaną, zabrała mu w zaraniu młodości śmierć; pozostał sam z dwiema maleńkimi córeczkami.

Odczuł stratę głęboko, a choć nie manifestował żalu i rozpaczy, znać jednak było po nim, że bardzo cierpi.

Powtórnie żenić się nie chciał, żeby zaś córeczki miały opiekę kobiecą, a dom gospody-

nię, sprowadził siostrę swą, pannę Gertrudę; ta Zosi i Jadwini matkę zastępowała.

Była to stara panna, kapryśna trochę, prędką, ale w gruncie bardzo zacna kobieta.

Zajmowała się dziećmi serdecznie, a gospodarstwem kobiecym zawzięcie, z energią niezrównaną.

Odrazu, od pierwszego dnia, w którym do domu swego brata przybyła, zażądała, aby wzajemny ich stosunek był określony jasno.

— Ty, panie bracie—rzekła—pilnuj swego, ja pilnować będę swego i nie przeszkadzajmy jedno drugiemu. Wiedz brat o tym, że rządzić lubię i potrafię, a jeżeli nie wyszłam za mąż, to tylko dlatego, żeby się pod władzę czyjaś nie poddawać.

— Tak, pani siostró — odrzekł Borecki — znam cię przecież od małego, bratem twoim jestem, a rodem kurki czubate.

— Rodem, panie bracie, rodem, tylko się nam jakoś nie szczęści.

Borecki westchnął, stara panna mówiła dalej:

— Z pięciorga dwoje już nas tylko zostało: ja rutkę sieję, a nawet teraz już nie sieję.

— Z własnej woli.

— Jak jest, to jest, dość, że jest. Za mąż nie pójdę, bom już z lat wyszła, a i ty, nieboraku, w małżeństwie szczęścia nie znalazłeś.

— Owszem, było...

— Tak, ale krótko.

— Tym większy żal i ból, pani siostró — rzekł z westchnieniem.—Żeby nieboszczka była zła, przykra, dokuczliwa, to oczywiście nie uczułbym tak boleśnie jej straty, ale taka dobra, taka cicha...

Nie dokończył, oczy łzami mu zasłyły. Pan-

na Gertruda wstała, zbliżyła się do brata i uścisnęła go serdecznie.

— Bracie — rzekła — dość! Wola Boga. On dał, On wziął. Tyś silny, przetrwasz. Za spokój zmarłej módl się, a na sierotki patrz, mój bracie kochany...

Był to jedyny wybuch czułości, na jaki sobie panna Gertruda pozwoliła. Otarła nieznacznie oczy i wnet przybrała dawny, szorstki nieco wyraz.

— Panie bracie — rzekła — przystąpmy do rzeczy. Wezwałeś mnie, żebym była twoim dzieciom matką — będę; ale przede wszystkim musimy się rozmówić.

— O czym?

— Chcę wiedzieć, co mam tu czynić, co do mnie należy, na jakich nogach ja tu stanę? Niedługa to będzie rozmowa, parę słów. Zgodzisz się — dobrze; za godzinę już wszystko ujmę w ręce; nie zgodzisz — drugie dobrze, posiedzę do jutra i wracam.

— Ależ siostró...

— Zaraz, zaraz, braciszku. Najprzód chciałabym wiedzieć, co myślisz: czy się ożenisz drugi raz, czy nie?

— Nie! — odrzekł z mocą.

— Teraz tak mówisz, ale za rok, za dwa, gdy pierwszy żal przeminie, możesz zdanie zmienić.

— Zapewniam siostrę, że nie zmienię. Sama powiedziałaś przed chwilą, że twardy jestem. Nie ożenię się nigdy.

— Dajmy na to, chociaż rozmaicie to bywa, panie bracie. Będzie, co Bóg da. Otóż najprzód, chciej wiedzieć, że pozostanę u ciebie tylko dotąd, dopóki się nie ożenisz. Gdy się to stanie, odjadę jako niepotrzebna: niema bo-

wiem takich dzieci, któreby potrzebowały dwóch matek, ani takiego domu, żeby musiał mieć dwie gospodynie.

— A więc pozostaniesz na zawsze.

— Od ciebie to zależy... Druga rzecz, co ja mam tu robić?

— No, jak w domu.

— Za pozwoleniem; mam się zająć dziećmi, to główna rzecz; zajmę się, ale to mało. Obejmę cały zarząd domu i gospodarstwa kobiecego.

— Dobrze.

— Ale z warunkiem, żeby mi się pan brat do niczego nie wtrącał. Wolałabym Belzebuba zobaczyć, aniżeli mężczyznę w kuchni. Pod tym względem chcę sama być panią.

— Już nią jesteś, siostrze — odrzekł z uśmiechem Borecki: — ja ci się wtrącać do niczego nie będę.

— Ma się rozumieć. Ty siej zboże i zbieraj posagi dla córek, a ja, jeżeli Bóg da doczekać, biorę na siebie wyprawy i kobiece gospodarstwo. Na to wystarczy. Zgoda?

— Zgoda.

— W takim razie nie ma co bałamucić; proszę o klucze i niech mi pan brat pokaże, gdzie co jest.

W godzinę później już panna Gertruda, w popielatej sukience, w czarnym fartuchu, z pękiem kluczów u pasa, chodziła po zabudowaniach; zwiedziła kuchnię, piwnice, strychy, obory, chlewy, kurniki, ogród i ujęła żelazną ręką wszystko, co tylko do kobiecego gospodarstwa należy.

Na drugi dzień krzątała się już tak swobodnie, jakgdyby od wielu lat była w domu brata, już nic nie było dla niej obce, ani nowe.

Służba odrazu poznała, z kim ma do czy-

nienia i domyśliła się, że ta pani czasu tracić nie da.

— Pan Jacenty miał zapowiedziane, że od-
tąd obiad ma być punktualnie o godzinie w pół
do pierwszej i że spóźnić się nie wolno niko-
mu, bez wyjątku.

Pracowali usilnie oboje brat i siostra. On,
zapewne w wielkim zmęczeniu fizycznym chciał
smutek swój zagłuszyć i uśpić, a ona z poczu-
cia obowiązku, z przyzwyczajenia, z tempera-
mentu—ruchliwego nadzwyczaj — swoje robiła.

Z dziećmi miała trochę kłopotu. Dziewczyn-
ki, przywykłe do pieśczot matczynych, nie
mogły odrazu przylgnąć do ciotki, szorstkiej
w obejściu i surowej; ale z czasem i to przy-
szło. Bały się trochę, były posłuszne każdemu
jej skinieniu, ale i pokochały ją także, może
instynktem dziecinnym przeczuwając w niej
istotę dla nich, po ojcu, najżyczliwszą i całą
duszą im oddaną.

Brat z siostrą rozmawiali rzadko, chyba
przy obiedzie lub kolacji, o pogodzie i drobiaz-
gach codziennego życia; tak zwane przez pan-
nę Gertrudę „konferencje” zdarzały się zaled-
wie raz na kilka lat.

— Raz, naprzykład, dowiedziała się, że
brat chce sprzedać zboże na zaspokojenie ja-
kiegoś pilnego wydatku, a jej zdawało się, że
lepiejby było powstrzymać się i na lepszą ce-
nę poczekać.

Było to w czwartym, czy piątym roku po-
bytu jej w Brzozówce.

Kiedy się obiad kończył, rzekła:

— Panie bracie, chciałabym odbyć z tobą
krótką konferencję w cztery oczy.

On spojrział na nią zdziwiony.

— Sekret?—zapytał.

— Zapewne.

— A więc proszę, słucham, niechże pani siostra usiądzie.

— Nie usiądę — odrzekła — nie mam czasu na długie dysertacje, bo dzisiaj chleb się piecze. Słyszę oto, że bratu potrzeba pieniędzy.

— Tak jest,

— Podobno brat chce sprzedać zboże?

— Rzeczywiście.

— Teraz czas nie jest na to odpowiedni, lepiej będzie trochę poczekać.

— Zapewne, że tak...

— To dlaczegoż pan brat mi nie powie, że potrzebuje?

— Alboż pani siostra ma pieniądze?

— Ile bratu potrzeba?

— Pięćset rubli.

— Niechże pan brat siada i napisze rewers, jak należy, bo ja na piękne oczy nie dam. Pieniądze zaraz przyniosę.

Wyszła i za chwilę przyniosła żadaną sumę.

Borecki spojrział zdziwiony.

— Skądże to — zapytał — pani siostra przychodzi do takich kapitałów?

— Mój bracie — odrzekła — czy to z kur, czy z gęsi, to bratu wszystko jedno. Skoro są, brać, rewersik dać, a w terminie oddać. Idę już, bo tam z chlebem Bóg wie, co mogą porobić.

Wzięła rewers ze stołu i wybiegła.

Druga bardzo ważna „konferencja” odbyła się, kiedy Zosia ukończyła dziesięć, a młodsza jej siostra, Jadwinia, ośm lat życia.

Wówczas panna Gertruda zapowiedziała bratu, że konferencja jest konieczna i że odbędzie się w niedzielę, wolnym czasem.

— Panie bracie—rzekła—dziewczyny nasze rosną.

— I zdrowo, dzięki Bogu!

— Co z niemi dalej robić?

— Pod jakim względem?

— Widzi brat, w bawełnę niema co owijać; nauczyłam je czytać, pisać, katechizmu i trochę rachunków, historii. Więcej nie nauczę, bo i sama nie umiem, a choć tam jeszcze czegoś się za młodu uczyłam, to mi już wywietrzało z głowy. Cóż tedy pan brat myśli?

— Jakże pani siostra uważa?

— Ojciec ma pierwszy głos.

— Pani siostra jesteś dla nich matką, więc też masz głos.

— Chciałabym zasłużyć na ten tytuł. Otóż trzeba te dziewczyny jeszcze kształcić.

— Ale czego? gdzie? jak?

— Otóż w tym sęk.

— Możeby na pensję oddać?

— Co też pan brat mówi! Może jeszcze mają brzdąkać na fortepianie i paplać po francusku?

— Cóżby to szkodziło?

— A nie, panie bracie, jak cię kocham, to na nic! Co je czeka? Gospodarskie córki, wyjdą za mąż za gospodarzy i czeka je praca. Z kim będą po francusku mówiły? czy będą miały czas brzdąkać! Na nic to, panie bracie.

— Więc jakże?

— Ja uważam, że trzeba na kilka lat wziąć porządną nauczycielkę do domu.

— Cóż łatwiejszego?

— Chyba coś trudniejszego? Byle kogo nie chcę, a skoro mamy płacić, wiedzmy za co.

— To najlepiej będzie, jeżeli siostra sama

pojedzie do Warszawy i wybierze osobę wedle swego uznania.

— Ja do Warszawy! Ale któż tu zarządzi? kto się zaopiekuje dziećmi, dojrzy służby, dopilnuje porządku! Wy mężczyźni traktujecie to lekceważąco, a to są, doprawdy, rzeczy pierwszorzędного znaczenia.

— Nie przeczę, uznaję to w zupełności, ale tydzień, nie wieczność. Ja dam baczość na wszystko, a Michałowa, szafarka, jest, jak mniemam, uczciwa kobieta i można jej zaufać.

— Zapewne, dopóki trzeźwa, jedyna baba, ale jak się dorwie do flaszki, przepadło. Ja toleruję i przebaczam, gdyż, na szczęście, nie pozwala ona sobie zbyt często, raz na kwartał zaledwie. Ale któż mi zaręczy, że podczas mojej nieobecności akurat taki fatalny termin nie wypadnie.

— Niech jej pani siostra zapowie.

— Nie na wiele się to przyda.

— Ja sam pilnować będę.

— Znam ja męskie pilnowanie. Nic, panie bracie, pilnuj tylko dzieci i miej na nie baczenie, reszta niech już tam. Pojadę i wyszukam, a wyszukam takiej kobiety, żeby dziewczątek wielkich a niepotrzebnych mądrości nie uczyła, bo, moim zdaniem, panie bracie, kobieta winna być przede wszystkim bobieta, a zwłaszcza wiejska kobieta. Niech ma w głowie, owszem, ale niech ma praktyczne wiadomości. Co do gospodarstwa, niech pan brat będzie spokojny; ja jestem ich guwernantką i zrobię z nich gospodynie wzorowe.

Po odbytej konferencji, ciotka Gertruda powiedziała Michałowej w cztery oczy bardzo pouczające kazanie o wierności, trzeźwości, sumiennym pełnieniu obowiązków, oraz przyobie-

cała, że za dobre zachowanie się czeka ją nagroda w postaci oryginalnego czepka z Warszawy, a za złe kara sromotnego wypędzenia na cztery wiatry i pozbawienie godności szafarki.

Baba, do łez wzruszona energiczną przemową, zaklęła się na wszystkie świętości, że żadnego trunku do ust nie weźmie i że żrenicy oka swego nie będzie strzegła lepiej, niż powierzonego jej dobra.

Na drugi dzień panna Gertruda pojechała. Po tygodniu powróciła i panienki miały nauczycielkę, Michałowa zaś czepiec ze wstęgami zielonymi, jak majowa sałata.

Trzy lata była nauczycielka w Brzozówce i uczyła dziewczynki, według programu bardzo skromnego, ułożonego przez ciotkę, a spełniwszy, co do niej należało, odeszła.

Czas zbiegał, dziewczęta rosły i pracowały pod kierunkiem panny Gertrudy, rosły, aż wyrosły na piękne, co się zowie, dziewczęta.

Były one, niby kwiaty polne, proste a wdzięczne, roztaczające dokoła urok młodości i świeżości wiosennej. Ktoby je chciał dokładnie odmalować, musiałby zamiast farb użyć blaszków słonecznych, barw kwiecistych, rosy porannej, tchnienia wiatru letniego, gdy się rozigra i z listkami na drzewach figluje. Obie były brunetki, o czarnych oczach, drobnych rysach twarzy. Opalone cokolwiek, ręce miały nie nadto delikatne i wypieszczone, ale zgrabne, ruchy bardzo zręczne, figurki ślicznie zarysowane.

Dobry humor nigdy ich nie opuszczał, śpiewały przy robocie, a srebrzysty ich śmiech słyhać było często we dworku, na dziedzińcu, w ogrodzie. Najwięcej w ogrodzie, ten

bowiem do nich niepodzielnie należał. Własnymi rękami uprawiały warzywa i kwiaty, ale jakie kwiaty, jakie warzywa! Było co podziwiać, bo choć to niby wszędzie na wsi ludzie coś podobnego mają, ale zawsze to nie to, co w Brzozówce. Zbierały też owoce, a jakie z nich konfitury i soki robiły!

Z powodu soku wiśniowego, starsza siostra, Zosia, znalazła się raz w bardzo kłopotliwym położeniu. Człowiek bo nigdy przewidzieć i przypuścić nie jest w stanie, jaki go może zaskoczyć wypadek. Jak piorun z pogodnego nieba, spadnie coś takiego, niby właściwie nie nieszczęście, ale bądź co bądź ambaras taki... taki, że ochota bierze pod ziemię się schować.

Tak się też właśnie zdarzyło.

Jednego dnia, mając z wiśniami do czynienia, panna Zosia zawinęła wysoko rękawy i ufarbowała sobie ręce po same łokcie na czerwono. Działo się to przed domem, na ganku, w chłodzie, bo ganek był cały otoczony kratami, po których piał się gęsto powój kwitnący.

Była zajęta bardzo robotą, a że nuciła przytem jakąś piosenkę, więc nie słyszała, że przyjechał ktoś obcy. A ten ktoś przyjechał wierzchem, uwiązał konia u sztachet, a sam wszedł wprost do ganku.

Wszedł i stał przez chwilę, a Zosia nic o tym nie wiedziała, aż dopiero, gdy się odezwał:

— Przepraszam najmocniej, czy pana Boreckiego zastałem w domu?

Wówczas odwróciła głowę i ujrzała tuż przy sobie człowieka nieznanego, a młodego i bardzo przystojnego.

Zarumieniła się i uciekła, nic nie odpowiadawszy.

Bo też trzeba zdarzenia, żeby się tak przedstawić. Co on sobie pomyśli?

Uciekła do swego pokoju, a o nieznanym gościu powiedziała ciotce.

Pani Gertruda wyszła do niego. Przedstawił się jej i oświadczył, że się nazywa Zawadzki Stanisław, że od roku jest leśniczym w Majdanie, gdzie mieszka z matką i że właśnie z głównego zarządu dóbr nadeszło zawiadomienie, żeby dzierżawcy Brzozówki wydać drzewo na postawienie nowej stodoły.

— Sądziłem — rzekł — że panu Boreckiemu zależy na czasie, więc przyjechałem, aby mu powiedzieć, że jest asygnacja i że może przyjechać, kiedy zechce i drzewo wybrać. Mamy kilkadziesiąt sztuk, ściętych w zimie, które zaraz można obrabiać i zabierać z lasu.

Pani Gertruda zachwycona była uprzejmością młodego chłopca dla brata, chociaż, właściwie mówiąc, była to uprzejmość obłudna. Nie dla pana Jacka on przyjechał, ale dla Zosi, którą widział parę razy zdaleka i która mu się szczególnie podobała.

— Dziękuję panu serdecznie — rzekła — proszę dalej, niech pan spocznie. Brat mój w polu. Wróci za kwadrans na obiad, a mam nadzieję, że pan naszym chlebem i solą nie pogardzi.

Pan Stanisław, szczęśliwy z zaproszenia, skłonił się z uszanowaniem przed ciotką Gertrudą, która zaraz jego konika kazała wziąć do stajni.

Zaczęły się rozpytywania.

— Więc pan na Majdanie mieszka?

— Tak, pani dobrodziejko.

— Przejeżdżałam kiedyś tamtędy; to jest

w lesie, w samym środku lasu. Nie przykrzy się panu w takiej samotni?

— Nie, pani. Cały dzień w lesie jestem, a często i w nocy trzeba wychodzić, pilnować, czy drzewa nie kradną. Matka moja z początku obawiała się, ale teraz przywykła już.

— Jej to rzeczywiście musi być przykro, gdy pana w domu nie ma.

— Przyzwyczaiła się. Przytem Majdan nie jest takim pustkowiec, jakby się zdawało; ludzi nie brak. Matka ma dwie służące, jest chłopiec do koni, pastuszek do krów, dwóch gajowych mieszka obok w czworaku. Matka moja zresztą ciągle zajęta, zawsze umie sobie znaleźć zatrudnienie. Od rana do wieczora jest w ruchu i wciąż się skarży, że nie ma czasu.

— Ma rację, panie. Kobieta, która chce pracować, jak się należy i zrobić wszystko, co do niej należy, nigdy nie ma zawiele czasu. Czy państwo dawno w tych stronach?

— Od roku.

— A poprzednio?

— Mama mieszkała w Warszawie, a ja po skończeniu gimnazjum, praktykowałem w leśnictwie.

— Więc państwo z Warszawy rodem?

— Nie — odpowiedział z westchnieniem — rodem my ze wsi. Ojciec miał swój folwark po tamtej stronie Wisły, ale nie szczęściło mu się, chorował długo, wreszcie umarł. Mama nie mogła sama gospodarstwa prowadzić, ja byłem jeszcze bardzo mały, więc trzeba było sprzedać, aby uratować resztki na życie. Tak dobrzy ludzie radzili i tak się też zrobiło. Z niewielkim funduszem przyjechaliśmy do Warszawy, matka trzymała uczniów na stacji, a ja chodziłem do szkół. Później byłem trzy lata

na praktyce w leśnictwie, a teraz, dostawszy posadę w dobrach hrabiowskich, zabrałem matkę do siebie i znów jesteśmy razem. Nieraz matka mówi, że choć się z początku bała trochę, ale teraz dziękuje Bogu, że jest na Majdanie i powiada, że woli mieszkać w lesie, aniżeli w Warszawie.

— Świętą rację ma; ja tak samo myślę. Warszawa, to istne piekło. Zrozumieć nie jestem w stanie, jak ludzie mogą wytrzymać w tamtejszym rozgardiaszu i wrzasku. Turkot, tłok, rejwach — kłaniam uniżenie! A cóż pan myśli o dużym mieście?

— Ja bo jestem przyzwyczajony; przez sześć lat chodziłem tam do szkół, znam wszystkie uliczki i zakątki.

— I zapewne tęskni pan do kochanej Warszawki?

— Nie, proszę pani, mnie tu dobrze, mam zatrudnienie, które lubię, kawałek chleba spokojny.

— Co to, to niebardzo — rzekła panna Gertruda — te nocne wyprawy na złodziei nie są wcale przyjemne.

— Do wszystkiego się można przyzwycząić.

Niebawem nadszedł Borecki i powitał młodego człowieka bardzo uprzejmie.

— Wielką mi pan wyrządził przysługę — rzekł — byłem bo niespokojny, że tak długo zarząd z odpowiedzią zwłóczy, a budynek jest mi koniecznie potrzebny; w polu zboża dość, a nie ma gdzie składać. Już majstrów ugodziłem i robotników, każda chwila mi droga.

— W takim razie zapraszam pana dobrodzieja na jutro na cały dzień na Majdan; wybierze pan budulec i wymierzymy, ile kubików zawiera.

Podano obiad, zjawily się i panienki. Zosia była bardzo zażenowana, a ile razy młody człowiek spojrzal na jej ręce, na których zresztą już ani śladu wisien nie było, spuszczała oczy i rumieniała się.

Przeszło to przecie jakoś i pierwsze lody przełamane zostały. W godzinę po obiedzie Stanisław odjechał, a przy pożegnaniu ciotka Gertruda prosiła go, aby o Brzozówce nie zapominał.

Nazajutrz wieczorem, gdy pan Jacek z Majdanu powrócił, siostra odbyła z nim krótką „konferencję”, a właściwie badanie.

Pan Jacek uśmiechnął się pod wąsem.

— Uważam — rzekł — że pani siostra bywa niekiedy ciekawa.

— Jak kobieta, panie bracie, a że się pytam, złego w tym nic nie ma.

— A któżby o tym myślał, widzę tylko, że się chłopak pani siostrze podobał.

— Na wszystko czas przychodzi, bracie, a jeżeli podejmiemy się obowiązków, to oczywiście powinniśmy je spełniać sumiennie.

— Nie rozumiem, do czego zmierza pani siostra.

— Dziwnie pan brat niedomyślny. Dopóki dziewczęta twoje były małe, patrzyłam na gospodarstwo, na kury i gęsi, żeby zebrać pieniądze na wyprawę; teraz dziewczynki podrosły, muszę więc patrzeć na chłopaków, żeby im znaleźć mężów. Chociaż sama jestem starą panną i na ten los się nie uskarżam, ale Zosi i Jadwini życzę, aby za mąż wyszły.

— Dlaczegoż to tak?

— Bo życzę im lepiej, aniżeli sobie.

Rzekłszy to, ciotka Gertruda wstała i odeszła, niby do szafy poszukać czegoś, w gruncie

rzeczy zaś aby ukryć rozrzewnienie. Po chwili była już uspokojona zupełnie.

— Sądziłabym — rzekła — że niechby ten młody człowiek u nas bywał. Chciałabym też zapoznać się z jego matką. Cóż pan brat o tem sądzi?

— Niechby i bywał.

— Trzeba, żeby się młodzi poznali, a jeżeli przypadną sobie do gustu, to...

— A za pozwoleniem, pani siostró, to jeszcze na wodzie widłami pisano. Od bywania do ołtarza ogromnie daleko. Zresztą, dziewczyny nasze są tak młode, że nie ma czym sobie głowy teraz zaprzętać.

— O wszystkim trzeba myśleć zawczasu...

— Zawczasu, a zawczasie, to różnica.

— Może bratu to nie w guście, że oficjalista?

— O, co to, to nie, pani siostró. I ja przecież nie na swoim, tylko na cudzym pracuję, a tym się tylko od zwykłego rządcy różnię, że mam więcej samodzielności. Nie ma o tym mowy, żebym oficjalistą pogardzał; ale to, widzisz, chłopiec jeszcze bardzo młody.

— Tym lepiej.

— Niezamożny, może nawet biedny, z czegoż utrzyma rodzinę?

— Słyszałam, że pani Zawadzka ma jakiś fundusik.

— Niechże go ma z Bogiem — rzekł Borecki, wstając — czas na mnie; muszę iść w pole, zaś pani siostra czyni sobie, jako chcesz, zdałem na ciebie prawa matki. Chłopak, jeżeli chce, niech bywa; poznajmy go, przekonajmy się, co wart, ale uprzedzam, że ostatnie słowo sobie pozostawiam i że się nie zobowiązuję do niczego, uważa pani siostra, do niczego.

— Naturalnie, uważam i żadnych zobowią-

zań nie wymagam, żadnych, panie bracie. Ja też nie jestem, w gorącej wodzie kąpana, a jeżeli pragnę żeby chłopak bywał, to jedynie dlatego, aby go poznać. Kupić nie kupić, jak to mówią, ale potargować wolno.

Na tym się skończyła konferencja pana brata z panią siostrą. Pan Jacek poszedł w pole, pani Gertruda do swoich zatrudnień i już więcej mowy o tym przedmiocie nie było.

Stanisław przyjeżdżał od czasu do czasu, ale dość rzadko, nie chciał nadużywać gościnności.

Panna Gertruda zrobiła znajomość z jego matką. Obie te kobiety, zawzięte gospodynie, a wiekiem prawie równe sobie i w jednakowych wychowane zasadach, zaprzyjaźniły się w krótkim czasie, a jak zaczęły wywodzić swoją prozapię i koligacje rozliczne, to się pokazało w rezultacie, że są jedna względem drugiej, jeżeli nie krewne, to przynajmniej powinowate, albowiem zarówno w dalszej rodzinie pani Zawadzkiej, jak i w rodzinie panny Gertrudy, plątały się podobne nazwiska.

Taki był stosunek między dworkiem dzierżawcy Brzozówki, a domkiem leśniczego na Majdanie.

Dziad Błażej dotrzymał słowa, danego panience; powlókł się na Majdan i domku nie ominął, wiedział bowiem z praktyki, że pani Zawadzka jest kobieta miłosiernego serca i że lubi zgłodniałego nakarmić. Błażej tego rodzaju miłosierne uczynki cenił najwyżej i zaliczał je do cnót najdoskonalszych. Ukłony od panienek z Brzozówki złożył, najadł się doskonale i powędrował ku domowi, za dnia jeszcze, aby nazbierać grzybów, których wielka obfitość była w lesie.

Po dobrym śniadaniu w Brzozówce, obfitym obiedzie w Majdanie, należała mu się słusznie uczciwa kolacja, aby dzień był dobrze zakończony. Właśnie taką kolacją zamierzał w domu, w swej budzie dziadowskiej, sporządzić z grzybów.

Tegoż samego wieczora pani Zawadzka z synem była w Brzozówce.

ROZDZIAŁ VIII,

w którym jest mowa o drabinie symbolicznej, o tym, jak Chaskiel Wiatrak kochał Michała Rokitę, jak Walenty Wasążek nie znalazł odpowiedzi na pytanie prawne, tudzież jak Uszer Engelman określił istotę i wielkie znaczenie maleńkiego wyrazu „pfe”.

Nie każdemu dano jest stanąć wysoko na tej ziemi; pominąwszy honor urodzenia i należenia lub nie do ludu wybranego, los umieszcza ludzi na różnych szczeblach drabiny społecznej w sposób wielce kapryśny. Drabina to wysoka, szczebli w niej mnóstwo, a każde miasto swoją drabinę oddzielną posiada.

Takie Czarnebloto naprzykład, aczkolwiek jest tylko drobną częstką świata, stanowi jednak samo w sobie świat i ma także swoją drabinę. Na najwyższych jej szczeblach, niby kury na grzędach, siedzą i kiwają się w przyjemny sposób uczeni, nieco niżej wielcy bogacze, kupcy, właściciele domów, wielce szanowni szynkarze, przezacni posiadacze sklepów, wymowni faktorzy i coraz niżej, niżej aż do or-

dynaryjnych furmanów, aż do rzemieślników biednych, których mądrość narodu do najmarniejszych istot zalicza, mówiąc, że koza nie bydlę, kura nie ptak, a szewc i krawiec nie człowiek...

Nie na wysokim też szczeblu owej drabiny symbolicznej zasiadł Chaskiel Wiatrak z Olszanki, prosty żyd wiejski, trochę pachciarz, trochę handlujący i cokolwiek kapitalista. Pacht trzymał do wspólni, handlował po większej części też do wspólni a na operacje finansowe najczęściej puszczał się z cudzymi pieniędzmi.

Nie można powiedzieć, że taki człowiek wiele znaczy; bez zaprzeczenia jest to człowiek, ale nie osoba. Mieszka na wsi, w oddaleniu od wielkiego zgromadzenia; do miasteczka przyjeżdża tylko na czas świąt jesiennych, nie zna słodkiego smaku dysput, prowadzonych codziennie na rynku, w szkole, w łaźni i w innych miejscach zebrań publicznych, handluje z ludźmi grubymi, z chłopami i, za wielkim przeproszeniem, z babami wiejskimi.

Rozpatrzywszy gruntownie sposób życia takiego człowieka, nie można mu dać wysokiego miejsca na drabinie, gdyż on jest zdziczały potroszę i nie ma wcale tego glancu, tej delikatnej politory, jaką posiada każdy stały mieszkaniec Czarnegołota.

Chaskiel rozumiał doskonale swoje położenie, a trzeba mu przyznać, że się nie hutował i nie pchał w górę. Był to człowiek zgodny z natury, a o zaszczyty dbał niewiele.

Nieraz mówił, że woli małego rubelka, aniżeli wielki honor, a trzy ruble przekłada nad dziewięć honorów.

Jest to najwymowniejszy dowód, że człowiek od gromady oderwany dziczeje, to też

historia Czarnego błota nie daje ani jednego przykładu, aby kiedykolwiek, jaki pachciarz, dzierżawca ogrodu, kramarz wioskowy i wogóle wiejski żyd wsławił się uczonością lub wymową, aby potrafił poprowadzić dysputę lub rozgryźć twardą lupinę głębokiej sentencji i wydobyć z niej dorodne ziarno mądrości.

Pachciarz zwyczajny, czy choćby nawet śmietankowy, jest tylko pachciarzem i nie można od niego wymagać, aby był czym innym, bo nie ma sensu żądać od śledzia, aby był nadziewanym ślimakiem.

Chaskiel Wiatrak bywał w Czarnym błocie o tyle tylko, o ile wymagały jego interesa; nie jeździł tam nigdy dla przyjemności, ani dla odwiedzenia krewnych, wołał handlować, a trzeba mu to przyznać, że handlował dobrze.

Z kilku okolicznych wiosek chłopci należeli do niego prawie wszyscy i z zagonowej szlachty bardzo wielu. Stało się to w ciągu dziesięciu lat, a zrobiło się tak cicho, gładko i delikatnie, że sami dłużnicy nie mogli zmiarkować, kiedy i jak znaleźli się w Chasklowej kieszeni.

W tym właśnie sztuka.

Chaskiel dla wszystkich swoich dłużników był bardzo uprzejmy, serce miał, jak z wosku, nie dokuczał, nie egzekwował, chyba takich tylko, o których wiedział, że już są na dokończeniu.

Takich dusił bez miłosierdzia i zabierał im wszystkie resztki, przyczem jednak bardzo ubolewał, prawie że płakał. Tłumaczył to innym swoim klientom, że czyni to z konieczności; że jest przymuszony do akcji, która mu jest obrzydliwa i wstrętna. Tłumaczył, że musi ratować swoje mienie, swój grosz, krwawo za-

pracowany, no, a kto ratuje z płonącego budynku sprzęt jaki, to nie bierze go delikatnie i przez rękawiczki, ale chwyta go brutalnie, aby go tylko od spalenia ocalić.

Wszakże, kto miał jeszcze cokolwiek, kto wreszcie był zdrow, zdolny do zarobkowania mógł żyć z Chasklem Wiatrakiem, jak z bratem.

Chaskiel lubił mówić o sobie, że jest złoty żydek, że z nim wszystko można, co kto chce, na wszystkie sposoby.

Naprzykład z takim Michałem Rokitą. Kto by z tym chłopem wytrzymał? Chaskiel wytrzymuje. Kto inny jużby go dziesięć razy zlicytował i zniszczył, Chaskiel nie niszczy. On woli zgodnie, dobrze, poczciwie, on nie cierpi procesów i kłótni, bardzo cierpliwie czeka do ostatniej chwili, dopóki Rokita jeszcze coś wart.

Nie jest wcale przyjemny stosunek z takim paskudnym chłopem, który nie należy do kategorii ludzi dobrze wychowanych. W rozmowie wyrażień nie dobiera, głosu nie moduluje, a pięści tylko zaciska.

Trzeba być bardzo odważnym, żeby się módz znajdować w bliskości takiej pięści. Zaciśnięta kurczowo, ona wcale do ludzkiej ręki podobna nie jest, ale wygląda raczej jak młot, złożony z żył, skóry i sęków dębowych.

Chaskiel nie lęka się bynajmniej tej łapy żelaznej, ani potężnej, barczystej postaci Rokity, ani jego oczu ponurych, patrzących groźnie z pod brwi krzaczastych, czarnych. Nie obawia się też głosu i przekleństw, które olbrzym miota, zwłaszcza, gdy mu wódka w głowie zaszumi.

— Nie róbcie głupstwa, Michale, dajcie pokój!

Tyle tylko mówi Chaskiel, a barczysty chłop rzeczywiście daje pokój i nie robi głupstwa.

Jest coś osobliwego w stosunku tych dwóch ludzi, tak bardzo niepodobnych do siebie.

Rokita to siła fizyczna, brutalna, chwilami zda się niepohamowana. Chaskiel Wiatrak zaś wydaje się wcieleniem delikatnego sprytu.

Jest on dość wysoki, ale szczupły, nie imponuje potęgą mięśni, przeciwnie, jego ręce są chude i cienkie, palce długie, suche, giętkie, przypominają szpony jastrzębia, twarz ma bladą, kości policzkowe wystające, nos duży, garbaty. Oblicze jego okala zarost barwy żółtawej, także gęste i kręjące się włosy pokrywają mu głowę. Oczy bystre, biegające nieustannie, mają kolor nieokreślony, dziwny, bo niby szary, a w pewnych warunkach oświetlenia zielonawy, jak woda rzeczki, której brzegi są gęsto obsadzone wierzbiną.

Oczy te są duże, o źrenicach wrażliwych niezmiernie. Gdy słońce świeci jasno, kurczą się one i zmniejszają do rozmiarów drobnego punkciku, ale przy słabym świetle rozszerzają się ogromnie i błyszczą, niby sowie ślepie.

Możnaby mniemać, że źrenice Chaskla posiadają własność magnetyzowania Rokity.

Stosunek tych dwóch ludzi trwa mniej więcej od lat dziesięciu, a zawiązany został od czasu osiedlenia się Chaskla na wsi.

Był to wówczas bardzo biedny i pokorny żydek ten Chaskiel; właśnie wchodził on do wsi, a wchodził, jak większa część wiejskich żydeków, przez ogród, mały ogród owocowy, z którego miał płacić dwadzieścia rubli dzierżawy.

Młody Chaskiel był nadzwyczaj pokorny

i usłużny dla drobnej szlachty, dla chłopów; wszystkim się nisko kłaniał, w kieszeni swej długiej kapoty miał istny sklepik.

Baby wiejskie patrzyły na niego, jak na czarodzieja, gdy na każde zawołanie wydobywał z kieszeni igły, szpilki, nici, wstążki, paciorki, tasiemki, guziki, co kto chciał.

— Ja to mam, aby ludziom wygodzić — mówił.

I rzeczywiście nie szukał zysku; jeżeli sprzedał babie igłę, to wręcz mówił, że nie chce pieniędzy, będzie zupełnie zadowolony, jeżeli dostanie jajko i byli zadowoleni oboje: i Chaskiel i baba; baba nawet więcej, niż Chaskiel, bo on tylko jajkiem, a ona nową igłą i przeświadczeniem, że nabyła ją, nie naruszywszy gotowizny, tak trudnej do zebrania.

Nie tylko damskie towary znajdowały się w przepaścistych kieszeniach Chaskla; umiał on z nich wydobyć w razie potrzeby paczkę tytoniu, ołówek tabaki, kilka papierosów, doskonałe cygaro, prawdziwie amatorską sztukę, a co najważniejsza, flaszkę mocnej, palącej jak ogień, wódki dla chłopów i flaszkę czerwonej, a słodkiej jak cukier, dla kobiet.

I to wszystko można było mieć od Chaskla, nie wydobywszy ani złamanego grosza, za głupstwa: za jajko, motek przędzy, za kawałek płótna, za kurę, kaczkę, za garniec zboża, bo Chaskiel nie wybierał, ani nie przebierał; brał, co mu dawano, prawie bez żadnego targu.

Po tygodniowym pobycie we wsi Chaskiel udał się do Michała Rokity, aby wynająć od niego furmankę do miasteczka na targ i to był początek zawiązania stosunków, które się potem tak ślicznie zaplątały i zamotały.

Rokita zaprzągnął konia do wozu i zajechał

przed ogród po Chaskla i po jego towar. Był koszyk drobnego agrestu i koszyk niedojrzałych małgorzatek, a przytem duży kosz jaj, sporo osełek masła, kilkanaście kurcząt, trochę ziarna w dwóch workach, co wymownie świadczyło, że kieszeń Chaskla miała większe obroty, niż ogród.

W Czarnymbłocie Rokita chciał zrobić jakiś sprawunek, ale pieniędzy nie miał. Chaskiel mu najchętniej usłużył. Pożyczył mu trzy ruble w gotowiźnie i jak pożyczył! Na godne słowo, bez kwitka, bez żadnej karteczki i jeszcze zafundował gorzałki.

Rokita był wzruszony i mówił do sąsiada, którego na targu spotkał:

— Już żyd na podziw, kumie; we wsi z niego wygoda osobliwa, o czym kto pomyśli, to u niego jest i bez pieniędzy nawet, a mnie dzisiaj w potrzebie trzema rublami wygodził, choć go nawet nie prosiłem. Godny żyd na wszystkie cztery boki. Inni w takiej przygodzie gadają o procencie — on nie; inni zaraz każą kwitki pisać — on nie. Sprawiedliwie wam, kumie, powiadam, że nie ma takiego drugiego żyda na świecie.

Kum kiwał głową i dziwił się; potem poszli z Rokitą na wódkę i dziwili się we dwóch: potem sen ich zmorzył, pokładli się więc na wozach i spali aż do wieczora.

Jak roślina na dobrym, żyznym gruncie zakorzenia się coraz silniej, rozkrzewia bujnie, nabiera sił żywotnych i mocy, tak Chaskiel Wiatrak zakorzenił się doskonale w Olszance. Grunt tej wioski sprzyjający był dla niego.

Gdy jesień nadeszła i w ogrodzie nic już nie było do obrywania, Chaskiel nie powrócił już do miasta, lecz pozostał we wsi. Pachciarz

olszaniecki, Mosiek Oko, człowiek stary i znie-
dołężniały, a Chaskła bliski kuzyn, uczynił go
swoim współnikiem. Nie było to wielkie przed-
sięwzięcie, ale też i Chaskiel nie miał się za
wielką osobę, a tytuł współpachciarza ambicję
jego zadawał w zupełności.

Mieszkał sobie w Olszance spokojnie, chło-
pom i babom dogadzał, wszystkim się kłaniał
nisko, dla każdego był usłużny niezmiernie,
kredytu udzielał z przyjemnością i powoli lud-
ność Olszanki wsuwała się do jego kieszeni.

Działo się to nieznacznie, gładko, tak, że
klient sam się nie spostrzegł, kiedy i jak sta-
wał się dłużnikiem uprzejmego żydka.

Chaskiel, gdy się finansowo nieco wzmocnił
i trochę większy kapitał do swych obrotów po-
zyskał, nie porzucając drobnych interesów, za-
czął się puszczać na większe. Bywały takie
zdarzenia, że kupował krowę, lub kilka korcy
zboża, bywały też wypadki, że pożyczał szlach-
cie zagonowej i chłopom po trzydzieści i pięć-
dziesiąt rubli. Trzeba przyznać, że nie było
grzeczniejszego, uprzejmiejszego i bardziej wy-
rozumiałego wierzyciela.

O procent wcale nie dbał; kto chciał dać
gotówką, mógł dać gotówką, kto kartoflami —
i owszem; kto nie miał w danej chwili ani go-
tówki, ani kartofli, mógł jeszcze tańszym ko-
sztem i bez żadnego kłopotu przypisać procent
do kapitału i także miał spokój. Takim spo-
sobem dłużnik prawie nie wiedział, że ma dług
i żył sobie spokojnie.

Stosunek Chaskła z Rokitą był prawdziwie
przyjacielski; jak się zaczęło od owych trzech
rubli, pożyczonych tak chętnie, uprzejmie i bez
żądania rewersu w Czarnymbłocie, tak trwało
ciągle, bez przerwy. Rokita trochę pił, trochę

gotówki brał, trochę oddawał, to znów dopisywał i znów oddawał pieniędzmi lub ziarnem, odrabiał furmankami, a nieśmiertelny rachunek trwał zawsze i zwiększał się stale.

Z biegiem czasu, po dziesięciu latach szczęśliwego przemieszkowania w Olszance, Chaskiel trochę ocięzał; nie był już taki kłaniający się i usłużny, jak dawniej, w drobniejszych interesach wyręczał się żoną i dziećmi. Nawet powierzchność jego uległa pewnej zmianie; cokolwiek zmęźniał i spowaźniał.

W tym to czasie po dziesięciu latach stosunku i znajomości, dla Rokity zaczął się robić obojętnym, a czasem nawet i cierpkim. Chaskiel znalazł się nie tylko na gęsiach, mleku, skórkach zajęczych, wódce i tym podobnych towarach, on był także wielkim znawcą chłopów i każdego umiał najdokładniej ocenić, ile wart.

Rokita był chłop dobrej ceny. Miał własne gospodarstwo, parę koni, kilka sztuk bydła, a przytym odznaczał się niesłychaną siłą i pracowitością. Czasem się upijał, ale gdy wziął się do kosy, cepów lub siekiery, robota paliła mu się w rękę. To także Chaskiel zauważył i policzył; dla tej zalety dał Rokicie kredyt nie tylko rzeczowy, lecz i osobisty.

Ale kredyt ten był już na wyczerpaniu i Chaskiel zaczynał już trochę głową kręcić, co nie jest bynajmniej dobrym znakiem. Kilkakrotnie już zapytywał Rokitę, gdzie pieniądze podziewa i czy je chłopską modą w ziemię zakopuje?

— Żeby ciebie tak w ziemię zakopali—mruknął chłop ponuro.

— Fe, fe! Dajcie pokój z takim gadaniem paskudnym. Ja was pytam grzecznie, a wy

zaraz z takim słowem, co paskudne i nieprzyjemne jest, fe!

— To nie gadać, że pieniądze zakopuję, skoro mi na chleb braknie!

— Mnie to jest bardzo dziwno. Czy nie mieliście zboża?

— Miałem, alem je wam oddał; przy obróbce drzewa w lesie i przy wywózce zarobiłem piękny grosz, alem go wam też oddał. Uchowało się też troje cieląt i te wam oddałem. Skądże mam co mieć? Nie będę chyba kradł, albo rozbijał po drogach!

— Wy dziwny człowiek jesteście, Michale, bardzo dziwny!

— A juści! Nie dziwny, jeno biedny, obdarty...

— Nie grzeszcie. Macie gospodarstwo, macie konie, macie zarobku, ile chcecie i ile zdążycie wykonać. Co wam brakuje?

— Et, nie bajałbyś, żydzie, po próznicy! Siódmą skórę z człowieka ściąga i pyta jeszcze, co mi brakuje?

— Fe! Michale, fe! Wy jesteście człowiek niewdzięczny, ja się po was nigdy nie spodziewałem takiego paskudnego charakteru, takiej złej pamięci. Kto was w każdej potrzebie ratuje? Kto wam dopomaga? Do kogo pójdziecie, gdy macie ochotę się napić, gdy wam kilka rubli potrzeba? Do kogo — do Chaskla. A potem wy powiadacie, że wam Chaskiel wszystko zabiera. On nie zabiera, on tylko odbiera, i to nie wszystko. Nie warto ludziom robić dogodności. A po co wy dzisiaj do mnie przyszli? Pewnie po pieniądze?

— A juści, że tak, bo mi na podatek trzeba, bo mi się wóz popsuł i trzeba go do kowala oddać, bo kobieta powiada, że jej soli brakuje.

— Wy myślicie, że ja tego nie wiem? Oj, oj! Wam na podatek trzeba ośm rubli, ale jeszcze macie tydzień czasu; żelaza do waszego wozu trzeba sześćdziesiąt funtów.

— Kowal mówił, że najmniej siedmdziesiąt.

— Wy nie słuchajcie kowala, wy słuchajcie mnie, a o sól nie frasujcie się, u mnie jest cała beczka. Ja mogę na wszystko poradzić, ale nie gadajcie, że was niszczę.

— Jać nie powiadam, tylko sobie myślę, gdzie mnie się wszystko podziawa. Nibyć i stąd i stąd grosz siaki taki wpadnie i zaraz ucieknie i niema nic. W głowę zachodzę...

Chaskiel zrobił minę poważną i rękę na ramieniu chłopca położył.

— Wy nie myślcie dużo, Michale, — rzekł — bo myślenie, to nie gospodarski interes; wy pilnujcie swojej roboty, a jak zechcecie mieć pomyslenie, to połóżcie się trochę, spać. To jest najlepsze lekarstwo. Ja wam z dobroci tak radzę.

— W zmartwieniu to i zasnąć trudno.

— Oj, oj! Wypić dobry kielich gorzałki, to zaraz będzie doskonale spanie. I wy zaśniecie i wasze myślenie zaśnie, a jak się wyśpicie, to będziecie mieli lepszą siłę do każdej roboty. Ja wam jeszcze ten raz wygodzę, ale pamiętajcie, że niedługo już będę mógł wam robić takie wygodności.

— Dlaczego?

— Wyście mi już bardzo dużo winni, wy może sami nie wiecie ile. Trzeba raz zrobić porządek.

— Niby... jakże to porządek?

— Obrachować, co się należy i zapłacić.

— Skądże ja wam zapłacę, kiedy nie mam.

— Aj, macie, macie, Michale.

— Co?

— A grunt? Nie rachujecie gruntu. Takie porządne gospodarstwo, z dobrym zabudowaniem. Bardzo ładny majątek.

— Więc niby co?

— Jakto, co?

— No co mój grunt ma do waszego długu.

— Wy się pytacie? Sprzedajcie grunt, a mnie zapłaćcie dług.

— A ja się gdzie podzieję, a dzieciom co zostawię?

— To jest mały frasunek. Taki człowiek jak wy, Michale, to się wszędzie podzieje. Was na każdy folwark z wielką chęcią wezmą, bo wy dobry robotnik. Wy jesteście tyle warci, co dwa fornale, albo dwa parobki, co trzy parobki! Wy możecie mieć ładną pensję, ładną ordynarię, porządną stancję w czworakach, możecie sobie żyć, jak pan. A dzieci? Koniecznie dzieciom trzeba zostawiać grunt? Wcale nie koniecznie, ja moim dzieciom wcale żadnego gruntu nie zostawię.

— Bo Chasklowe dzieci żydowskie, a moje gospodarskie.

— To co? Gospodarskie też mogą być bez gruntu. Nie macie się o co frasować. Na świecie ludzi jest dużo, ale takich, co mają grunt, nie wiele. Ja wam mogę nastroczyć dobrego kupca.

— A jeśli ja nie zechcę sprzedać?

Chaskiel wzruszył ramionami.

— Nie sprzedacie dobrowolnie, to ja podam do sądu i sąd sprzeda wasz grunt przez licytację.

— Tak?

— Takie prawo. Tymczasem wy sobie do głowy nic nie przypuszczajcie, Michale; wy

możecie gruntu nie sprzedawać i mnie dług oddać.

— Skąd?

— Albo ja wiem? Możecie wyorać garnek złotych pieniędzy, znaleźć na drodze, pożyczyć od kogo. Czy to człowiek może wiedzieć, skąd szczęście do niego przyjdzie? Ja dziś z wami nie będę dużo gadał, bo nie mam czasu, zaraz muszę w drogę jechać. Przyjdźcie pojutrze, ja wam jeszcze raz wygodzę. Dostaniecie na podatek i na żelazo, a soli weźcie sobie zaraz, ile wam potrzeba. Co się tyczy długu, radzę wam zapłacić lepiej dobrowolnie — mnie teraz bardzo pieniądze potrzebne, chcę sobie kupić dom w Czarnymbłocie.

Chłop wziął sól i ze spuszczoną głową powlókł się do domu.

Ciężkie myśli roily się w jego mózgu, zagadki nierozplątane, zawile. Ogarnęła go żalność i rozpacz. Zdawało mu się, że jest robakiem, którego lada chwila ktoś nogą rozdepcze.

Szedł powoli, nie patrząc na ludzi, na powitania nie odpowiadał, a tak się w myślach pograżał, że chałupę swoją ominął i, zamiast wejść do siebie, poszedł dalej, aż na koniec wsi.

Dopiero zawzięte ujadanie psa przebudziło go z zadumy. Obejrzał się i spostrzegł, że jest na samym końcu wsi, przed dworkiem Walentego Wasążka.

Szlachcic odpoczywał po całodziennym trudzie. Kapotę z siebie zrzucił i tak w koszuli tylko i w kamizelce siedział i ćmił fajkę. Rokicie przyszła myśl. Odpędził psa i poszedł prosto przed dworek.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł. — Dobry wieczór panu Walentemu.

— Na wieki wieków!—odpowiedział szlachcic. — Jak się masz, Michale? Cóż cię tu na moje podwórko przypędziło?

— Bieda, panie Walenty.

— Mój bracie, zły ja doktor na biedę, ale przecież powiedz.

— Na moją biedę pan Walenty lepszy będzie doktor, niż kto inny.

— No, no?

— Pan Walenty prawo zna?

— Mój bracie, ty w swoim życiu tyle zagonów nie zorałeś, tyleś kop zboża nie omłócił, tyleś sztuk bydła nie pasł, ile ja artykułów i prawności mam, tu oto, we swoim własnym łbie.

To rzekłszy, palcem w czoło się stuknął.

— Mów jeno śmiało a szczerze, jak na spowiedzi do księdza. Sprawę masz, co?

Dusza pieniacka drgnęła w Wasążku, oczy jego zmęczone i jak gdyby zaspane, ożywiły się nagle, twarz przybrała wyraz zaciekawienia, wydobył fajkę z ust i gotów był słuchać, choćby do północy.

— Sprawy to ja jeszcze nie inam — rzekł powoli Rokita—alem usłyszał dziś coś takiego, że aż mi we łbie zatrzęszczało, jak by mnie kto kłonicą po czapce pomacał.

— Cóżście to takiego usłyszeli?

— Panie Walenty — rzekł chłop — czy to prawda, że żyd może mój grunt sprzedać?

— Twój grunt, chłopski, rodzony, po ojcu?

— A juści, innego ja nie mam, jeno co po ojcach.

— Nie może.

— O niechże wam Bóg da zdrowie, panie Walenty! Wielki ciężar zdjęliście ze mnie.

— Ale zaraz, zaraz, bracie, pomaleńku, gadaj od początku, skąd to wyszło?

— A to, widzi pan Walenty, tak. Jak się tu do nas Chaskiel sprowadził, będzie temu dziesięć lat...

— Pamiętam, pamiętam...

— Sad trzymał wtedy. Ja w potrzebie będący, pożyczyłem od niego trzy ruble, oddałem i znów w potrzebie pożyczyłem piętnaście i kazał mi kwitek podpisać—podpisałem, a za procent, tak i siak, kartoflami, zbożem, furmankami, a trafiło się i groszowiną, czym mogłem i jak mogłem, dawałem i oddawałem — i później jeszcze dobieierałem trzy razy po piętnaście rubli i raz całe trzydzieści i znów dwadzieścia, a jak nie mogłem na czas oddać, to różne prowianty brał i tak pisał, doliczał, a mnie jeno kazał podpisywać, jako że niby rachunek między nami stoi.

— I podpisywałeś, ma się rozumieć?—spytał Waszązek.

— Juści, że podpisywałem, a on mi teraz, psia dusza, zapowiada, żebym mu wszystko oddał i rachuje, że mu winien jestem albo pięćset albo czterysta rubli. Ja powiadam, nie mam, a on mówi, żebym grunt sprzedał. A jak ja mogę grunt sprzedać, kiedy go po ojcach dostałem i dzieciom swoim oddać powinienem? I gdzie się podzieję, jak grunt sprzedam? Z gospodarza na parobka zejdem, w służbę mam iść? Powiadam mu, że gruntu nie sprzedam, a on się śmieje, mówi, że jak ja nie zechcę, to sąd sprzeda mój grunt, że niby licytacja będzie. Ale skoro pan Walenty powiadają, że gospodarskiego gruntu sprzedawać nie wolno, toć chyba i sąd nie sprzeda?

Wasząek czoło namarszczył, nastroszył wąsy i rzekł:

— Mój Michale, wlałeś ty biedaku w nie-dobre miejsce. Przewisko ci Rokita, ale choć-byś był i sam Boruta, to się z tego, nieboraku, nie wydobędziesz.

— Panie Walenty! radźcie życzliwie! Panie Walenty!

— Bóg mi świadkiem, że pragnę, ale w tej rzeczy rada trudna. Podpisałeś bracie, dałeś diabłu na swoją duszę cyrograf, teraz musisz cierpieć, biedaku, i choćby nie wiem jak kręcić, nic nie pomoże. Żyd cię sprzeda, jak zechce.

— A toć dopiero pan Walenty mówił, jako chłopskiego gruntu żydom kupować nie wolno.

— Aj, Michale, a toć ja nie mówię, że żyd kupi twój grunt, tylko powiadam, że go sprzeda i nie tak on go sprzeda, tylko sąd każe sprzedać, a do kupna przyjdą nie żydy, tylko chłopci, tacy, którym wolno chłopskie grunta kupować.

— Gdzie zaś chłopci! W naszej wsi bogaczów nie ma, a i z innych nie wiem, czyby się łakomili. Inszy możeby się sromał po licytacjach, jak żyd, łązić i na moją krzywdę kupować.

— Za pieniądze, Michale, wszystkiego dostanie. Choćby i prawdziwych kupców nie było, to Chaskiel podstawia takiego, co ma prawo kupić, a podstawiony kupi za Chaskłowe pieniądze. Opisze go żyd, jak węża, u rejentów i niby ten podstawiony w wasze gospodarstwo wlezie, w chałupie waszej będzie siedział, niby właściciel, ale po prawdzie właścicielem będzie Chaskiel, a on tylko Chaskłowym parobkiem.

Chłop swe grube, sękatę, narobione palce we włosach zatopił i patrzył na Wasażka z rozpaczą.

— Walenty! panie Walenty! — mówił ze łzami — a toć to krzywda! Czy nie ma na to sposobu? Znacie, panie Walenty, wszystkie kodeksy i spraw mieliście kopami, po sądach łazicie, jakby po swoim polu... ratujcie mnie ciemnego!...

Ryknął głosem wielkim i do kolan Wasażkowi się rzucił.

— Nie dajcie mnie zgubić! Ratujcie!

Walenty rozczulił się.

— Źle, źle wszystko źle, nie ma rady. Procesować się z nim niewarto, nic nie wskórasz. Na papierze stoi czarno na białym, podpisałeś na swoją zgubę... Jedno tylko jeszcze zostało: trzeba po dobroci próbować, może on się dobrowolnie zgodzi, może co opuści, może na części rozłoży... może...

— Ja pójdę zaraz do niego.

— A niechże cię Bóg broni, nie idź teraz, ani mi się waź!

— Dlaczego?

— Rozżalony jesteś. Widzę ja, co się w tobie dzieje. We łbie ogień, w sercu ogień, a pięść świerzbi, nieprawda?

— O jakbyście we mnie siedzieli, panie Walenty.

— Właśnie, onby ci co powiedział, a ty w żalości mógłbyś pięścią go stuknąć i po zgodzie i po wszystkim. Insze żydy zawzięte, a ten Chaskiel w dobrym gatunku. Idź ty jeszcze krzynkę w pole, Michale.

— Toć noc.

— Jeszcze lepiej, nie zważaj, idź! Dojdz do lasu, potem prosto do domu wracaj, spać się

układz. Niech się potem ogień wypali w twojej głowie. Idź i nie wracaj prędzej, aż ten ogień się w tobie wypali i spopieleje i zgaśnie. Idź, bracie. Nie sprzeda cię żyd dziś, ani za miesiąc, ani za kwartał, bo taka rzecz swego czasu potrzebuje. Idź, ja będę myślał, może co wymyślę, tylko słuchaj mnie, Michale, słuchaj, bo zginiess jak ruda mysz.

— Bóg wam zapłać, panie Walenty, idę!

— Idź z Bogiem.

Waszązek pozostał na ganku zadumany, a chłop poszedł, skręcił z drogi i powlókł się miedzami na swoje zagony garbate. Tam usiadł na wielkim kamieniu przy rowie i głowę podparł na rękach.

I przypomniała mu się cała jego dola, od kolebki prawie. On tu, na tym polu, gęsi pasał, za bydłem chodził; tu sochę ciężką dźwigał, za broną biegał; tu żął, kosił, grabił; niejedna kropla jego potu w te zagony wsiąknęła.

W tej wioszczynie urodził się, ożenił się, dzieci doczekał. Był pewny, że tu oczy zamknie i że go na cmentarzu w Zimnej Woli do spoczynku wiecznego ułożą, a teraz mają go wyrzucić z chałupy, z gospodarstwa! Za co? Dlaczego? Przecież się Chaskłowi tyle nie należy, już mu się nawet nic nie należy, bo wszystko ma trzy razy oddane, odsłużone, a jednak może mu całe mienie zabrać.

— Czy może?

Juści może, skoro Waszązek tak powiada. On przecież znawca, zęby zjadł na procesach. Waszązek powiedział: „Czemuś podpisywał? Cierp teraz, kiedyś głupi”.

Za każdy grzech jest kara; ale za ten chyba za ciężka i za wielka... Ginie człowiek, jako mucha, a ratunku znikąd... znikąd...

Ze dwie godziny chłop posiedział na kamieniu, potem wstał i chwiejnym krokiem ku domowi się powłókł.

Dziwna rzecz, jak go dzisiejszy dzień zmorował. Nie robił więcej, niż zwykle, a doznał takiego bólu, jak gdyby mu kto grzbiet kijem wyłomotał. Nogi drżą pod nim, a głowa ociężała, zda się, że ją wielki kamień przywalił.

Kiedy Rokita do domu powrócił, była już blisko północ. Nie wchodził do izby, tylko wprost do stodoły poszedł, rzucił się na słomę i zasnąć próbował.

Sen nie przychodził jednak; dopiero przed samym świtem przyniósł upragniony spoczynek.

Tej nocy w Czarnymbłocie także długo nie spano. W wielu oknach migotały światełka, a po ulicach i po rynku snuły się gromadki obywateli, bardzo zajętych, podzielonych na grupy, rozmawiających z gestykulacją niezmiernie ożywioną.

Na progach domostw siedziały kobiety i one, dzieląc oburzenie swych mężów i braci, wzdychały ciężko i miotały przekleństwa.

Księżyc pełny świecił z wysokości, obywatele więc mogli przechadzać się śmiało, bez obawy wpadnięcia do rynsztoka lub kałuży.

Największa grupa zgromadziła się około Jankła Basa. Mąż ten poważny, tuszy okazałej, z szeroką, rozłożystą brodą, spadającą na piersi, zdawał się być prezesem całego zgromadzenia.

Ten mówił najmniej — tylko słuchał, a tu coraz ktoś przybiegł i nową wiadomość do poprzedniej dorzucił, wywołując okrzyk zdumienia lub zgrozy.

— Wiecie? słyszeliście? Ten łajdak kupił w Zimnej Woli sto korcy pszenicy!

— Tak, kupił. Wszyscy możemy przyświadczyć, że to prawda.

— Niech on oślepnie!

— Niech on ręce połamie!

— Niech idzie w ziemię!

— Ładne czasy!

— Nie dość, że kupił pszenicę w Zimnej Woli, on targował także żyto w Brzozówce! Taki galgan!

— No, no—odezwał się Mojsie Fisch—dużo ja już rzeczy widziałem, ale tego jeszcze nie widziałem.

— Wy, Mojsie, w porównaniu ze mną, jesteście dzieciak — odezwał się jakiś kaszlący staruszek — ja mam dużo więcej lat od was, ale także jeszcze takiej rzeczy nie widziałem.

— Świat się psuje...

— Jak to nasze Czarnełoto stoi, od samego początku, jak ono jest, jeszcze taki wypadek się nie zdarzył!

— Niech przepadną wrogowie Syjonu!

— Niech ich wiatr zdmuchnie z oblicza ziemi!

— Powiedzcie mi, skąd ten łajdak pochodzi?

— A skąd diabeł pochodzi?

— Diabeł pochodzi z diabła, ale przecież ten, o którym mówimy, jest nasz.

Zawrzało, jak w ulu.

— Co, on żyd?

— Niech Pan Bóg nas broni od takich żydów!

— Chodzi przecież w kapocie.

— Lepszy żyd bez kapoty, aniżeli kapota bez żyda.

— Macie słuszość. Pytaliście, skąd on pochodzi? On pochodzi z Warszawy.

— Tam jest wielkie zepsucie.

— Czysta zaraza! Na dziesięciu ludzi znaj-

dziecie jedną duszę koszerną, reszta sama obrzydliwość.

— To prawda—rzekł Mojsie Fisch—ja mam taki zwyczaj, że jak tylko wrócę z Warszawy, zaraz idę do łaźni i do mykwy, aby zmyć z siebie obrzydliwość tej Sodomy.

— Takiego gałgana trzeba rozumu nauczyć.

— Spokojnie, powoli—odezwał się Jankiel Bas.

— Spokojnie? Jankiel bardzo delikatny jest. Jankiel go może chce głaskać po głowie?

Jankiel fajkę z ust wyjął, pomyślał chwilkę i rzekł:

— Jeśli ja go chcę pogłaskać, to tak dobrze, żeby popamiętał. Chcę mieć na niego kika batów porządnych. Naprzód powiedzcie mi, jak on się naprawdę nazywa?

Jakiś mały żydek dał na to odpowiedź:

— On się nazywa Abram Figelman. Oby jego imię zginęło z oblicza ziemi!

Jankiel rzekł znowu:

— Mojsie ma się dowiedzieć, gdzie należy, czy papiery tego człowieka są w porządku?

— Ja już wiem -- odrzekł Mojsie — są bez żadnego feleru. Ja się dowiadywałem.

— Bardzo dobrze zrobiliście. A teraz potrzeba nam pisarza. Gdzie jest nasz pokątny doradca, gdzie jest Berek?

Młody żydek wysunął się naprzód.

— Słuchaj, jest dla ciebie kawałek roboty, tylko ma być w dobrym gatunku.

— Potrafię wymyślić coś fein, będziecie kontenci. Gdzie się to ma robić?

— U mnie w domu—rzekł Jankiel.

— Bardzo dobrze. Dajcie na papier.

— Masz i kup, tylko się spiesz.

— Udali się do mieszkania Jankla, gdzie właśnie wraz z pokątnym doradcą mieli robić wielkie pisanie na Abrama Figelmana. Wszel-

kie lajdactwo powinno być wytępione i wyko-
rzenione... A czyż nie jest lajdactwem, jeżeli
jakiś obcy przyjeżdża z dalekiego miasia, osie-
dla się w pobliżu i psuje handel, wydziera pra-
wowitym obywatelom te zyski, które z dawien-
dawna, od niepamiętnych czasów, do Czarnego
błota należały?

Zgromadzeni na rynku obywatele zaczęli
rozchodzić się do domów, tylko Mojsie Fisch
i Uszer Engelman nie mieli ochoty spać. Usie-
dli na wielkim kamieniu koło szkoły i taką
prowadzili rozmowę:

— Uszer—rzekł Mojsie — wiecie wy, co ja
myślę?

— Co wy myślicie?

— Ja myślę to samo, co wy.

— Wy myślicie, że jest na świecie dużo
takich rzeczy, o których nie można nic innego
powiedzieć, jak tylko, że są bardzo pfe!

— Zgadliście, właśnie o tym myślałem.

Obaj mężowie zapadli w milczenie i zaczęli
kiwać głowami, co oznacza wielkie natężenie
myśli.

Po chwili Mojsie głęboko westchnął i rzekł:

— Tak jest, pfe!

— Bardzo pfe—odpowiedział Uszer i zara-
zem dodał:—Słuchajcie, czy wyście kiedy za-
stanawiali się nad tym wyrazem „pfe?”

— Przyznam się wam, że nie. Wyraz to
bardzo pospolity, nie znajduje się w uczonych
księgach, używa go, kto chce i kiedy chce,
kobieta, nawet małe dziecko.

— A ja zastanawiałem się.

— Wy?

— I wcale tego nie żałuję. To jest wyraz
mały, ale ogromnie pakowny. W jego trzech

literach mieści się tyle, co w trzech dobrze naładowanych furach.

— Co się może mieścić?

— Posłuchajcie-no tylko. Gdy wymawiacie wyraz „pfe”, to całe wasze oblicze się zmienia, usta wykrzywiają się, jakgdyby miały w sobie coś bardzo kwaśnego i macie ochotę spluć.

— Prawda jest.

— Wasz nos robi się wówczas podobny do suszonej gruszki i marszczy się nieprzyjemnie, jakgdyby zaleciało go brzydkie bardzo powietrze. Wasze oczy pomimowoli się zamykają, jakgdyby nie chcąc patrzeć na to, o czym powiedzieliście *piel*. Ruszacie ramionami, odwracacie głowę, zdarza się też, że robicie machnięcie ręką, pragnąc niby odpędzić od siebie dokuczliwą i uprzykrzoną muchę. Czy nieprawda?

— Bardzo prawdziwa prawda.

— Pokażcie mi drugi wyraz, przy wymawianiu którego człowiek okazuje tyle nieprzyjemności całym swoim ciałem, wszystkimi członkami?

— No, nie chcę wymówić w złą godzinę. Oby się na naszych wrogów obróciło, znam jeszcze gorszy wyraz.

— Chcecie powiedzieć: ta słabość?

— Tak.

— Nie jest to dobry przykład. Takie wyrazy, jak, broń Boże, słabość, śmierć, budzą w nas tylko jedno uczucie, to jest strach. Człowiek boi się, drży, to prawda, ale nie wykrzywia ust, nie marszczy nosa, nie przymruża oczu. Nie dość na tym, że człowiek, wymawiając wyraz „pfe”, robi tyle skombinowanych ruchów ciałem, czuje on także bardzo

zwawe ruchy w duszy. Drga w niej gniew, zawstyżenie, obrzydzenie, niechęć, przykrość, smutek, żal i bardzo wiele rozmaitych uczuć, zależnych od okoliczności. Dziś, z powodu tego gałgana, o którym była mowa na rynku, nie znajdziecie w Czarnymbłocie ani jednego człowieka, któryby wyrazu „pfe”. nie wymówił przynajmniej dziesięćkroć, a czy nie widzieliście, ile było przytem oburzenia i wściekłości. Uważaliście też zapewne, jak pluli! Jak myśmży wszyscy pluli!..

— Oby to spadło na jego głowę!

— Niech spadnie. Ale przyznacie mi, że nie traciłem czasu na próżno, rozmyślając nad tym maleńkim wyrazem i wcale nieźle określiłem jego znaczenie, ale nie na tym koniec. Wogóle lubię chadzać daleko po ścieżkach myślenia, więc i w tym razie nie zatrzymam się na początku. Każdy towar ma kilka gatunków, dla czego by i ten wyraz gatunków miał nie mieć? Ja właśnie chcę te gatunki porachować, a jest ich bardzo dużo: takie maleńkie „pfe”, które się mówi małemu dziecku, gdy się trochę błotem zawala i takie wielkie „pfe”, jakie wymawialiśmy dziś z oburzeniem, słuchając o uczynkach tego gałgana! Od pierwszego do drugiego ileż stopni? Mojsie, pomyślcie wy, ile może być stopni?

— Może kilkanaście...

— Może sto, może kilkaset, może tysiąc, może kilka tysięcy! Uważajcie tylko, ile razy zdarzy wam się wymówić ten wyraz.

Długo jeszcze prawili na ten temat Uszer Engelman i byłby prawili do białego dnia, bo z pięknej przędzy można snuć bardzo długą nitkę, ale obu mężów zdjęła senność, przeto, powiedziawszy sobie nawzajem dobre słowo,

rozeszli się i każdy z nich poszedł ku domostwu, aby dać wypoczynek swoim dwustu czterdziestu ośmiu członkom.

Mojsie zastał swą piękną małżonkę jeszcze czuwającą.

Stała ona nad ogromną balią, napelnioną płynem ciemnego koloru, dolewała do niego mikstury z różnych flaszek i gąsiorów, zaglądnąca coraz do jakiegoś gęsto zapisanego zeszytu.

— Co to? nie śpisz jeszcze?—zapytał małżonek?

— A gdybym ci powiedziała, że śpię.

— Tobys skłamała...

— W takim razie, dlaczego pytasz o to, co własnymi oczami widzisz, mądry człowieku?

— Cóż ty robisz?

— Na jarmarku zapytywali o francuskie wino, więc robię francuskie wino. Przyrządę całą balię tego smaku, podług przepisu mego ojca. Będą mieli doskonały „Lafit”. Ty jutro rano ściągniesz do butelek, zakorkujesz i przylepisz etykiety. Potrafisz?

— Przecież zawsze to robię.

— No, pamiętaj, że to jest stare wino, przypadkiem nabyte od jednego podupadłego kupca z Warszawy. Mój tata zawsze tak mówił i sprzedawał taki sam interes po dwa ruble butelkę. On mi dał swoje recepty. Do Zatracańca, jeżeli będzie okazja, jutro bez żadnego pytania posyłam dwanaście butelek.

— Dlaczego masz posyłać, czy żądał?

— On nie żądał, ale ja żądam mieć od niego dwadzieścia cztery ruble.

Rzekłszy to, Małka roześmiała się, co zrobiło bardzo przykre wrażenie na mężu.

— Słuchaj, Małciu — rzekł łagodnie — dla-

czego ty, gdy mówisz o Zatraceńcu, to zawsze śmiejesz się i jesteś wesola?

— Bo ja tak lubię.

— A ja cię proszę, nie śmieć się.

— Ty?

— Nie śmieć się, bo to jest pfe!

Rzekłszy to, Mojsie oddalił się z wielką powagą i poszedł spać. Usnął, lecz sen miał ciężki.

Widział przed sobą dwa „pfe”: jedno olbrzymie, kahalne, które nad całym miasteczkiem, niby czarna chmura, zawisło; drugie zaś „pfe” uśmiechnięte, wesole, jechało na lekkiej bryczce od Zatraceńca wprost przed „Zielonego łabędzia” do Małki.

Oczywiście, człowiek, trapiiony przez takie dwie zmory, spokojnie spać nie może...

ROZDZIAŁ IX

Z czym powrócił Glaneman z Kopytkowa, oraz jak wyglądał salon w Brzozówce.

Uszer Engelman, zastanawiając się nad różnymi objawami życia ludzkiego, nad urządzeniem świata i organizacją interesów, na nim praktykowanych, nad zwyczajami różnych ludzi, utwierdził się coraz mocniej w przekonaniu, że najrozumniejszym narodem są żydzi.

Wprawdzie wiedział o tym jeszcze, będąc małym chłopczykiem, kiedy był w szkółce i dopiero zaczynał po odrobinie i cokolwiek lizać miód wielkiej mądrości i im więcej plastrów zlizywał, tym gruntowniej ta prawda wbijała mu się w głowę.

Właściwie więc Uszer nie miał szczególnej

przyczyny do zbierania dowodów na to, że dzień jest dniem, a noc nocą—ale swoją drogą lubił zbierać z amatorstwa. Nie zgromadzał pieniędzy, gdyż to nie był jego fach, ale zbierał argumenty i dowody. Dobra jest sprawa, mająca dwóch świadków, lecz taka, która ma dwunastu, dwudziestu czterech, czterdziestu ośmiu, jest bezwzględnie lepsza.

Pewnego wieczora postanowił Uszer użyć umiarkowanej przechadzki i pójść w pole, aby łagodnym tchnieniem wiatru ochłodzić głowę, nadmiarem myśli ciężkich sforsowaną.

Wyszedł za rogatkę i, usiadłszy na kamieniu przydrożnym, spoczął. Przed oczami jego rysowała się panorama miasteczka, jego rodzinnego, ukochanego miasteczka.

Widział z daleka czerwone kominy, szare dachy, ściany bielone, gdzieniegdzie okiennice różnych barw, widział żółtą synagogę i w pewnym odaleniu od miasta „dom wieczny”, kirkut, na którym, pod cieniem sosen, tylu mężów zasłużonych i nabożnych spoczęło.

Obraz ten rozrzewnił go, skierował jego myśli, na punkt jeden, na miasto?

Cóż to jest miasto? Oczywiście jest to zbiorowisko siedzib ludzkich. Kto wymyślił miasto? Bezwątpienia żydzi; oni tylko jedni mogli wpaść na tak genialny pomysł i urządzić gród ze wszelkimi wygodami, z rzeźnikiem, mykwą, szkołą, ze wszystkim, co tylko potrzeba, a nawet, zachowaj Boże z kirkutem.

Tylko ordynarni ludzie mogą żyć w odosobnieniu, w lasach, ustroniach; człowiek światły światła szuka i tam tylko żyć potrafi.

Wprawdzie dla interesów handlowych, dla chleba i ludzie delikatnego umysłu mieszkają niekiedy na wsi, a nawet przy handlu drze-

wem i w lesie, ale mieszkanie to chwilowe; zawsze łączność z miastem utrzymują, tam jeżdżą modlić się, słuchać mądrych dysput, zaoportunitywać się w pożywienie koszerne, tam czują się prawdziwie w domu, gdy na wsi, w lesie, w ustroniu, są jakgdyby tylko na popasie.

Niepodobna sobie wyobrazić, ażeby ludzie o delikatnym umyśle i uczuciach mogli się obejść bez miasteczka, chociażby przez jeden rok.

Niel

I z tego wynika wiele następstw bardzo dobrych, a przede wszystkim to, że każdy z synów Jakóbowych żyje podwójnym życiem, raz jako sam, osoba, a po drugie, jako członek tej wielkiej rodziny, która się nazywa miastem.

Jeżeli na miasto spada nieprzyjemność, to i jemu jest nieprzyjemnie i jego to boli; jeżeli zaś jego co boli, to i miastu jest nieprzyjemnie. Tym sposobem jego osoba jest tak ściśle połączona z miastem, jak naprzykład palec, albo ręka, z całym człowiekiem.

Gdy na miasto idzie zimny wiatr, to wszyscy żydkowie kulą się i chuchają w palce; gdy jest przyjemne powietrze, wszyscy się cieszą i używają ciepła.

Ten wiatr i to przyjemne powietrze należy uważać nie koniecznie jako sam wiatr i jako samo powietrze; można te wyrazy rozumieć także w znaczeniu przenośnym. Ów gałgan naprzykład, przybłąda, który niewiedomo po co się w okolicy Czarnegołota sprowadził i, wbrew odwiecznym prawom, handle różne zaczyna na krzywdę rodowitych obywateli miasteczka, jest też do pewnego stopnia gatunkiem złego wiatru, a od zapachu jego podłych

uczynków można dostać kataru. Jego działalność sprawia ból, ból dotkliwy, nie tylko obywatelom, których interesom szkodzi, ale i całemu miastu, więc wszystkim.

To też nikczemnik ów wiedzieć powinien, że jeżeli wre na niego gniew, to nie w jednym sercu, ale w tysiącu serc, jeżeli spadają na niego przekleństwa, to nie z jednych ust, ale z tysiąca ust.

Właśnie nad tym myślał Engelman, gdy dostrzegł zbliżającego się męża pięknej Małki.

Powitali się przystojnie:

— Dobry wieczór, Uszer.

— Dobry rok, Mojsie!

— Wyszliście na drogę?

— Cokolwieczek.

— Ja też wyszedłem.

— Niech wam będzie na zdrowie!

— Dziękuję za dobre słowo. Wyglądacie?

— Czego ja mam wyglądać?

— Jakto? Więc nie wyglądacie?

— Każdy człowiek wygląda szczęścia, ale żebym miał przyjść tu umyślnie na wyglądanie, tego nie mogę powiedzieć. Przyszedłem dla świeżego powietrza. W izbie jest duszno, głowa moja ociężała, chciałem więc dać jej wypoczynek i orzeźwienie.

— Bardzo dobrze; ale w takim razie widzę, że wam nic niewiadomo.

— Co ma mi być wiadomo?

— Nie słyszeliście, że nasz Glancman pojechał raniutko do Kopytkowa?

— Po co on pojechał do Kopytkowa?

— Czyż nie wiecie, po co tam ludzie jeżdżą?

— Czy zachorował kto w jego domu?

— Uchowaj Boże. On pojechał w interesie miasta.

— Tak?

— Nie wiecie? Tak uradzono wczoraj wieczór; najęli mu furmankę i dziś o samym wschodzie słońca już był w drodze. Dziwno mi bardzo, że nic o tym nie wiecie.

— Nie czułem się zdrowym, wczoraj nie wychodziłem z domu, brałem nawet lekarstwo.

— Jakie lekarstwo?

— Trochę mięty, cokolwiek rumianku. Miałem nieprzyjemne ściskanie i szczypanie koło serca.

— A dziś wam lepiej?

— Dużo lepiej, prawie jestem zdrow.

— Chwała Bogu! Ja wam się przyznam szczerze, że wyszedłem naumyślnie na drogę, żeby wyglądać Glancmana; jestem ciekawy, z czym on przyjedzie?

— Zapewne z czym dobrym.

— I ja się tak spodziewam. Jeżeli stamtąd nie będzie rady, skąd ma być rada? Jeżeli stamtąd nie przyjdzie pomoc, skąd ma być pomoc?

— Macie rację, wielki kabalnik, rebe Chaim jest mocny, on zdmuchnie wrogów Syjonu, on nas poratuje. Ślicznie zrobili, że posłali do niego.

— Patrzcie-no, zdaję mi się, że na drodze widzę kurz.

— I ja widzę.

— To napewno Glancman.

— Biegnijmy naprzeciw...

— Nie, biegnijmy raczej do miasta.

— Po co?

— Miarkujecie sobie zapewne, że Glancman, wysłany przez miasto i w interesie miasta, nie będzie stał na drodze, aby opowiadać wam i mnie, co zrobił; on zajedzie prosto na rynek.

— Wy zawsze macie słuszość, Uszer, macie ją i w tym razie. Idźmy więc.

— Idźmy.

— A spieszmy, musimy bardzo spieszyć, żeby go uprzędzić!

— Co za gwałt!

— W każdym razie gwałt—rzekł Mojsie, uśmiechając się znacząco—bo jeżeli jest zła wiadomość, to ona leci lotem ptaka, a jeżeli dobra, to Glancman nie żaluje koni i także leci lotem ptaka. Widzicie, Uszer, że i mnie trafi się czasem powiedzieć mądre słowo, a przyznacie, że to, któreście teraz usłyszeli, wcale nie było głupie.

— Owszem, było bardzo ładne; nie trzyma się ono na ścisłym kleju filozoficznym, bo zła wiadomość leci lotem ptaka, więc bez pomocy koni, a Glancman wiezie dobrą wiadomość końmi, więc nie lotem ptaka; ale swoją drogą zdanie wasze miało bardzo dobry klang i może się każdemu podobać.

— Spieszmy jednak...

Obadwaj mężowie puścili się szybko ku miasteczku, tak, że zaczęli mocno sapać, co stało się przyczyną przerwania ich zajmującej rozmowy

Ciekawi byli niezmiernie, co Glancman przywiózł z Kopytkowa, bo za byle głupstwem nie jeździ się w takie miejsce i do takiej osoby.

Wielki kabalista, Chaim, sływał szeroko ze swych cnót; kilka tysięcy chassydów zjeżdżało się do niego na święta, chociaż właściwie nie był on rabinem, lecz zupełnie prywatnym człowiekiem; ale przecież pomiędzy prywatnymi ludźmi także bywają wyjątki. Znano go na kilkanaście mil wokoło, miał swoich wielbicieli

Czarnebloto.

we wszystkich okolicznych miasteczkach, wyrocznią dla nich był, ucieczką we wszelkich kłopotach, radą, pociechą—wszystkim.

Niepozorna osoba; na pierwszy rzut oka zwyczajny żydek, ale we środku! Jaka moc w tym człowieku jest we środku! On jest bardzo mądry, bardzo mocny i bardzo potężny!

On wie wszystko, co było, co jest, co będzie i czego nie będzie; on widzi w człowieku, jak w kryształowej szklance; on potrafi robić takie kombinacje liczb i liter, od których ziemia mogłaby zdrześć; zna sposoby zaklęcia duchów, a uczynić coś nadzwyczajnego, to jest u niego rzecz bardzo zwyczajna.

Taki człowiek jest postrachem złych duchów; kiedy pali fajkę i wypuści z ust kłęb dymu, giną one w nim tysiącami, jak muchy, a kiedy powie słowo, przepadają miliony paszkodników.

Atoli słowa jego nie są obfite, jak nieobfite są na świecie perły i brylanty.. Zwyczajny człowiek może mleć językiem bezustanku, bo jego słowa mają wartość piasku, ale takil..

Znoszą mu ze wszystkich stron podarunki i pieniądze, bo niedelikatnie i niepraktycznie byłoby przystępować do takiego z gołą ręką. On dla siebie potrzebuje bardzo mało, prawie nic, ale ma koło siebie rodzinę, ma duży dom, którego utrzymanie więcej kosztuje, niż, nie ubliżając sprawiedliwemu mężowi porównaniem—niejednego hrabiego.

Do tego to potentata jeździł Glancman, wybrany jako człowiek wymowny. Nikt tak mallowniczo i treściwie nie umiałby przedstawić troski, jaka nad Czarnymblotem zawisła, jak Glancman.

Oczekiwano też jego powrotu z niecierpliwością.

Kiedy Engelman z Mojsiem przybiegli na rynek, zaledwie zdołali czerwonymi chustkami obetrzeć spocone czoła, dały się słyszeć głosy:

— Jedzie, jedzie.

Jakoż rozległ się turkot kół po nierównym bruku, a furman Berek ćwiczył swoje chude szkapy co wlało.

I on, chociaż ordynaryjny bałagula, pysznił się, że z takiego miejsca powraca i chciał przy tej sposobności pokazać swoją sztukę, to też tak gwałtownie stuknął o kamień, że o mało co nie wyrzucił Glancmana w kałużę.

Szczęśliwie obyło się bez wypadku i Glancman, zamiast w błoto, wpadł w ręce swoich zaciekawionych i rozgorączkowanych współobywateli.

Nikt mu nie powiedział: dobry wieczór, ani jak się masz, wszyscy hałasowali jednocześnie:

— Co?

— Byłeś?

— Widziałeś?

— Gadaj!

Jednocześnie szarpali go za poły i za rękawy, z wielkiej ciekawości, oraz z przeświadczenia, że dobrze jest dotknąć się człowieka, który w takim miejscu był i taką osobę widział.

— No, prędzej, prędzej! Mów!

— Czy nie widzisz, że stoimy, jak na rozrzonych węglach?

— Zaraz, czekajcie! — wołał Glancman — przestańcie mnie szarpać! Czy wam się zdaje, że dostałem kapotę w prezencie? Kosztowała mnie osiemnaście rubli, jak jeden grosz.

— Niech cię licho porwie razem z kapotą! Mów, coś zrobił?

— Dobrze.

— A co przywiozłeś?

— Bardzo dużo!

— Słuchajcie, słuchajcie!

— Czy chcecie, żebym na rynku takie rzeczy opowiadał?

— Właśnie, na rynku jesteśmy jak w domu: sami w swoim kółku. Czy to nie jest nasz rynek, sam środek naszego miasta? Samo serce!

Jankiel zaoponował.

— Lepiej pod dachem.

— U mnie! — zawołał Mojsie — „Pod Zielonym Iabędziem” taka śliczna sala!

W paradnej stacji, gdzie zazwyczaj pani Małka przyjmowała sam kwiat swoich gości, zgromadziło się tylu obywateli czarnobłockich, ilu tylko w czterech ścianach tej izby mogło się pomieścić. Stali oni szczelnie jeden obok drugiego, upakowani dokładnie, jak sardynki w pudełku, a że wieczór był parny, przeto pocili się niby w łaźni.

Glanzman zaczął swoją relację od tego, że jechał z wielkim pośpiechem, że Berek bardzo energicznie poganiał konie, on sam zaś jeszcze energiczniej poganiał Berka i dzięki temu stanął w Kopytkowie zaraz po popołudniu.

Powiedziano mu, że wielki mąż tylko co spożył obiad i że położył się, aby spocząć. Z tego powodu Glanzman czekał, a żeby nie tracić czasu, poszedł się posilić. Zaledwie zdążył zjeść dwa małe kawałki chleba i cząstkę śledzia, dano mu znać, że już może przyjść.

Wiadoma rzecz, sen sprawiedliwego bywa spokojny, lecz krótki.

Wtedy Glanzman przyglądził brodę i za parę chwil stał przed obliczem nabożnego męża.

Pozdrowiwszy go według obyczaju i oddawszy honor, takiej osobie przynależny, delegat zaczął mówić. Cały żal miasteczka, całą jego przykrość i oburzenie wylał z serca przez usta, a słowa jego, nabrzmiałe wielkim bólem, padały niby deszcz kamieni. Trzeba uważać, że zaraz przy samym rozpoczęciu mowy, rebe Chaim kiwnął głową raz. To jest duża rzecz!

W tym kiwnięciu nie było słów, ale było znaczenie głębokie. Było uznanie słuszności skargi, potwierdzenie, że obywatelom Czarnogółta krzywda się dzieje, zachęta do dalszego mówienia.

Delegata nie trzeba było o to dwa razy prosić.

Człowiek wymowny lubił się z darem krasomówczym popisywać, zwłaszcza w takim domu, wobec takiej osoby! Jak zaczął malować przybysza czarnym kolorem, to można było mniemać, że wziął wszystką czarność ziemi, przepaści, głębin morskich i piekieł, wszelką obrzydliwość wnętrza bagien i wszelką ciemność nocy.

Słuchając opowiadania o niegodziwcu, który przyszedł w te strony, aby psuć interes obywatelom czarnobłockim, mąż sprawiedliwy splunął.

To jest fakt. Splunął na sam środek stancji i jednocześnie wytrząsnął fajkę, z której posypał się popiół i iskry.

Gdy Glancman to powiedział, po wszystkich członkach zgromadzenia dreszcz przeszedł.

Dobrze tak łotrowi, który nie szanuje praw, wdziera się w sferę interesów obywateli czarnobłockich i odbiera im słusznie należny zarobek. Oplwane niech będzie imię jego, a on

sam niech zginie w gorącym popiele i iskrach, jak na to zasłużył.

Choćby Glancman nie przywiózł był z Kopytkowa nic więcej nad wiadomość o splunięciu i wytrząśnięciu popiołu z fajki, to i tak przywiózłby już bardzo wiele, ale nie na tym koniec.

Drobiazgowa relacja Glancmana zawierała jeszcze kilka punktów, niezmiernie ważnych, a przede wszystkim ten, że kiedy sprawiedliwy mąż usłuszał o pisaniu i kilku denuncjacjach, jakie na niegodziwego człowieka podano, to uśmiechnął się i znowu kiwnął głową.

Czy może być ważniejsze i poważniejsze zatwierdzenie czynu? To kiwnięcie głową było niby złota pieczęć na pergaminie, znaczyło ono tyle, co zupełne uznanie i pochwała zarazem.

Wszyscy byli przekonani, że dzięki temu kiwnięciu, wszystkie środki, przedsięwzięte przeciwko intruzowi, będą niezawodnie skuteczne.

Pozna on smak, dowie się, co to znaczy wchodzić tam, gdzie nie potrzeba i robić to, co nie należy. Uciekać będzie, gdzie pieprz rośnie, a nie tylko synom swoim, ale wnukom zapowie, ażeby omijali Czarnebloto z daleka, gdyż tam są ludzie, którzy w obronie praw swoich potrafią stanąć, niby lwica, gdy kto jej młode chce zabrać.

Jak zmęczony podróżnik na pustyni, wyczerpany z sił, znużony od gorąca i trawiony pragnieniem, znalazłszy źródło, ochłodzi się i wzmocni, tak zgromadzeni „Pod zielonym łabędziem”, usłyszawszy opowiadanie Glancmana, ochłodzili się, orzeźwili i wzmocnili.

W serce każdego z nich wstąpiło uspokojenie i nadzieja, weszła pewność, że pohań-

bieni i upokorzeni zostaną wrogowie jego, a on sam, jako częśćka ludności czarnobłockiej, żyć będzie sam w sobie i w Czarnym błocie spokojnie i bez żadnej przeszkody.

Nie ma się co dziwić, że paradna sala pani Małki napelniła się gwarem radosnym, tym przyjemnym gwarem, który świadczy, że wszyscy obecni zrobili dobry interes i że mają serca napelnione otuchą.

Ale i nie na tym jeszcze był koniec relacji Glancmana; mąż ten albowiem, zdając sprawę ze swojej misji, zachowywał się tak, jak ów kupiec klejnotów, który z początku pokazuje ładne kolorowe, ale nie najdroższe kamienie, następnie perły coraz to większe, a na samym końcu dopiero wydobywa wielki, wspaniały brylant, taki brylant, co olśniewa oczy blaskiem, duszę napelnia pożądliwością, a z piersi wydobywa okrzyk zachwyty.

Glancman postępował tak samo, jak ów handlarz klejnotów.

W relacji, jaką zdawał zgromadzonym, splunięcie i wytrząśnięcie popiołu z fajki podobne było do garści rozsypanych rubinów, szmaragdów, szafirów i tym podobnych migotliwych, barwnych kamieni; kiwnięcie głową i uśmiech równało się wielkiej perle uriańskiej, ale w zapasie, na sam ostatek, pozostawił jeszcze brylant.

Brylant czystej wody, tak drogi, że aż nie mający ceny.

Glancman uderzył silnie ręką w stół, na znak, iż zgromadzenie ma się uciszyć, a kiedy już po nad głowami mężów przeleciał cichy ptak milczenia, kiedy wszyscy, niby miecze do pochew, wsunęli języki za opasanie zębów swoich, wówczas zabrał głos i mówił dalej.

I opowiedział, że w słowach pełnych obu-

rzenia, zgrozy i żalu odmalował położenie mieszkańców Czarnegobłota, czas, który się psuje coraz fatalniej, wspomniał o interesach, jako te stają się coraz trudniejsze i mniej korzystne, wreszcie dodał, że po nad miasteczkiem, niby stada wron kraczących, przelatują różne przykre wieści, według których, oby nie w złą godzinę wymówić, porządny obywatelom i kupcom niewolno będzie handlować wódką, tak, jakby chcieli, ani mieć takich zysków, jakby chcieli.

Odmalował to wszystko szczegółowo, dokładnie, właśnie jak chory, gdy przed znakomitym lekarzem odsłania rany swoje i na dolegliwości wielkie się skarży.

Wyraziwszy zaś wszystko, co mu na sercu leżało, ośmielił się zapytać: co będzie?

Co będzie?

Dość długo wielki mąż na słowa swoje czekać kazał. Snać rozważał w myśli i kombinował. Sięgnął ręką po fajkę, nałożył ją tytunem, zapalił, pociągnął; wypuścił z ust kilka dużych kłębow dymu, popatrzył w sufit i rzekł:

— Będzie, jak było...

Gdyby na głowy zgromadzonych zaczął nagle padać złoty deszcz, perłowy grad, gęsty śnieg z samych bankocetli, nie sprawiłby im takiej radości, jak to krótkie, a przecież takie wielkie powiedzenie:

— Będzie, jak było!

— I to prawda? — zapytano.

— Tak, prawda, jak teraz mamy wieczór.

— Nie przesłyszałeś się?

— Ja miałbym się przesłyszeć? Czy wam się zdaje, że kiedy ja tam byłem, to ja byłem wtenczas Glancman? Nie! ja byłem wtedy oko! Nic, tylko jedno wielkie oko! A kiedy usta swoje otworzył i wielkie słowo, niby rajskiego

ptaka, miał z nich wypuścić, to ja byłem jedno wielkie ucho; a kiedy on ruchem głowy i oczami swoimi dał mi poznać, że już nic więcej nie usłyszę i że wypado mi odejść, to ja zrobiłem się skrzydło ptaka, żeby do was z nowiną przylecieć. Przyleciałem i powiedziałem wam wszystko, teraz możecie iść i roznieść to po całym mieście. Niech wszyscy wiedzą.

— Niech wiedzą, ma się rozumieć, niech wiedzą!

— Niech to nie będzie tajemnicą ani dla biedaka, ani dla kobiety, ani dla dziecka, niech wszyscy do syta najedzą się radością i napoją uspokojeniem.*

Stojący bliżej drzwi z głośnym szmerem zadowolonia zaczęli wychodzić. Pani Małka zaś z trudnością przycisnęła się do okna i otworzyła je szeroko.

Wiatr przez nie wpadał i drzwiami otwartymi wybiegał, muskając brody mężów, a zarazem rozrzedzał atmosferę, zgęszczoną od nagłego rozradowania się tylu duchów.

W kilka chwil później zgromadzenie się rozeszło. W paradnej sali, oprócz Małki, Mojsia i jego przyjaciela, Engelmana, pozostał Glancman, Jankiel Bas i jeszcze dwóch kupców.

Rozmawiali oni, a jako jest w obyczaju uczonych, aby do każdej sentencji, do każdego wielkiego wyrazu, dorabiać zaraz komentarz i do tego znów komentarza jeszcze jeden komentarz, tak i w tym wypadku każdy komentarze swoje dodawał.

— I cóż — rzekł w końcu Jankiel Bas — czym nie mówił, że nie mamy powodu tak bardzo się obawiać tego łajdaka?

— Byliście w strachu, tak samo jak wszyscy.

— W strachu? Dlaczego nie miałem być

w strachu, jeżeli on zaczął skupować zboże od ludzi, z którymi ja handluję? Owszem, byłem w strachu, ale swoją drogą mówiłem, że nie mamy czego się obawiać.

— Ech! — rzekł na to Engelman — taka już jest nasza natura, że często bywamy w strachu, choć nie ma czego się bać.

— Alboż mało nas strasz yli? — wtrącił nieśmiało Mojsie.

— Prawda, że strasz yli, i to nawet wielkimi strachami, ale co zrobili nam? — dorzucił Engelman. — Strasz yli nas Faraon w Egipcie, strasz yli Filistyny, strasz yli wielki paskudnik Haman, a gdzie oni teraz są? Ich dawno diabli wzięli, a my jesteśmy i siedzimy sobie w Czarnobłocie i siedzieć będziemy, daj Boże, jak najdłużej. Czego się bać.

— Prawda. Czego się bać.

— No — rzekła z uśmiechem pani Małka — teraz, jak usłyszeliście wielkie słowo i jak wleźliście za to słowo, jak za piec, to jesteście bardzo odważni.

Mojsie ośmielił się delikatnie zauważyć, że w kwestiach tak poważnych głos kobiety wcale nie jest głosem, a ponieważ taka mowa groziła sprzeczką małżeńską, Engelman, chcąc ją odwrócić, stuknął mocno w stół i szeroko zaczął się rozwódzić nad położeniem.

Następnie Jankiel Bas podniósł kwestię, o coby jeszcze można oskarżyć przybysza, który śmie prawa obywateli czarnobłockich naruszać?

Wprawdzie to, co się już zrobiło i co znalazło potwierdzenie i uznanie w Kopytkowie, wystarczy, ażeby intruza diabli wzięli, ale dla pewności nie zaszkodzi, jeżeli go wezmą dwa razy. Na co robić z nim ceremonie? Chce

drugich gubić, niech ginie sam, skoro jest taki lajdak.

Tego wieczora nad Czarnymblotem unosił się wielki obłok radości, wszyscy byli szczęśliwi i cieszyli się wiadomościami, które przywiózł Glancman.

Niektórzy jeszcze na noc, niektórzy wczesnym rankiem posiadali na biedki i puścili się w okolicę za interesami, pełni otuchy, że im się powiedzie i że cokolwiek pod taką dobrą wróżbą rozpoczną, będzie uwieńczone najpomyślniejszym skutkiem.

Jankiel Bas wybrał się w dalszą podróż do miasta, ale przed wyjazdem odbył konferencję z Glancmanem, a podczas niej często było wspominane nazwisko dzierżawcy Zatraceńca.

Na skutek tej konferencji Glancman udał się nazajutrz do pana Boreckiego do Brzozówki i miał tam rzucić kilka słów bardzo znaczących.

Dworek brzozowiecki tonął w ogrodzie, był on drewniany i niezbyt obszerny, ale na potrzeby rodziny wystarczał. Dla wszystkich jej członków były miłe, wygodne kąciaki i nikt się nie mógł na ciasnotę uskarżać.

Pan Borecki miał swoją kancelarię z wejściem oddzielnym, ciotka swój pokój, panienki także, a prócz tego jeszcze był duży pokój stołowy i salon.

W tym ostatnim niepodzielnie panowały panienki. One utrzymywały porządek, one własnymi rękami wyrabiały dla ozdoby przeróżne firanki, serwetki, patarafka i osobliwsze arcydzieła krzyżowe, siatkowe i szydełkowe; one to pielęgnowały rośliny na oknach i letnią porą dostarczały bukietów.

Czysto tam było, jak w pudełeczku, a sta-

roświeckie, jesionowe, czarną włosienicą kryte meble wyglądały tak świeżo, jak gdyby je tylko co wprost od stolarza przywieziono.

Latem panował tam ciągle zapach róż, rezedy, lewkonii, goździków i wszystkich tych pospolitych ale wdzięcznych kwiatów, jakie panienki w ogrodzie pielęgnowały. Na każdym stole stał bukiet, ułożony piramidalnie, z trawką włoską we środku, a z grubym podkładem z rezedy u spodu.

Bywały też i niezapominajki, na płaskich fajansowych salaterkach, szeroko rozłożone. Panienki same je zbierały, a nie trzeba było po te kwiatki pamięci chodzić daleko, bo rosły zaraz za ogrodem, po obu stronach szerokiego rowu, który łąkę przerzynał.

Oprócz bukietów i niezapominajek nie brakło w salonie i innych, trwalszych roślin. Wszystkie okna były nimi ubrane i nie tylko okna, bo oleandry aż do pułapu sięgały, a gdy zakwitły i całe się różowymi bukietami okryły, to taki zapach był, jakby kto worek migdałów rozsypał.

Jedno okno zajmowała całkowicie na drewnianej kratce rozpięta asklepia, piękna roślina, mająca kwiatki białe, niby z wosku zrobione i miodem pachnące.

Bywał nieraz kłopot z powodu tej rośliny, gdyż zwabione zapachem osy i pszczoły zlatywały się do niej i trudno je było wypędzić.

Były pelargonie i geranie, były fuksje rozmaite, czerwone z białymi środkami, białe z fiołkowymi, były mirty, bo jakżeż bez nich w domu, gdzie są panny? Przecie nie wypada pożyczać skąd na wesele.

Rośliny nie mogły się pomieścić na oknach, zrobiono więc dla nich schodki sosnowe, po-

malowane na zielono. Było z tym kłopotu coniemiarą, bo karbowy Filip, który, jako trochę majstrowaty i umiejący się obchodzić z siekierą, podjął się je zrobić, strasznie z tym marudził. Tłumaczył się, że desek takich cienkich nie ma i czasu, a może trochę i pana Boreckiego się bał, żeby go nie zdyfamował za to, że, zamiast skrzynie do kartofli połatać, głupstwami się trudni.

Ale jakoś pokonano przeszkody. Deski wypatrzyła w szopie panna Zofia, Filip zaś skorzystał z czasu, kiedy pana Boreckiego w domu nie było i schodki zmajstrował.

Narobił się chłopisko, to prawda, ale nie darmo, bo dostał od panny Jadwigi kielich gorzałki i taki kawał chleba z masłem i serem, że go, w spokojności usiadłszy, że trzy kwadransy jadł i ledwie zjadł, choć się dobrze zwijał.

Ale znów się kłopot wywiązał. Trudnoż było wstawiać do pokoju takie białe schodki sosnowe; należało je w pierw pomalować.

Przy tej okazji dopiero panny przekonały się, jak trudną sztuką jest malarstwo, zwłaszcza, gdy kto chce koniecznie, żeby schodki były zielone.

Ciotka mówiła, żeby nie grymasić i nie szukać wiatru w polu, kiedy w domu, Bogu dzięki, jest farbka do bielizny; ale sama się przekonała, że to do niczego, schodki bowiem stały się nie niebieskie, ale jakieś srokate, łaciaste.

Próbowano poprawić ten kolor wiórkami—jeszcze gorzej — i byłoby wypadło wyrzec się schodków, ale panienki nie dały za wygraną. Przy pierwszej bytności w Czarnymbłocie kupiły prawdziwej zielonej farby i umalowały

schodki tak pięknie, że nic do życzenia. Kiedy wyschły, wniesiono je z tryumfem do salonu i zastawiono kwiatami.

Panny były uradowane, a nawet ciotka, osoba do zachwytu nie skora i na pochwały nie szczodra, przyznała, że pokój dużo lepiej wygląda i kwiaty piękniej się prezentują.

Tak się jakoś szczęśliwie złożyło z tymi schodkami i przyozdobieniem salonu, że kiedy pan Stanisław po raz pierwszy przyjechał, zastał je już i bardzo uważnie się przyglądał; widać, że mu się podobały; gdy zaś matka jego złożyła wizytę w Brzozówce, to się tych ślicznych kwiatów nachwalić nie mogła.

Zaraz kazała zrobić takie same schodki i domek na leśniczówce nimi przyozdobiła, panienki zaś dały jej kilkanaście doniczek na rozmnożenie.

Kiedy pan Stanisław te kwiaty zabierał, chciał koniecznie wiedzieć, który od której panny jest darowany, ale nie dowiedział się nic—niech zgaduje.

Dopiero za następną bytnością, kiedy znów zaczął się pilnie dopytywać, Jadwinia wygadała się niechcący, że kwitnący oleander jest od Zosi.

Później młody leśnik wspomniwał często, że ze wszystkich roślin, jakie zna na świecie, najpiękniejszą jest oleander i to nie tylko podczas kwitnienia, ale i wówczas nawet, gdy choruje, utraci liście i stanie się podobnym do starej miotły.

Jadwinia bo nigdy nie umiała utrzymać sekretu; wygadała się też przypadkiem, że siostra jej lubi niezmiernie konwalie, a naprawdę ona je polubiła dopiero od czasu, gdy jej pan

Stanisław cały pęk tych białych kwiatuszków w lesie nazbierał i przywiózł.

Niewiele brakowało, by wypaplała, że trzy gałązki konwalii są zasuszone w książce do nabożeństwa i że je Zosia z sobą zawsze do kościoła wozi.

Raz już... tylko co... o małeńki włos... nie powiedziała i o tym; ale Zosia wywołała ją na ganek i tak prosiła, tak prosiła na wszystko, że wymogła na niej najsolenniejsze przyrzeczenie, iż będzie uważna i że ani słoweczka niepotrzebnego nie powie. Onby sobie mógł Bóg wie co myśleć, a przecież w tym nie ma nic; doprawdy, nic w tym nie ma...

Mówiąc, że nie ma nic, Zosia rumieniła się, jak poziomka i spuszczała oczy, ale to więcej z obawy, aby pan Stanisław nie dowiedział się, niż z innego powodu.

Spodziewano się, że pani Zawadzka z synem przyjedzie przed wieczorem, zapowiedziała bowiem swoją hytność ciotce, gdy się w kościele spotkały. Z tego powodu świeżutki zawsze salon wyświeżony został jeszcze lepiej, nadzwyczajnie. Bukiety, jeszcze nie zwiędnięte, wyrzucono na śmiecie, a zastąpiono je nowymi, z których jeden, z samych centofolii, był gruby, jak dobrej więzi snopek.

Grzechem byłoby żałować róż, gdy jest ich taka masa w ogrodzie. Kilkadziesiąt krzaków potężnych, a wszystkie jakby oblepione kwiatami.

Bukiety robiły panienki po południu i spryskały je wodą, żeby na przybycie gości wyglądały świeżutko.

Jadwinia ciągle spoglądała na zegar, panna Zofia udawała, że ją czas niewiele obchodzi i na zegar wcale nia zwracała oczu, ale to tyl-

ko taki wykręt panieński. Nie patrzyła na zegar, ale po słońcu, po cieniu, jaki od drzew padał wiedziała doskonale, która godzina, i wiedziała również dobrze, że czas się wlecze, jak zółw. Zauważyła także, iż kalafiory mają bardzo sucho, i że trzeba je dobrze podlać, wciąż też chodziła tam z polewaczką.

Prawdę rzekłszy, kalafiory mogłyby się jeszcze ze dwa dni bez podlewania obejść, ale zagonek, na którym rosły, znajdował się tuż przy parkanie, na końcu ogrodu, a stamtąd był widok na drogę.

Oczekiwani goście nie spieszyli jakoś, bo słońce schylało się coraz niżej, a ich ani widać.

Naraz dało się słyszeć ujadanie psów we wsi.

— Pewnie jada!—zawołała Jadwinia.

— Może—odrzekła siostra, udając obojętną.

— Zobaczę!

— Jak chcesz.

Dziewczynka pobiegła na koniec ogrodu i niebawem powróciła zadyszana.

— Jada, Zosiu, naprawdę jada! Są już za wsią!

— Poznałaś?

— A jakże!

— Ciekawam, jak można poznać kogo z takiej odległości?

— Kurz widać, Zosiu, jak cię kocham! Ja już słyszę turkot bryczki, a ty nie?

— Ani trochę.

— To dziwne, bo ja wybornie; teraz skęcili koło ogrodu. Słyszysz?

— Może... rzeczywiście...

— Ależ, naprawdę! Trzeba powiedzieć cioci.

— To powiedz.

— Ja wyjrzę z ganku!

Z tymi słowy wybiegła, a niedługo dał się słyszeć turkot przed gankiem. Jadwinia zaraz wróciła.

— Cóż?—zapytała Zosia—przyjechali!

— Tak, przyjechał... Glancman i właśnie opędza się od psów.

— Glancman—rzekła panna Zofia i zrobiła przytem dziwny grymas ustami.

Żeby wielki delegat, który jeździł z Czarneblota do Kopytkowa w nadzwyczajnej misji od całego miasta, mógł widzieć wrażenie, jakie dźwięk jego nazwiska na panie Zofii wywołał, dziwiłby się zapewne niepomiernie.

Glancman! Czy to nazwisko źle brzmi? Czy nie jest miękkie, jak aksamit? Czy nie usposabia przychylnie dla człowieka, który je nosi?

Zdaje się, że dość jest wymówić: Glancman, aby wyobrazić sobie człowieka jedwabnego, gładkiego, pełnego delikatności i elegancji, mającego względnie czystą kaptotę i tombakowy zegarek, a ta panna krzywi się, jakgdyby zjadła cytrynę. Słusznie mówią, że są rzeczy, na których kobieta nigdy się nie pozna, gdyż rozum jej na taki interes za słaby.

Glancman, stoczywszy rozpaczliwą walkę z psami, z której wyszedł cało i szczęśliwie, gdyż mu od strony kuchni posiłki przybyły, udał się wprost do kancelarii pana Boreckiego.

Zaraz na wstępie oświadczył, że szczególnego interesu nie ma, że wstąpił tylko tak sobie, aby dowiedzieć się o zdrowiu, a przy tej okazji zapytać, czy przypadkiem nie ma jakiego ziarna na sprzedaż?

— Dlaczego przypadkiem?—zapytał gospodarz.—Przecież nie z przypadku, lecz naumyślnie zboże sięje i naumyślnie je sprzedaje.

— Ja wiem, ale dobrodziej nie zawsze lubi sprzedać wtenczas, kiedy my chcemy kupić, dlatego pytam, czy pan nie ma na sprzedaż przypadkiem.

— Trudno, nie zawsze można sprzedać, kiedy wam się podoba; czas płaci, czas traci.

— No, alboż my nie ryzykujemy? Handel zbożem, to jest tak, jak granie w karty, dziś pan, jutro kapcan, ale zawsze trzeba cokolwiek ryzykować.

— Ja wolę nie ryzykować.

— I to jest dobrze, ale jak czasem. Ryzykując, można stracić i, nie ryzykując, można nie zarobić, bo prawdziwie mówiąc, nieryzykowanie, to jest także ryzykowanie, tylko w innym gatunku.

— Jakto?

— Bardzo prostym sposobem; jeżeli kupuję naprzód zboże i później ceny spadną, to tracę, bo ryzykowałem z góry; jeżeli pan trzyma zboże w śpichrzu i czeka na ceny lepsze, a doczeka się gorszych, to pan traci, ponieważ pan ryzykował od dołu. Panie dobrodzieju, wszystko jest na świecie ryzyko, oprócz szczęścia a

— Tak, ale gdzie go szukać?

— Na co szukać? Jak ono ma do kogo przyjść, to samo przyjdzie, nawet niewołane i nieproszone, a jak nie ma przyjść, to choćby człowiek stanął na środku rynku i cały dzień krzyczał: „aj, waj!”—to ono też nie przyjdzie. Niedaleko szukając, mamy przykład w naszej okolicy, bliżutko, z panem Różańskim. Czy on się spodziewał, że na niego taki majątek

patrzy. Pan dobrodziej zapewne słyszał coś o tym?

— A słyszałem, coś mówią.

— Mówią? Wielmożny panie, oni nie mówią, ale krzyczą, a zazdroszczą!... Ja sam widziałem takich, co, kiedy usłyszeli o tym interesie, zrobili się całkiem zielone, wszystka żółć się w nich poruszyła z zazdrości! Pana Różańskiego interesy bardzo się poprawiły, on teraz duży pan się zrobił, kredyt w mieście ma, żeby tylko chciał!...

— A nie chce?

— Proszę pana, zwyczajnie tak bywa, że kto kredyt ma, rzadko kiedy go żąda, kto nie ma, toby wciąż pożyczal. Pan Różański nie lubi pożyczać. On ma taką naturę, jak wielmożny pan.

— Ileby sam chciał! Pięć, dziesięć tysięcy. Niech tylko słowo powie, a w tej chwili całe Czarnebloto się poruszy. Każdy ściągnie z żony perły, wyjmie jej z uszu kolczyki, zastawi, a da. Jak takiemu panu nie dać? Niech pan dobrodziej sam powie? Jak nie dać?

— A mnie dalibyście, gdybym potrzebował?

Glanzman zrobił bardzo uprzejmą minę.

— Komu kredytować, jeżeli nie panu?

— Ba! a z czegobym oddawał?

— Niech pan żartuje zdrów! Wielmożny pan jest znany bogacz w okolicy.

— Nie liczyliście moich kapitałów.

— Czy pan myśli, że tylko to bogactwo, co policzone, jest bogactwem? Podług mojego rozumienia, więcej jest na świecie niepoliczonych skarbów, niż rachowanych. Zdaje się, że tak?

— Być może.

— Pan dobrodziej, prócz tego, co ma, może mieć jeszcze dużo, bardzo dużo. A pana có-

reczki! Takie piękne, edukowane panienki! One dostaną bogatych mężów, im się to należy.

— Jeszcze czas.

— Dlaczego czas? Skoro są panienki, to trzeba i zięciów. Ja znam takiego pana, co z dużym majątkiem, z wielkim majątkiem, co mógłby grymasić i kawałek hrabianki poszukać, a przecież chciałby zostać zięciem pana dobrodzieja. Pan zapewne miarkuje, że ja o panu Różańskim mówię. Godny kawaler, lepszego w okolicy nie znajdzie... Co pan dobrodziej myśli o tym interesie?

Borecki brwi zmarszczył i rzekł poważnie:

— Słuchaj no, mój panie Glancman, jeżeli będę miał na sprzedaż pszenicę, kartofle, rzepak, to będę z tobą chętnie mówił, ale córek przez twoje ręce pozbywać się nie myślę. Niech cię to nie obraża, ale radzę ci, abyś się w nie-swoje rzeczy nie wdawał.

— Ja nie rozumiem wielmożnego pan. Czy dlatego, że ja nazywam się Glancman, nie potrafię być życzliwym? Dlaczego?

— Dlatego, że to do ciebie nie należy i zrobisz mi wielką przyjemność, jeżeli zechcesz rozmawiać o czym innym.

Glancman próbował jeszcze, aby do tego przedmiotu powrócić, ale widząc, że to się na nic nie zda, odjechał.

— No — mówił do siebie, siedząc już na biedce i poganiając chudego konia — ty panie szlachcic nie chcesz żyda swata, ale co Glancman powiedział, to już ci mocno w głowie siedzi. Ty lubisz pieniądze i ty się na nie zląkomisz. Sam będziesz się starał o Różańskiego na męża dla swojej kochanej córeczki. Owszem, szukaj, złapiesz się. Śliczny zięć, bardzo fajny kawaler!

Kiedy pan Borecki, zakończywszy rozmowę z Glancmanem i wydawszy Filipowi dyspozycję robót na jutrzejszy dzień, przyszedł do „salonu”, zastał tam siostrę swą i gości w bardzo wesołym nastroju ducha.

Pani Zawadzka z ciotką Gertrudą rozmawiały z wielkim ożywieniem o najlepszym sposobie marynowania grzybów, a panienki z panem Stanisławem o kwiatach i o lesie.

Pokazało się z rozmowy, że panny bardzo lubią las, ale panna Jadwiga bałaby się w nim mieszkać, zwłaszcza w zimie, głównie z powodu wilków; Panna Zofia dała się słyszeć ze zdaniem, że wilk nie jest bynajmniej tak straszny, jak mówią, i że szczególnie zdaleka jest to nawet dość przyjemne zwierzątko, podobne bardzo do Burka, psa podwórzowego, który tak Glancmana przestraszył. Nie ma żadnej racji obawiać się wilka, tymbardziej, że, jak mówi pan Stanisław, wilk boi się ludzi i ucieka przed nimi. Można temu wierzyć, bo pan Stanisław zna się na wilkach doskonale i niejednego już zastrzelił.

Niežnośne są zegary; gdy potrzeba, żeby się spieszyły, chodzą niesłychanie powoli; gdy jest pożądanе towarzystwo, miła rozmowa, mierzą godziny ze złośliwą szybkością.

Tyleby jeszcze było do powiedzenia, tyle zapytań cisnie się na usta, a tu szkaradne zegarzysko dzwoni i gdacze: „Już czas, już czas, już czas!”

I pod wpływem tego gdakania, starszym zaczynają się oczy przymykać, jakby senne; lampa się dopala, samowar stygnie, a sprzymierzeniec niegodziwych zegarów, wielki kogut

czubaty drze się na grzędzie, jak potępieniec i budzi Wojtka, aby konie zaprzęgał i przed ganek zajeżdżał z turkotem.

W bezmyślnej, skrzypiącej maszynie do mierzenia czasu siedzi jakiś chochlik złośliwy, duch przeciwieństwa i psoty, bawi się kosztem młodych dziewcząt i chłopców, psuje mechanizm, zatrzymując kółka, lub do szybkich je przynaglając obrotów, przerywa rozmowę w chwili najciekawszej, właśnie w takim momencie, kiedy już, już, niby mała ptaszyna z gałązki miało się zerwać z ust jedno słówko, jedno tylko, ale jakie!.. I nie... przeszkodził niegodziwiec! Kazał wstać, żegnać się, szukać okrycia dla matki, mówiąc: „dobranoc, panie dobrodzieju!” Bardzo ten „dobrodziej” jest w takiej chwili potrzebny! Nic nie pomoże, trzeba czekać drugiej wizyty, a kiedyż ona będzie?! Pannie Zofii robi się smutno, a ten młody trzpiot, Jadwinia, śmieje się tylko i jak się śmieje! Śmieją się jej oczy, usta, wszystkie dołeczki na twarzy. To jest niegodziwość, żeby rodzoną siostrę tak wyszydzać! Odjechali.. Przytem pani Zawadzka zaprosiła ciotkę Gertrudę i panienki na zbieranie grzybow do lasu i na podwieczorek. Zaczności kobieta, jak ona rozumie, że bez zapasu grzybów na zimę trudno się obejść i że żadne nie mogą być lepsze nad te, które koło Majdanu rosną i które się własnymi zbierze rękami.

Nazajutrz rano Jadwinia zastanawiała się bardzo poważnie nad pytaniem, co to może znaczyć, że Zosi całą noc śniły się grzyby?

ROZDZIAŁ X

w którym mowa o spotkaniu Rokity z Wasążkiem, o bransolecie z brylantem, tudzież o różnych gatunkach grzybów.

Było chłodno, deszcz chlapał, świat wydał się szary i smutny, zboża z pól już sprzątnięto, tylko rżyska szcztokowato na roli sterczały, lub szarzyły się świeże podorywki i czerniły łąciny niewykopanych kartofli: Gdzieniegdzie gromadka bydła się pasła pod dozorem dzieciaka, z głową workiem okrytą.

Gościńcem, na którym od deszczu kałuże się porobiły, jechał wierzchem na małej szkapinie Rokita. Zwiesił głowę i w zadumę zapadł, aż go z niej zbudził tentent kłusującego konia.

Obejrzał się, w jeźdźcu poznał Wasążka.

Szlachcic siedział na szkapie swej z fantazją, kaptur od burki miał na głowie, a przepasany był krajką zieloną.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł.

— Na wieki! — odpowiedział Rokita. —

A dokąd to pan Walenty w taki deszcz?

— Ha! mój bracie, potrzeba na mokrość nie zważa.

— Juści prawda.

— Ja-bo, widzisz, do Kopytkowa, do rejenta; wypis muszę wyjąć, bo mi do sprawy potrzebien.

— Ochota panu Walentemu za tymi sprawami wciąż jeździć.

— A co mam sobie żałować?

— Ja jedną sprawę tylko miałem i życie mi już obrzydło.

— Z kim?

— Z Chasklem.

— Ach, to już była sprawa? i jakże?

— Przegrałem, panie Walenty, każą jakieś koszta płacić, wójt mówił, że mi chałupę opiszą, bydło z obory wyprowadzą... albo ja wiem? Ja nie uczony, nie piśmienny, stałem jako słup, a żyd gębę rozpuścił, aż sędzia dzwonił na niego i krzyczał, żeby nie trajkotał.

— I cóż ty, biedaku, teraz zrobisz?

— Bo ja wiem? Radziłem się ławnika; powiada: nie ma co, bracie, zagódź, daj mu co-niebądź, niech czeka.

— No?

— Chodziłem do żyda: twardy psia kość, jak kamień; powiada, żeby mu pieniędzmi trzydzieści rubli na stół kłaść i owsa, jak jeno omłócę, pięć korcy dać i po okowitę dla niego jeździć... Jeszcze różne dziwne rzeczy przykazywał!

— No, no...

— O owies bajki; mam w stodole, omłócę i oddam, furmanek dziesięć pod okowitę chce, odjeżdżę, ale pieniędzy, co nie mam, to nie mam. Byłem w Czarnymbłocie, przepytywałem między żydy.

— Nie dają?

— Ani weź. Słuchać nawet nie chcą.

— Znam ja ich, mój bracie, jak nie potrzeba, to sami proszą, a jak ci pilno, to i siekierą nie urąbiesz. Oni spekulują i kręcą, a gospodarze na psy schodzą.

— A jużci, że na psy...

— I znowuż jedziesz szczęścia próbować. Michale?

— A tak...

— Myślisz, że dadzą?

— Dać nie dadzą, ale jednemu, właśnie Ber-

kowi, co Chaskla szwagier jest, koń mój się udał.

— Który?

— A właśnie ten, co na nim siedzę.

— Kupić chce?

— Dyc. Kazał go sobie na dzisiejszy dzień przyprowadzić.

— Ciekawość, siła też daje?

— Trzydzieści rubli obiecuje.

— He? trzydzieści?

— A juści.

— Ależ ten koń, chociaż i nieduży, brat bratu, pięćdziesiąt wart!

— I ja tak myślę! Na wiosnę kopytkowskie żydy dawały mi za niego pięćdziesiąt dwa ruble i złotych cztery bez dziesiątki, ale nie miałem chęci sprzedać. Choć gospodarstwo moje biedne, ale parę koni utrzymuję, według furmanek.

— Ma się rozumieć, furmanka dobra rzecz. A jeżeli konia sprzedasz, to ci, braciszku, będzie z jednym nijako...

— Pewnie, ale cóż mam robić? Może się jako wspomogę ku zimie, może jałówkę sprzedam i wieprzaka, to konia kupię, a tymczasem muszę Chasklowi dać, co żąda, bo inaczej mnie zniszczy. Pytałem ludzi wiedzących i piśmiennych, czy można tak człowieka żyłować, jak on mnie żyłuje; powiadają, że można. I dlaczego można? A oni, te wiedzące i piśmienne, śmieją się tylko i powiadają: Czemuś podpisywał? Byłeś głupi — cierp teraz!

— I cierpisz, biedaku! — rzekł ze współczuciem Waszązek.

— A cierpię panie Walenty, cierpię. Ni ja jedzenia, ni ja spania, ni pomyslenia żadnego. Pracuję, aż we mnie gnaty trzeszcza, zabiegam, jak mogę i cóż stąd?... Abym jeno grosz jaki

niał, zaraz oddaj mu—i oddaję, a precz jestem winien i końca temu nie widać. I żebym to choć wziął, żebym do ręki dostał, toby nie żal było. Wiedziałbym, że cierpię, bom winien, że muszę oddać, bom wziął, muszę zapłacić, bo się należy. Ale, panie Walenty, przysięgnę na zbawienie duszy, z czystym sumieniem, że części tych pieniędzy nie dostałem, które mi teraz zapłacić każą, a to, com wziął, oddałem już w dubelt pieniędzmi, zbożem, odrobiłem, odsłużyłem. Nie siła lat, jak on przyszedł do wsi obdarty, a we wsi gospodarze byli zasiedziali, spokojni i niejedyn trochę grosza miał leżącego, a dziś on pieniądze ma, na duże handle się puszcza, a połowa gospodarzy na dziady schodzi. Jedni porozpijali się ze zmartwienia, a inni chodzą, w ziemię patrząc, jakby im kto na łbach wielkie kamienie pokładł. Oj, źle panie Walenty, źle na świecie...

Wasząsek westchnął, a chłop, rozgadawszy się, nie ustawał, rad, że ma się przed kim uzalić.

— Już ja, panie Walenty medytowałem, medytowałem i nic wymedytować nie mogłem i obrotu sobie żadnego dać nie mogę. Raz mi źle jakieś nagadywało, żeby albo postronek, albo w wodę...

— Eh, eh! To nie rzecz, mój Michale, duszę na zgubę wiekuistą dać.

— Nie rzecz... nie rzecz... nie godzi się i grzech, ale kiedy coś gada, a namawia, jak żywe. Raz w polu byłem i tak mnie precz męczyło; jeno figura na miedzy stała, Męka Pańska... krzyż święty... i zbudziło się we mnie sumienie i cisnęło mnie na kolana... i począłem ryczeć z żalości, aż się we mnie coś obrywało we środku i wilem się, jak robak, pod

onym krzyżem i w prochu się tarzałem, zmiłowania proszący... I zelżyło mi jakoś, żem przez kilka dni spokojniejszy chodził i jakoby lepszy we mnie duch wstąpił, spodziewanie jakieś, że może odmiana nastanie.. A było tak dwa dni, może trzy, aż raz spotkałem go wieczorem...

— Chaskła?

— Tak; szedł przez wieś, a pyszny był taki, z góry stapał, z góry patrzył. „Hej — woła — ty Michał, jutro masz raniutko z furmanką do mnie przyjechać”. Ty, Michał! Sługa ja jego, czy co? Taka mnie ogarnęła mankuła, taki jankor, że aż mi się krwawo we ślepiach zrobiło, zacisnąłem jeno pięści, alem ja coś zmilkł, a on poszedł sobie do licha.

— I na drugi dzień byłeś, bracie, z furmanką?

— Byłem, po okowitę mnie posyłał do gorzelni. Ciężar duży, droga krwawa, błoto osiami się garnęło, ale przywiozłem.

— Zapłacił ci chociaż?

— Ale! zapłacił! Powiedział, że jemu się należy, obiecał, że trochę mi ulży i nie będzie się upominał ze dwa tygodnie, abym jeno jeszcze kilka razy do jego gorzelni pojechał. W pańszczyźnie u niego jestem poprostu, tylko nie wiem, siła dni odrabiać, bo coraz to zawoła. A we stodole mojej on, jak we swojej, co sobie każe dać, trzeba dać i jeszcze w swoim worku, na własnych plecach mu zanieść; a uda mu się cielę — oddaj mu cielę, podoba się kokosza — oddaj kokoszę. Miała moja kobieta dwanaście gęsi, to siedm za psie pieniądze kupił, a pięć zabrał za procent. Gruntu nie mam dużo, a muszę dla niego cały zagon pod kartofle dawać, też jako niby za

procent, a i zaorać ten zagon, kartoflami swoimi zasadzić, oborać, wykopać i odwieźć mu do domu, to niby znów za jego grzeczność i czekanie.

— Za jakie czekanie? Toć wziął procent!

— I ja mu tak mówiłem, ale on ma inszą kalkulację. On powiada, że to niby za to czekanie i za tę grzeczność, co od posadzenia kartofli do ukopania...

— Niechże go kolki.

Rokita zwiesił głowę, a po chwili zagadnął Wasażka:

— Panie Walenty...

— Cóż?

— Dyc' od wódki bywa człowiek pijany, a od wody nie?

— Także się Michał pyta! Toć małe dziecko, wie, że prawda.

— Oj, nie panie Walenty, nieprawda, to, nieprawda.

— Cóż znowu?

— Jednego dnia też przez tego Chaskla, żalność mnie zdjęła; huk mi się we łbie zrobił i w gardzieli paliło i język zesechł, jak kółek. Poszedłem do studni, wyciągnąłem wiadro wody i jakim się do niego przypił, tom pił, pił bez pomiarkowania, jak, nieprzymierzając, koń. I w gorącość mnie zaraz wrzuciło, świat się koło mnie kręcił i zataczałem się tak, że ledwie do chałupy trafił. Zaraz na progu baba poznała, że pijany i ożogiem mnie po łbie raz i drugi.

— Oho! ostra kobieta...

— A juści. I nie bronilem się nawet, bom umiarkował, że prawda. Mówię: owszem, wal, Kasiu, jagodo, bom sprawiedliwie pijany. Padłem na posłanie, jak kłoda; kobieta, choć pręd-

ka, ale miłosierna, przykryła mnie kożuchem, i tak przeleżałem dwa dni i dwie noce.

— Od wody?

— Od wody... I potem, jakim już strzeż-
wiał, to jeszcze drugie dwa dni chodziłem, jak
potłuczony, że mi przy robocie wszystko z gar-
ści leciało, a głupiego kloca nie mogłem po-
dźwignąć.

— Osobliwa rzecz.

— Osobliwa, panie Walenty, żeby tak od
wody.

— Może kto co wrzucił do studni szkodzą-
cego?

— A nie, toć i ludzie tę wodę piją i konie
się poi i bydło, a przecież nie szkodziło.

— Prawdziwie, że pierwszy raz słyszę o ta-
kim wypadku.

— Niech-no pan Walenty posłucha o dru-
gim.

— No?

— W Czarnymbłocie to było, na targu. Ze-
szliśmy się we trzech: Piskorz Jan z Ciepłej
Woli i Podsiadło Bartłomiej z Koziolków, też
takie biedaki jak ja, zmarnowane. Piskorz swo-
jemu żydowi zaprzędany, Podsiadło swojemu.
Zeszliśmy się przy kieliszku. Gadu, gadu, je-
den się uzalił, drugi uzalił, bo każdemu gorz-
ko. Podsiadło, sprawiedliwy chłop, ale na szkło
łasy okrutnie, aby flaszkę obaczył, to już jej
nie popuści, aż czyste denko ujrzy.

— Znam ja go, lubi łyknąć.

— Oj, lubi. Jak sobie krzynkę podpił, jak
się rozżalił, tak stawia kwartę za kwartą, po-
wiada: zalać robaka! Zalaliśmy tęgo. Wraca-
my, na Wygodzie — znów. Ja nie chciałem,
ale Podsiadło molestował, Piskorz też, zaczęli
stawiać. Pijemy. Ja też nie mogłem cudzego

pić, a swojego nie dać, wysypałem tedy garść koprowiny, co było jeszcze w kalecie. Pijemy na umor, bo Podsiadło wciąż dogadywał o tym robaku, żeby go utopić, a po prawdzie panu Walentemu powiadam, że w tej gorzałce, cośmy ją we trzech wypili, nietylko robak, ale i spore prosię mogłoby utonąć.

— Spiliście się pewnie, jak nieboskie stworzenia?

— Oni całkiem. Piskorza na swój wóz wziąłem, bo mi po drodze było i odwiozłem do chałupy, a Podsiadło został w karczmie jak nieżywy i dopiero na drugi dzień wieczorem się przebudził...

— Jakże z wami, Michale?

— Nic, panie Walenty. Przyjechałem do domu trzeźwiuteńki, kobieta nawet nie poznała, żem co pił.

— Ha! tęga głowa!

— I to nie. Czasem od dwóch półkwateków mnie z nóg zetnie.

— No, no?

— To musi, panie Walenty, wszystko tak z frasunku. Oj źle na świecie!

— Źle. Ale czy ci się zdaje, że to tylko tobie? Pójdź no między ludzi, posłuchaj. Widzisz, ja na ten przykład, choć piśmienny jestem i kodeksy znam na wylot, a przecież mnie Chaskiel z Joelem tak trapią jako i ciebie.

— I może on pana Walentego też tak samo z chałupy wyrzucić?

— Oj, oj! Tylko ze mną trochę trudniej.

— Trudniej?

— Ja piśmienny; ode mnie on takich papierów nie wycygań, jak od ciebie, bo ja wiem, czym to pachnie. Po drugie, że i do sądu jak przyjdzie, to ja nie stanę, zapomniawszy w gę-

bie języka, ale wiem, co i jak gadać. Niewiele to można wygadać, skoro stoi czarno na białym, ale zawsze już żyd nie jest taki śmiały. On się trochę boi, boć ma różne sprawy na sumieniu, a jak to powiadają, na złodzieju czapka gore. On wie, że Waszązek gębę ma nie od parady i może powiedzieć co szkodzącego. Ale to, mój bracie, niewiele znaczy, odwłoka tylko jakiś czas, a jeżeli żyd zechce dobrze dusić, to i zdusi. Wszyscy my, mój Michale, na takim wózku jedziemy, a jak ty teraz prowadzisz konia na zmarnowanie, tak ja zeszłego miesiąca zmarnowałem krowę. Na procencik to poszło, na procencik.

— I kto to, panie Walenty, takie łajdactwo wymyślił?

— Jakie łajdactwo?

— A on, ów procet.

— Któżby, ma się rozumieć, żydy.

— Droga rozchodziła się. Rokita do Czarnogoblota w prawo miał zwrócić, Waszązek zaś do Kopytkowa wprost.

— No, bywaj zdrów, Michale—rzekł szlachcic.—A nie dopuszczaj sobie bardzo do głowy. Bóg miłosierny. Będzie lepiej, jak złe minie.

— Bądźcie zdrowi, panie Walenty, jedźcie z Bogiem.

W kilka godzin później Rokita wychodził z miasteczka pieszo. Koń został u Chasklowego szwagra, a otrzymane trzydzieści rubli miały być złożone, jako okup, za pewien czas spokoju.

Na tym to czasie duży chłop sobie nadzieje budował. Myślał o tym, że w spokojności zarobi, że trochę zboża omłóci, krowę sprzeda i wspomóże się na kupno drugiego konia.

Tak rozmyślając, szedł ku swej wiosce, przy-

spieszając kroku, aby jeszcze zdążyć przed nocą.

Pod „Zielonym łabędziem” pani Małka przyjmowała gościa. Przyjechał dzierzawca z Zatrąceńca, bohater chwili, o którego majątku już głośno mówiono w całej okolicy.

Piękna gospodyni powitała go nader uprzejmie.

— Aj, taki gość, taki gość! Dawno już pana nie widziałam. Co pan tak długo robił w Warszawie.

— A pani tęskniła?

— Dlaczego ja miałam tęsknić? Może tęskniłam, może nie tęskniłam...

— Chciałbym jednak wiedzieć.

— Oh! pan zawsze chce wiedzieć za dużo, pan zanadto ciekawy jest.

— A pani zbyt skryta.

Małka westchnęła i odrzekła po chwili:

— Proszę pana nie można mówić wszystkiego, co się myśli...

— A gdybym bardzo, ale bardzo prosił?

— Co panu z tego przyjdzie? Czy pan wczoraj powrócił z Warszawy?

— Tak.

— Bardzo się o pana dopytywali.

— O mnie?

— Ach! cała okolica tylko o panu mówi. o pańskim szczęściu, o pańskim majątku. Mówi i zazdrości i jak zazdrości! Na moje sumienie, pan jest teraz pierwszą osobą w naszych stronach, pierwszym kawalerem. Wszyscy ojcowie, którzy mają córki na wydaniu, dopytują się o pana. Co dziwnego, przecież pan teraz bogacz jest...

Młody człowiek uśmiechnął się kwaskowato.

— Zapewne — rzekł.

— Oj, panie, bogactwo, to jest wielkie szczęście, my zaraz o tym pomówimy. Tymczasem pan zapewne jest głodny?

— Rzeczywiście.

— Jest szczupak. Jaki szczupak! Mało kiedy może się trafić taka sztuka. Było co widzieć... śliczny kawałek ryby! Niech pan pozwoli do sali, zaraz będzie podane. Wino mam bardzo rarytne, świeży transport. Trafunkowy interes, kupione przy okazji. Żeby nasz hrabia nie mieszkał za granicą, tylko tu, w swoich dobrach, zabrałby wszystko to wino co do jednej butelki. On się zna; jego ojciec od mojego dziadka zawsze wino kupował.

Tak zachwalając swój towar, rozwodząc się nad świetną tradycją o przodkach, którzy z magnatami handlowali i mieli nadzwyczajne delicje w swych piwnicach, pani Małka krzątała się, znosząc talerze i faszki.

Młody człowiek szybko załatwił się ze śniadaniem i, zapaliwszy papierosa, rzekł:

— Teraz musimy uregulować pewien dawny rachunek.

— Owszem, ale który? Przecie panu wiadomo, że my mamy niejeden rachunek, a nawet, prawdę powiedziawszy, wszystkie nasze rachunki są dość dawne. Ale pan zna naszą delikatność, pan wie, że my nie jesteśmy uprzykrzeni ludzie i czekamy czasu.

— Eh! bo pani zaraz o rachunkach!

— Przecież ja nie zaczęłam, pan sam...

— Tak, lecz na te rachunki, o jakich pani myśli, czas jeszcze. Tymczasem, chcę załatwić inne...

— Inne? Czy oprócz rozmaitych mamy jeszcze i inne?

— Czyżby pani już zapomniale, że popsu-
łem bransoletkę?

— Pamiętam — odrzekła z westchnieniem.—
Pan lubi czasem robić takie żartowanie, co nie
wypada... Wtenczas zrobił mi pan szkodę.

— Ehl głupstwo! Kazałem naprawić i bran-
soleta wygląda teraz, jak nowa. Niech się pa-
ni przekona.

To mówiąc, wydobyl z kieszeni eleganckie
pudełeczko i otworzył je. Na tle ponsowego
atlasu świeciła się nowa, dość gustowna bran-
soletka, ozdobiona kilkoma kamieniami. Małka
jednym rzutem oka oceniła, że bransoletka ta
trzy razy więcej warta od owej, niby uszko-
dzonej.

— Cóż? ładna?

— Bardzo ładna! — szepnęła, nachylając się
nad pudełkiem, a oczy jej błysnęły. — Bardzo
ładna! Pan ma gust. Pański gust, doprawdy!
Ale to nie jest moja dawna bransoletka, to nowa...

— Poznała pani?

— Dlaczego nie miałam poznać? Gdzie pan
podział tamtą?

— Mam przy sobie.

— Bo widzi pan, ta jest bardzo ładna i ele-
gancka, tamta nie tak ładna i nie tak elegan-
cka, ale jest dla mnie dużo warta, to pamiątka
po mojej cioci.

— Więc weź pani obie, będziesz pani miała
dwie pamiątki, po cioci i po mnie.

— Dziękuję, bardzo dziękuję! Ja zawsze
powiadam, że między dużymi panami poszukać
takiego pana, jak pan jest.

— Niech-no pani da rękę; złoto nigdy się
tak dobrze nie wydaje w pudełku, jak na ręce
pięknej kobiety. Pozwól pani, nauczę, jak się

otwiera i zamyka, bo to jest zameczek nowego systemu, francuski.

Pochylili się oboje nad stołem i młody człowiek, wzięwszy rękę pięknej żydówki, ubierał ją w bransoletę.

Dość długo trwała ta czynność, młody człowiek śmiał się i dowcipkował, piękna Małka spuszczała oczy i odpowiadała półsłówkami. Usłyszawszy kroki nadchodzącego Mojsia, cofnęła rękę i rzekła:

— Pan zrobił mi bardzo ładny podarunek, ja panu dziękuję, a oprócz podziękowania, mam jeszcze coś dla pana.

— Co? — zapytał zaciekawiony.

— Ja dużo myślałam o panu i też chcę panu dać śliczny prezent, sam pan przyzna, że coś fajne!

— Naprzykład?

— Ja pana cokolwieczek ożenię.

— Mnie?

— Dlaczego nie? Czy pan nie jest kawaler i jeszcze jaki kawaler? Czysta perła, prawdziwe złoto?... Czy pan nie dostanie żony, bardzo ładnej, edukowanej, bogatej, z posagiem. Owszem, ja panu sama nastęcę i postaram się dopomóc; teraz właśnie najlepszy na to czas. Wszyscy mówią o pańskiej sukcesji, o pańskim majątku; kto tylko ma córki, bardzo się o pana dopytuje... Jabym radziła korzystać póki czas, póki ludzie pańskiego majątku nie porachują naprawdę.

— Nie rozumiem.

— Proszę pana, nikt nie słyszy, możemy mówić otwarcie. Pan nie wie nawet, jaka ja jestem dla pana życzliwa.

— Czy naprawdę?

— Tak bardzo naprawdę, że pan sobie tego

nawet wyobrazić nie może. Właśnie to, że jestem taka życzliwa, to znam pańskie interesy, nie chcę powiedzieć, że tak jak pan, ale dużo lepiej od pana... Do tej pory pan się ledwo trzymał przy dzierżawie...

— No, nie tak ledwie, jak się pani zdaje.

— Co my się mamy bawić w zabawki? Kto zapłacił ostatnią ratę za pana? Jankiel Bas. Kto kazał mu, żeby on zapłacił? Pan tego nie wiesz... Może ja kazałam, może się nawet do tego przyczyniłam. Janklowi pan dużo winien, Glancman ma u pana także sporo, Dawid Śliwka też; o mnie to już nie mam co mówić. A niech pan porachuje różne drobne dłużki, rachunki po sklepach, to się zbierze bardzo ładne parę rubli...

Młody człowiek zamyślił się i po chwili rzekł.

— Umie pani rachować.

— Ileż razy pan mówił, że ja mam ładne oczy...

— I dziś mogę to samo powtórzyć.

— No, a coby to były za ładne oczy, żeby nie dobrze widziały, a wszystko, co człowiek widzi oczami, da się porachować. Niechno pan posłucha, już jest wielki czas, żebyśmy pomówili otwarcie... Pan się nie obrazi?

— Owszem, mów pani.

Usiadła przy stole, bardzo blisko młodego człowieka, pochyliła się ku niemu i mówiła prawie szeptem:

— Ja dobrze wiem: i pan wie i jeszcze jest kilku takich ludzi, co wiedzą, że gdyby nie sukcesja, pan byłby już dziś bankrut... Bardzo grzeczny, elegancki i przyjemny bankrut, ale... bankrut.

— Dziękuję za komplement!

— Nie ma za co. Nasze żydki przestałyby dawać panu pieniądze i zechciałyby odebrać to, co w pierw dali. Pan nie miałby skąd oddać, a coby się dalej zrobiło—nie potrzebuje panu tłumaczyć. Byłoby z panem niedobrze.

— Zapewne; ale ponieważ moje położenie zmieniło się znacznie...

— Przepraszam pana—w czym ono się zmieniło?

— We wszystkim. Przecież ostatecznie sukcesja...

— Przepraszam pana, ona już jest zmierzona, zważona, oszacowana, policzona co do jednego grosza. Pan się dziwi, jakim sposobem? My mamy swoje sposoby... Niech-no pan uważa: to, co pan dostanie, uczyni razem... Zaraz obliczymy, ile to będzie?

Odsunęła serwetę ze stołu i, wzięwszy kawałek kredy, zaczęła liczyć. Oboje przytem pochyliłi się nad stołem, tak że głowy ich prawie stykały się jedna z drugą.

Nagle Mojsie ukazał we drzwiach blade swoje oblicze i zawołał groźnie:

— Małka!

Oburzona do najwyższego stopnia, piękna kupcowa zerwała się i jak fryga wybiegła, obzucając swego małżonka gradem słów, zapewne niezbyt pochlebnych; następnie popchnęła go ku drzwiom i poradziła mu, żeby poszedł sobie na spacer, a jej nie przeszkadzał w ważnych sprawach.

— Przepraszam pana bardzo—rzekła, wróciwszy—przepraszam. Mąż miał do mnie pilny interes; załatwiłam go na poczekaniu. On dobry człowiek, ale trochę nudny. No, niech go tam! Zaczniemy ten rachunek na nowo.

Młody człowiek ze zdumieniem słuchał, jak wyliczała wszystkie jego długi, większe i drobniejsze, co do grosza i zestawiała ich sumę z wartością sukcesji.

— Prawda, że tak jest, jak ja liczę? — zapytała, skończywszy rachunek.

— Myślałem, że trochę więcej...

— Niech mi pan wierzy, że nie; to dobrzy rachmistrze rachowali, mogli się omylić, niech o sto, o dwieście rubli, ale nie o więcej, ja za nich ręczę, jak sama za siebie. Jeżeli pan zechce zapłacić swoje dłużki, to pieniędzy panu nie wystarczy, a każdy będzie się upominał; będą panu robić przykrości; ale myśmy obmyślili dla pana sposób. Aj, ja się przytem napracowałam dużo. Tu była na pana cała komisja, a skończyło się na tym, że postanowiliśmy pana ożenić. To jest jedyna apelacja dla pańskich interesów i jeżeli pan tego nie zrobi, to może być źle... Ale pan posłucha dobrej rady. Pan się ożeni; ja panu każę.

— Dajmy na to, ale z kim?

-- Z bardzo ładną panienką.

— Czy ją znam?

— Dlaczego nie? Sąsiadka, starsza córka pana Boreckiego z Brzozówki. Może nieładna?

— Przystojna...

— Tylko? Na moje oko ona śliczna jest, a jaka delikatna, jaka edukowana i bogata! Panu Boreckiemu nie brakuje pieniędzy.

— Podobno...

— My wiemy; zresztą, niewielka sztuka wiedzieć; jego dochód duży, a wydatki małe, on, zanim grosz wyda, to wprzód dziesięć razy obejrzy. Taki człowiek zawsze ma pieniądze odłożone. On się nie przyznaje do majątku, on narzeka na ciężkie czasy, ale wszyscy ho-

gaci lubią narzekać. Taki zwyczaj ich. Ja jestem dla pana bardzo życzliwa, myśmy wszyscy życzliwi—więc rozgłosiliśmy, że na pana spadł wielki majątek. Ten głos poszedł po całej okolicy i do Brzozówki też trafił. Pan Borecki zląkomi się napewno; tylko niech pan kuje żelazo, póki gorące, niech pan nie bałamuci. Póki o panu mówią, trzeba korzystać z czasu i jechać do Brzozówki.

— Eh! moja pani—odrzekł młody człowiek—odkładać, czy nie odkładać, to, jak ja myślę, jest wszystko jedno.

— Jakto wszystko jedno?

— Sądzę, że choćbym nawet nie miał żadnej sukcesji, to chyba Borecki córkę by mi dał.

— Proszę pana, ja nie wiem. Możeby dał, a może nie; ale prędzej nie.

— A cóż on za magnat? Czym może mi imponować? Taki dzierżawca, jak i ja, nie ma się z czego pysznić, a że mu się trochę lepiej powodzi, to jeszcze nie racja, żeby mną pogardzał. Majątku wprawdzie nie mam, ale osoba moja przecie coś warta.

— Oj, ojl i jak. Osoba warta, na moje oszacowanie...

— Ile?

— Dużo. Panienska, która za pana wyjdzie, może być bardzo kontenta, bardzo szczęśliwa, może się pysznić, że ma takiego ładnego męża, tylko...

— Cóż tylko?

— Tylko jest jedna dyferencja. Panienski mają inaczej w głowie, a ojcowie inaczej. Tacy ludzie, jak pan Borecki, to staromodni ludzie, oni mają swoje fanaberie, nie patrzą na urodę, nie znają się na elegancji, tylko chcą pieniędzy, majątku. W tym punkcie pan Bo-

recki może pokazać grymas, ale skoro puszczony jest głos o pańskim bogactwie, to nie zgrymasi. Ja pana zaasekurowałem od grymasów — ja! Spodziewam się po pańskim delikatnym rozumie, że pan dobrej rady posłucha i że nie będzie pan odkładał.

— Sproбую.

-- Trzeba, na moje sumienie, trzeba. Ja panu w tym dopomagać będę, my wszyscy panu pomożemy.

— W jaki sposób?

— To już nie pański kłopot — my mamy swoje sposoby, a gdy wszystko będzie już dobrze, skoro pan dostanie ładną żonę i ładny posąg — to niech pan pamięta, że to Małka radziła, że z jej ręki dostał pan jedwabne życie, śliczny los; że Małka wcale nie wspominała o porękawicznym, nie wymówiła nawet takiego słowa. Można po osobie zmiarkować, z kim trzeba się godzić naprzód i na piśmie, z kim można na godne słowo, a z kim wcale nie potrzeba się godzić... Z panem nie trzeba, na pański honor można się zdać z zamkniętymi oczami. Ach! nie wszystkie interesa — dodała — robi się za pieniądze i dla pieniędzy... Niech pan wierzy. Może nie wypada tego powiadać, ale każda kobieta ma kawałek serca..

Rozmowa trwała dość długo, przybierając charakter coraz bardziej poufny. Piękna kupcowa wpadła w nastrój melancholijny i nie szczędziła spojrzeń powłóczyстых a tkliwych, dając przytem do zrozumienia, że nie będzie na świecie szczęśliwszej istoty nad tę, która takiego kawalera dostanie; że nie każda kobieta ma dobry los na świecie... Niejedna musi znosić ciężką dolę, chociaż nie skarży się

i nie pokazuje po sobie, że jest jej gorzko, bardzo gorzko żyć.

Tak zwierzając się potrosze ze swoich smutków, manewrując dziwnie oczami, przepłatając ciągle wyrazy westchnieniami, piękna kupcowa potrafiła wmówić w swego gościa, że mu jest nieodzownie potrzebna głowa cukru, funt herbaty, kilka paczek świec stearynowych, pewna ilość cytryn i flaszek araku, pożegnała go bardzo czułym uściśnieniem ręki i głębokim westchnieniem, oraz dopisała kilkanaście rubli na jego rachunku.

Zaraz też po wyjeździe Różańskiego udała się do pewnego żydka, znawcy biżuterii, z prośbą o dokładne oszacowanie bransoletki.

Zatabaczony staruszek włożył okulary, zważył złoto, przypatrzył się uważnie kamieniom i oświadczył, że za ten fant można dać ośmdziesiąt rubli bez obawy o stratę.

* * *

Nie pod dobrą wróżbą rozpoczęły się konkury młodego dzierżawcy. Pierwsza wizyta spełzła na niczym.

Napróżno tęgie kasztany odbyły drogę z Zatraceńca do Brzozówki i spowrotem; Boreckiego w domu nie było, gdyż wyjechał za interesami na dni kilka, panienki zaś z ciotką były u pani Zawadzkiej.

Trzeba było zostawić bilet wizytowy i powrócić do domu.

Skromny domek leśniczego na Majdanie kąpał się w blaskach słońca. Na pogodnym niebie nie było ani jednej chmurki, las mienił się tą zielonością wrześniową, która ma całe setki odcieni, zielonością, przeplataną złotymi, bron-

zowymi, czerwonymi barwami liści, krótkotrwałą swoją istność kończących.

Brzozy, lipy, dęby, jesiony, wszystkie piękne, a każde inaczej, odznaczały się zdaleka na ciemnym tle sosen i świerków. I zapach z lasu szedł żywiczny, orzeźwiający; łagodny wietrzyk przynosił tchnienie z lasu przez okna otwarte do dworku.

Gwarno tam było; coraz rozlegał się srebrzysty śmiech dziewcząt, które do tego ustronia przybiegły, niby ptaszki, rozśpiewane i wesołe.

Dla pani Zawadzkiej była to uroczystość i popis zarazem. Staruszka miała swoją dumę i chciała pokazać ciotce Gertrudzie, że nie tylko na własnym dużym gospodarstwie, ale i w obowiązku, na skromnym stanowisku oficjalisty, jeżeli kto zabiega i stara się, może żyć porządnie i mieć smaczny kawałek chleba.

Wystawiła też na stół, co tylko miała najlepszego w domu; całą kolekcję konfitur, chleb wypieczony, jak na konkurs, ciastka własnego wyrobu.

Nie trzeba było aż takiego arsenału dowodów, żeby ciotkę przekonać; doświadczona gospodyni jednym rzutem oka potrafiła ocenić ład i porządek domowy, lśniąca czystość małych pokoi i względną zasobność domu.

Co do panny Zofii, to gdyby ją zapytano, czy zna miłsze ustronie nad ten domek wśród lasu, odpowiedziałyby z całą stanowczością, że nie zna i nie wyobraża sobie, żeby mogło istnieć na świecie coś, coby się z nim choćby porównać dało. Nie, nie ma nigdzie takiego domku, takiego lasu, takich drzew, takiego słońca wspaniałego, chociaż ono niby całej ziemi jednakowo przyświeca.

Po podwieczorku udano się do lasu na grzyby, była ich taka obfitość, że nietylko panienki, ale nawet ciotka Gertruda, nie mogły się powstrzymać od głośnego wyrażenia podziwu.

Tysiącami tysięcy rozsiadły się pod drzewami, wśród trawy, mchów i paproci; niektóre rosły tuż przy drózkach, jakby w lesie za mało dla nich miejsca było, a jaka rozmaitość!

Wielkie muchomory czerwone i białe nakrapiane, w szerokich, płaskich kapeluszach, to znów w kołpakach spiczastych, żółte gąski, bedłki białe na wątlých nóżkach, duże, lub też drobne jak groszaki, ogromne maśluchy, siłaki; w dołkach, gdzie las rzadszy i ziemia wilgotniejsza, dorodne rydze, dalej znów gołąbki, oraz pod dębami prawdziwe grzyby w ilości wielkiej, tylko schylać się i brać, jak swoje.

Tak ślicznie w lesie. Żółta wilga gwizdże i przekomarza się z towarzyszkami, pstre dzieciociły kują w sosny, jak kowale, w oddaleniu slychać gruchanie turkawek i minorowe głosy grzywaczów. Czasem wiewiórka rzuci się jak kula, z gałęzi na gałąź i biegnie wśród konarów z drzewa na drzewo, jak po ziemi; czasem spłoszona sarenka przemknie wśród drzew i mignie, jak błyskawica, krzykliwa sójka się odezwie, lub ślicznie ustrojona kraska przeleci. Nibyto cicho w lesie, a nie cicho, bo tysiące szmerów, dźwięk zlewa się w jeden chór z szumem drzew, z rozhoworem drżących listków, zapewne szepczących sobie nawzajem słowa pożegnania, gdyż coraz to który oderwie się od gałęzi i drżąc w powietrzu, powoli bez szelestu, niby żółty lub czerwony motyl, opada na ziemię. Ukośne słońce przedziera się między drzewami, smugi światła odznaczają się wyraźnie na tle zieleni, a w tych smugach

świetlanych roi się cały świat drobniutkich muszek.

Pod sklepieniem z konarów drzew olbrzymich, sklepieniem ażurowym, przez które niebo widać, rozlega się śmiech wesoły.

Co grzybów! co grzybów! Ten piękny, ten dorodny, obok jeszcze większy, a tam dalej aż trzy obok siebie, a wszystkie okazałe, zdrowe.

Panienki szczebioczą z panem Stanisławem, starsze panie posuwają się wolniej i znacznie pozostały w tyle.

Nie masz nic przyjemniejszego nad zbieranie grzybów, zwłaszcza, gdy się towarzystwo dobierze; panna Jadwiga więcej jednak zajmowała się grzybami aniżeli towarzystwem i wyprzedziła siostrę tak, że nie mogła nawet słyszeć, o czym ona z panem Stanisławem rozmawia.

A ona rozmawiała z początku o grzybach, potem o kwiatach, potem o lesie, przez chwilę zaś nie mówiła nic, tylko rumieniła się i słuchała, a musiało być opowiadanie bardzo zajmujące, gdyż przestała patrzeć na ziemię i przechodziła obok najpiękniejszych grzybów, nie widząc ich wcale.

Do koszyka przybywało niewiele, prawie nic, ale musiało przybywać do serca, gdyż biło ono niespokojnie i coraz świeże fale krwi różowej wysyłało do twarzy.

Nachylili się współcześnie, aby podnieść grzyb i wtedy on popełnił dziwną omyłkę: zamiast wziąć grzyb i wrzucić do koszyka, wziął jej rączkę i przycisnął do ust.

Grzyb ocalał, a nad nim, niby motyl leciuchny na barwnych skrzydełkach, przeleciało nieśmiało słówko miłości. I motyl ten musnął skrzydłem małe uszko dziewczyny, na ustach koralowych jej usiadł i w moment jeszcze cich-

sze, niż tamto pierwsze, słówko pochwycił i szczęśliwemu chłopcu je oddał, i stanęli ci dwoje pod wspaniałymi konarami dębu, w aueroli blasków, co się od zachodu między gałęzmi przedzierały, stanęli na kobiercu utkany z różnobarwnych mchów, traw, kwiatów leśnych, paproci, w zapachu, bijącym od sosen, w śpiewie drobnych ptasząt, ale nie widzieli wówczas ani dębów, ani sosen, śpiewu ptasząt nie słyszeli, upajających zapachów nie czuli, bo zdawało im się, że jakaś wróżka przeniosła ich nagle na niedostępne wyżyny, że z pod ich stóp usunęła się ziemia i że znaleźli się w nowym, nieznanym, eterycznym świecie szczęścia. Dopiero wesoły szczebiot Jadwini napowrót ich na ziemię sprowadził.

Ładna śmieszka połączyła się z nimi i posuwali się we troje, zbierając grzyby naprawdę.

— Zosiu, Jadwiniu!—rozległ się głos ciotki Gertrudy — wracamy!

Pokazało się, że najwięcej grzybów znalazła Jadwinia, bardzo okazałą ilość starsze panie, a Zosia, chociaż jej pan Stanisław pomagał, miała zaledwie kiikanaście w koszyku.

Oczywiście winien temu był pan Stanisław, bo skoro zna las doskonale, mógł wskazać miejsce, gdzie masami rosną.

Ciotka uśmiechnęła się znacząco do pani Zawadzkiej; widocznie panie te porozumiały się już między sobą i o przyszłości młodej pary postanowiły.

Ciotka w duchu przygotowała się do walki z opozycją ze strony brata i, jak zawsze, o zwycięstwie nie wątpiła. Cóż-bo, żeby jeden mężczyzna mógł stawić opór połączonym siłom dwóch kobiet! Tego jeszcze nigdy nie bywało.

Jak jedno mgnienie oka, zbiegł ten piękny wieczór; przy pożegnaniu pani Zawadzka bardzo serdecznie uściskała Zosię, zaś ciotka Gertruda pocałowała pana Stanisława w czoło.

Widząc to, panna Zofia splonęła rumieńcem, bo doprawdy wszyscy jej dziś na złość robili! Ona tajemnicę swoją na dnie serca ukryła, a tu każdy robi takie miny, jakby się czegoś domyślał i coś wiedział. Najbardziej Jadwinia...

I dlaczego? Przecież naprawdę nikt nie wie i nikt się domyślać nie może.

Szybko, pomimo, że już noc zapadła, toczyła się bryczka po drodze do Brzozówki. Już była blisko mostu, gdy dał się słyszeć tętent galopującego konia.

— Pan Stanisław! — zawołała Zosia, gdy jeździec zrównał się z bryczką.

— Jaki ty masz wzrok doskonały! — rzekła ironicznie panna Jadwinia.

— Dogoniłem panie — odezwał się młody człowiek — aby je ostrzedz, że tu jest mostek zepsuty.

— Co też pan mówi — rzekł Wojciech stangret, dotknięty niejako w swojej godności — mostek nowy, a mocny, że choć z harmatami jechać.

— Zawsze jednak, na wszelki wypadek, odprowadzę panie do wsi, będzie bezpieczniej.

Odprowadził, pożegnał i zyskał na tym jedno krótkie, ale serdeczne uściśnienie rączki.

Zwrócił konia i jak wicher popędził na Majdan, a dziwił się zapewne, jak jeden zwyczajny mierzyn może na swym grzbiecie człowieka i taką niezmierną masę szczęścia udźwignąć...

ROZDZIAŁ XI,

w którym mowa o burzliwej konferencji, oraz jak Wasząek dowiódł Małce, że kobieta bez męża znaczy tyle, co mucha.

Zazwyczaj ciotka Gertruda w ważnych wypadkach wzywała brata na konferencję, ale nie zdarzało się nigdy, żeby brat sam od niej rozmowy na osobności żądał. Stał się jednak wyjątek.

Wieczorem po kolacji, gdy się już do snu miano zabierać, pan Borecki, wbrew zwyczajowi, siedział jeszcze przy stole. Zapytywał o różne szczegóły gospodarskie i zaczynał, jak to mówią, z różnych beczek. Siostra patrzyła na niego uważnie, domyślając się, że zaszło coś, o czym chciałby z nią pomówić, a nie śmie, lub ociąga się.

Aby zadowolnić prędszej swą ciekawość, spojrzała na zegar i rzekła:

— Panie bracie, dziesiąta, czas spać, a i bratu radziłabym zrobić to samo, bo jutro będziesz niewywczasowany.

— Hm! racja, ale widzi pani siostra...

— A widzę, że dziesiąta.

— Miałbym coś do powiedzenia, to jest miałbym do pani siostry prośbę.

— W swoim domu brat jest i może rozkazywać.

— Zapewne, rozkazuję tu ja wszystkim, byle nie siostrze. Otóż tedy pani siostrze...

— Cóż bracie?

— Nie gniewałbym się, żeby w niedzielę był dobry obiad.

— Alboż zeszłej niedzieli był zły?

— Doskonały, ani słowa; ale ja na ten raz chciałbym, ażeby był trochę wystawniejszy.

— Czy będą goście?

— Tak.

— Jeżeli Zawadzka z synem, to dla nich frykasów nie trzeba. Kobieta skromna i oszczędna.

— Że też pani siostra zawsze z tą Zawadzką.

— Może nie prawdę powiedziałam?

— Owszem, ale cóż mi do jej gospodarności?

— Skoro ma być w niedzielę.

— Któż to pani siostrze powiedział? Przeciwnie, chciałbym, żeby nie była tu w niedzielę.

— O z pewnością, jeżeli jej brat nie prosił, to ona nie przyjedzie...

— Ani mi się śniło.

— Więc jakież gość?

— Młody człowiek.

— Młody? Może konkurent do Zosi?

— Kto wie? Może.

— A Zawadzki?

— Ja mu nie przyrzekałem, nie może mieć do mnie pretensji.

Panna Gertruda przygryzła usta.

— Więc ma być wystawny obiad? — zapytała.

— Jeżeli można.

— Może pan brat będzie łaskaw zadysponuje.

— Zdaję się w zupełności na ciebie.

— Dziękuję za zaufanie i dobranoc.

Ciotka Gertruda zwróciła się do drzwi.

— Jakto? — zawołał na nią pan Jacek —

nie ciekawa nawet jesteś wiedzieć, kto ma przyjechać?

— Sądziłam, że to tajemnica.

— Dla ciebie tajemnica, Gertrudo? — rzekł tonem wyrzutu.

— Czyż ja mogę wiedzieć, co brat myśli.

— Niechże pani siostra siada. Otóż ma przyjechać Różański.

— Cóż to za jeden?

— Czyż go nie znasz z widzenia? Sąsiad nasz.

— Więc to dla niego?

— Tak.

— Dla niego? — powtórzyła z oburzeniem. Mówię wyraźnie.

— A, panie bracie, tegom się po tobie nie spodziewała!

— Cóż?

— Żebym ja miała dla niego wystawne obiady gotować, honory mu świadczyć? Ja? Przepraszam uniżenie, ale kwituję z zaszczytu!

— Sostro...

-- Tak, powtarzam, że kwituję. Niech Wojciechowa rządzi, ja odjeżdżam!

— Nie rozumiem, co siostrę tak oburza?

— Zapewne. Może mu brat gotów Zosię oddać?

— Dlaczegożby nie?

-- Oddaj, ojcem jesteś, masz prawo, ale ja na to patrzeć nie mogę, nie chcę i nie będę! Nie na to ci córki wychowałam, żeby je zmarnować, nie na to przywiązałam się do tych dzieci. Nie. Dziś widzę, że... Nie, ja na to patrzeć nie mogę i być tu, u ciebie, nie mogę. Oddalam się, proszę o konie na jutro, a jeżeli mi brat nie da, wynajmę u chłopca.

Dzierżawca za głowę się schwyił.

— Kobieto! — rzekł — upamiętaj się, com ci zawinił? Co chcesz czynić?

— Zawiniłeś brat względem rodzonego dziecka, a co ja chcę czynić, tam już powiedziała. Chcę odjechać, osiąść gdzie w miasteczku i chodzić dzień w dzień do kościoła modlić się, aby Bóg dał bratu upamiętanie.

— Otóż to z babami!

— Z dziadami gorzej, mój bracie. Baba ma serce przynajmniej — czuje, a wy kamienie w piersiach nosicie... Słowa powiedzieć nie można. Tak chcę i tak ma być! Chce wydać najlepsze dziecko za jakiegoś obiboka i ani mu wyperswaduj.

— Przepraszam nie jest on taki obibok, jak się zdaje.

-- A cóż jest?

— Młody człowiek, dość zamożny.

— Odkądże to?

— Od niedawna. Właśnie mi żydzi mówili, że drobne dłużki, jakie miał, popłacił co do grosza i że niezadługo, za kilka miesięcy, ma odebrać znaczną sumę z zapisu.

— Proszę!

— Prócz tego, trzeba pani siostrze wiedzieć, że ma on zamożnego a bezdzietnego wujaszka, po którym napewno kiedyś majątek odziedziczy.

— No, no, ale cóż więcej?

-- Czy jeszcze mało?

— Nietylko mało, ale nic!

— Jednakowoż dowiaduję się, że już kilka razy wyjeżdżał i że szuka majątku do nabycia, a dzierżawę radby komu odstąpić. Człowiek przystojny, podobać się może, dobrze wychowany i nie słyhać, żeby hulał...

Ciotka Gertruda uśmiechała się złośliwie.

— Panie bracie—rzekła—dziwię się.

— Czemu się dziwisz?

— Żeś taki łatwowierny.,.

— Wiem ja z dobrego źródła.

— Od kogóż?

— Od żydów, a oni wszystko wiedzą.

— Ale cóż wiesz? Co? Że popłacił dług? Dlaczegoż ty panie bracie swoich nie popłaciłeś?

— Dla prostej przyczyny, zem ich nie miał.

— A on popłacił, dlatego, że je miał! A czy popłacił, to jeszcze wielkie pytanie. Jedno więc wiemy, na pewno, że umie dług robić; o tym ja już dawniej słyszałam. Cóż wiemy dalej? Że ma odebrać sumę z zapisu. Tymczasem jeszcze jej nie odebrał. Ma kiedyś dostać spadek po wuju, tymczasem wuj żyje, a majątek, jeżeli go ma, może zapisać komu innemu. Chce kupić majątek...

— Czy i temu siostra nie wierzy?

— Owszem, w to jedno wierzę.

— Przynajmniej...

— A wierzę dlatego, bo wiem, że posag panny Zofii Boreckiej wystarczy na kupienie niedużego majątku. Nie będą to magnackie dobra, ale folwarczek. Wierzę tedy, że pan dzierżawca Zatracańca wolałby siedzieć na własnej fortunie i nie opłacać rat dzierżawnych, co mu przychodzi, o ile wiem, z trudnością.

— Zkądże to siostra wiedzieć może?

— Znam kasjera. I jeszcze w jedno wierzę—dodała, patrząc złośliwie na brata.

— W cóż takiego?

— Może będzie wolał umizgać się do Zosi,

aniżeli do tej swojej żydowicy w Czarnym-
błocie.

Pan Jacenty zerwał się z krzesła bardzo
oburzony:

— Co to za dziwactwa wygadujesz, moja
pani siostró?

— Prawdę szczerą!

— Plotki chyba babskie.

— A więc niech będą plotki. Masz rację,
są to plotki, które cały świat na własne oczy
widzi i na własne uszy słyszy. Twój piękny
kawaler po trzy i cztery razy tygodniowo by-
wa w Czarnymbłocie „Pod zielonym Łabę-
dziem”.

— U Małki?

— A tak. Ładna, bardzo przystojna żydów-
weczka...

— Ładna, ale to niczego nie dowodzi. Prze-
cież i ja tam bywam.

— Bywasz, panie bracie, kilka razy do ro-
ku, gdy masz zrobić sprawunek, ale nie prze-
siadujesz godzinami, nie umizgasz się, pienięd-
zy nie tracisz, tak, jak tamten pan.

— Czy to może być? Nie słyszałem, żeby
on to miał czynić.

— Wierzę najzupełniej; ty jesteś człowiek
zapracowany, mało z kim się wdajesz, mało
z kim rozmawiasz, ale ja wiem dobrze, co się
święci. W Czarnymbłocie co tydzień prawie
jestem, a ludzi, tak jak ty nie unikam. Mów-
wiesz, że kobiety lubią plotki; nie zaprzeczam
temu, i ja plotki lubię, bo w nich jest dużo
prawdy, a kto wie, co ludzie mówią, ten nie-
raz wielu przykrości uniknie.

— Hm! dziwne rzeczy mi pani siostra opo-
wiada, bardzo dziwne. Będę sprawdzał, wy-
wiem się, ale swoją drogą, uważasz siostruniu,

ja go na niedzielę zaprosilem. Spotkaliśmy się w miasteczku, tak się jakoś złożyło. Teraz na żaden sposób odpraszać nie wypada.

— A broń Boże!

— Więc?

— Cóż mam robić? Dam obiad, jak sobie życzysz, dobry obiad nawet, jeżeli to konieczne, wystawny, ale proszę cię, bracie...

— Cóż?

— Nie zablisko, nie zaczule, daj mu poznać, że znajomość znajomością, a...

— Już ja będę wiedział, jak go traktować, chociaż jeszcze nie wierzę w to, co o nim mówią. Taki chłopak gładki, taki zdaje się rozsądny.

— Jak chcesz, możesz wierzyć, albo nie; przekonasz się z czasem, że ja mam słusność.

Nic tak szybko nie rozchodzi się, jak plotka dobrze puszczone.

O majątku Różańskiego opowiadano cuda, a im bardziej wieść oddalała się od Czarnego-błota, tym fortuna, jaka na młodego człowieka niby to spadła, wydawała się większą. Na granicy powiatu do stu tysięcy urosła, w sąsiednim już miliona sięgała. Najgorliwszym krzewicielem tej bajki był Mojsie Fisch, we własnej osobie. Kogo tylko widział, kogo spotkał, chłopca, czy żyda, czy jakiego dzierżawcę, wszystkim o nadzwyczajnych bogactwach Różańskiego opowiadał.

Nikt tak nie pragnął, żeby się Różański ożenił, jak Mojsie; nikt mu tak pięknej panny, tak wielkiego posagu nie życzył, jak Mojsie, ten Mojsie, człowiek zaufany i zarazem uczony, który nie powinien był zajmować się takimi głupstwami, jak małżeństwo jakiegoś tam puryca z Zatracańca. Atoli Mojsie wyobrażał

sobie, że z chwilą, w której to małżeństwo się skojarzy, w domu „Pod zielonym Łabędziem” nastąpi zupełny spokój, a piękna Małka przestanie zasiadać przed lustrem i przypatrywać się swoim czarnym oczom, swoim ustom czerwonym i swojemu zgrabnemu nosowi.

— Panie Walenty — mówił Mojsie do Wasząka, nalewając mu piwo — on teraz jest pan, co się zowie pan...

— A twojej Małce radość! — wtrącił złośliwie szlachcic.

— Co ma być jej za radość z tego, że kto ma? Niech ona ma, to się ucieszy...

— No, no, niech no tylko Różański siaki taki grosz obaczy, to i jej się okroi.

— Za co?

— Za ładne oczy.

Mojsie pęczerwieniał na obliczu i ramionami ruszył.

— Co pana Walentego cudze oczy obchodzą? Niech wasan lepiej pilnuje, żeby wasanu, przy jakiej zwadzie w karczmie, kto nie nadeptał na oko.

— Ej, żydzie—krzyknął groźnie Walenty — nie gadaj za dużo.

— Niech no pan zapłaci za piwo.

— Zapłacę, jak wypiję i jeszcze jedną butelkę każę dać. Cóż ty sobie myślisz, że Wasząsek pieniędzy nie ma!

— Ja nic nie myślę; ja chcę dostać za piwo.

Wasząsek garść miedziaków z kieszeni dobył i na stół rzucił.

— Znaj pana po cholewach! — zawołał.

— Dziurawe...

— Gęba twoja dziurawa! Strasznie szardziałeś, mój Mojsie, a możeś główny los na lo-

terii wygrał? No, ale żart żartem, ileż to ta sukcesja czyni?

— Czyja?

— A onego dzierżawcy z Załraceńca.

— Dużo, panie Walenty, bardzo dużo! Ja chciałbym mieć to w majątku.

— Dziesięć tysięcy, dwadzieścia?

— Powiadają że sto.

— Oho! sto tysięcy? Bajki, prześwietny sądzie. Łatwo to wymówić, ale mieć w kieszeni — trudno.

— On ma.

— To ci łajdak szczęśliwy!

— Dlaczego on ma być łajdak? Skoro człowiek ma sto tysięcy w majątku, to wcale nie jest łajdak i nie może być łajdak.

— A to dlaczego?

— Bo jest duży pan...

Waszązek zastanowił się nad tym zdaniem, wypił duszkiem kufel i rzekł:

— Prawda, sto tysięcy, to ma swoje znaczenie.

— Ma swój glanc! — dorzucił Mojsie.

— Że też to zawsze padnie na takiego, co nie potrzebuje.

— Coby pan Walenty zrobił, żeby miał sto tysięcy? — zapytał żyd.

— Co jabym zrobił? Juści wiedziałbym ja co zrobić.

— Ale co?

— Najprzód sprocęsowałbym Kobiałkę do ostatniej nitki, żeby na ostatnie psy zeszedł w jednym roku.

— No, no, to już jest dobry interes, ale na to nie potrzeba stu tysięcy.

— Po drugie, przypozwałbym Zimnowolskich chłopów o pastwiska i wygon, co ongi

do nas należał i także sprocasowałbym ich do nitki, a potem kupiłbym sobie folwark i... albo ja wiem, może dwa folwarki. A wy, Mojsie, cobycie z takimi pieniędzmi zrobili?

— Namysłilibym się, a może wykupiłbym okowitę w całej okolicy, a potem podniósłbym cenę.

Rozmowę tę słyszała Małka, weszła do stacji i rzekła:

— Nie wykupuj zaraz, proszę cię, Mojsie, jutro po okowitę posyłam.

Szlachcic roześmiał się.

— Widzisz, Mojsie, jeszcze stu tysięcy nie masz, a już ci żona nie pozwala robić z nimi, co chcesz.

— Owszem, ja mu pozwalam—rzekła piękna żydówka — teraz pozwalam mu, niech robi co chce.

— A gdyby miał?

— Niech ma, ja mu życzę:

— Ale gdyby miał naprawdę?

— Zobaczylibyśmy. Wiecie, panie Walenty, że mąż nie powinien nic robić bez żony.

— A ja zawsze robię sam interesy.

— Przez to panu Walentemu nie jest dobrze na świecie.

— I źle mi też nie jest.

— Zawsze nie tak dobrze, jakby być mogło, gdyby pan Walenty słuchał żony.

— Akurat! Żona się zna na prawie!

— Pan Walenty zawsze tylko o prawie myśli.

— Bo to jest grunt, moja pani Małko. Na prawie wszystko stoi; powinnabyś pani o tym wiedzieć, bo ten pan z Zatraceńca, skoro sukcesję otrzymuje, to też nie na czym innym, tylko na prawie się z bogaca.

— Jakto na prawie? On dostanie czyste pieniądze, to się z bogaci przez pieniądze.

— Jak to dobrze, że baby światem nie rzązą — rzekł Waszątek — kiedy takiej prostej rzeczy nie rozumieją. Z czegoż ten z Zatracańca pieniądze ma dostać? Z sukcesji, a z czego sukcesja? Juści z prawa! Żeby prawa nie było, toby i sukcesji nie było, każdy drapałby dla siebie, jak mogący i co mogący. Zabijali by się, a tak nie. Chciałbyś zabrać? Dobrze, wykaż się, coś za jeden? Coś był nieboszczykowi: brat, swat, ciotka, wuj, stryj, czy jak? Znam ja dobrze ten interes, bo się na prawie zęby zjadło, a koło sukcesji chodzić potrafię, bo i sam, bywało brałem i za cudzymi starałem się. Po Czuperkowskim Dionizym, co mojej żonie właśnie wypadał niby jako wujaszek, brało się pół staja gruntu. Grunt, prawdę powiedziawszy, łajdak pierwszej próby, sam piasek bieluchny, ale jakieśmy się zaczęli prawować! Osiemnaście lat proces szedł z Czuperkowskimi, z Kobialkami, z Zabrodzkim, wszystkich dziadków wypominali, sąd trzy razy na grunt zjeżdżał i bitwy przytem między familią były tęgie, że jeden Kobialka w szpitalu cztery miesiące odleżał, a przecie pozostał przy mnie i honor i pół staja gruntu. Niby naprawdę, to nie tak przy mnie, jak przy mojej żonie, ale zawsze przy mnie, bo kobieta sama nic nie znaczy.

— Dlaczego kobieta nic nie znaczy? — zapytała z godnością Małka — co pan Waszątek za głupie gadanie powiada?

— He! moja pani, wiem ja dobrze, co mówię; pani tyle flaszek w sklepie nie masz, ile w mojej głowie różnego prawa siedzi! Prawdziwie, że jako w inszym trybunale. To też pani zaraz, na ten przykład, dobrze wytłuma-

czę. Już z latarnią w południe szukając, trudno takiego niedojdy żyda znaleźć, jako właśnie pani Mojsie.

— Daj-no wasan pokój, co to jest niedojda? Za co wasan komu ubliża?

— Dla przykładu się mówi i dla przekonania; juści każdy powie, że Mojsie niemrawe żydzisko jest i chodzi, jak śpiący... w domu nie ma ani głosu, ani znaczenia.

— No, dajcie pokój, bardzo proszę.

— Zaraz skończę. Ten pani kochany Mojsie popychadłem tu jest w sklepie.

Mojsie się oburzył.

— Czy wasan po to przyszedł, żeby mnie robić nieprzyjemności? Ja takich gości nie potrzebuję, niech wasan idzie sobie do Abrama.

— Czeaka! Mówiłem, że Mojsie nic nie znaczy w domu, ale spróbuj no pani pójść bez niego do sądu, albo do rejenta.

— To co? Jak mi się podoba, to pójdę.

— Gadać z panią nikt nie zechce i żebyś pani nie wiem co wyrabiała, to pani czynność nieważna i pani podpis nieważny i ktoby na pani karteczkę dał pieniędzy, toby prędzej swoje ucho zobaczył, niż te pieniądze z powrotem.

— Jakto? Moja karteczka nic nie warta? To nieprawda. Zapytajcie w mieście, na mój podpis każdy da, ile tylko zechce.

— Głupi da niewiedzący, a mądry roześmieje się tylko i powie, że żona bez męża znaczy tyle, co mucha! Czy ten mąż Mojsie, czy nie Mojsie, czy jeszcze marniejszy, aby jeno czapkę na łbie nosił i choć krzynekę do mężczyzny był podobien, to cała waga przy nim i dopiero, jak on podpisze, to i żony podpis znaczy. O, teraz pani rozumie?

— Rozumiem, że wasan, panie Wasążek, musiał dziś trochę za dużo piwa wypić.

— Oj, nie, moja pani Małko; panowie, którzy kodeksy robili, byli trzeźwi i znali się dobrze na wszystkim. Wiedzieli oni, że mąż jest dla żony cała esencja i cała asystencja, bo choćby kobieta nie wiem jak była do spekulacji obrotna, ale gdy przyjdzie do prawowania, to głowa jej nic nie obejmie; na takie rzeczy trzeba męczyzny. Mojsie niech dobrze słucha i niech sobie w kominie zapisze, że ma znaczenie. Przyda się wiedzieć o takiej rzeczy człowiekowi, co, jak to mówią, pod pantoflem siedzi i świata Bożego z pod pantofla nie widzi.

— Ja wasana proszę — rzekła z godnością Małka — niech wasan nie mówi tego, co nie potrzeba.

— A! boisz się pani, żeby się Mojsie nie zbuntował i nie zaczął dęba stawać, a wierząć, żeby się nie znarowill! Mojsie, słyszysz, żona się boi, pokaż-no swoją sztukę!

— Ja się nikogo nie boję, a choćbym się bała, to asanu nic do tego. On siedzi pod pantoflem, wolno mu. Każdy człowiek tam sobie obiera siedzenie, gdzie mu dobrze. Ja lubię siadywać w sklepie, wasan w sądzie. Jeden człowiek woli spać w pościeli, inny w rowie przy drodze. Jak komu do gustu...

Pani Małka opuściła izbę, a Wasążek rozmawiał dalej z Mojsiem, gasił pragnienie piwem bawarskim z arakiem, gdyż to był jego ulubiony trunek.

Mojsie wrócił do przerwanej rozmowy o wielkim majątku, jaki spadł na dzierżawcę Zatracańca.

Cuda o tym żyd opowiadał. Wasążek zaś słuchał uważnie, a klął co chwila z podziwu.

i zazdrości, że zaś sobie trunku nie żałował, więc mu się wymieniane przez Mojsia tysiące w głowie dwoiły, troiły, wzrastały w czwórna-sób, w dziesięcioro, puchły, rosły, piętrzyły się, jak odłamy lodu, parte jedne na drugie przez rozszalałą rzekę, gdy ta przeszkodę na swej drodze napotka i na razie pokonać jej nie może.

I pojechał szlachciura na swej starej szkapie pomiędzy opłotki i zaścianki, do panów braci swoich, aby im te wieści, fantazją bogato ubarwione, zawieźć i opowiadać, a nie tylko Waszątek je roznosił, powtarzali je dzierżawcy, oficjaliści, chłopci, baby wiejskie, kotołkowie tylko był w Czarnymbłocie, tę nowinę najświeższą z sobą wywoził i rozwoził. Najbardziej jednak, najenergiczniej, rozkrzewiali ją żydkowie, opowiadając wszędzie z gestykulacją żywą, z zapalem, przysięgając na szczęście do handlu, życząc wrogom swoim, aby im co prędzej oczy wylazły.

Uszer Engelman mówił obrazowo do Mojsia:

— Jeżeli kiedy zdarzy wam się wyjść na przechadzkę nad staw i zobaczycie kamień, to podnieście go i silnym ramieniem rzućcie w wodę. Kamień do dna pójdzie i zginie bez śladu, a na wodzie zrobi się plusk i koła małe, potym jeszcze większe, coraz większe, ogromne. Jak ta woda kołami się rozchodzi, tak się i plotka rozchodzi, tylko trzeba rzucić kamień silnym ramieniem i ręką mocną, a wiecie, że w takim interesie nasze żydki mają mocne ręce.

— Prawdę powiedzieliście, Uszer; oni to zrobili dobrze. Żeby taki purec z Zatraceńca miał tylko jeden procent od kapitałów, jakie

mu przypisują, to mógłby kupić bardzo wielki majątek.

— To bardzo dobrze dla was jest.

— Dla mnie?

— Tak; im prędzej on się ożeni, tym dla was lepiej. Ja nie chcę was martwić, ale paskudne języki dużo mówią o waszej żonie. Ja wiem, że w tym nie ma prawdy, ale nie dobrze jest wogóle, gdy o czyjej małżonce mówią. Na co to? Choć nieprawda jest, to przykro, a że nieprawda jest taka moneta, która z drugiej strony ma niekiedy prawdę, to jest jeszcze bardziej przykro. Powiem wam więcej, że kobiecie nigdy wierzyć nie można, zwłaszcza, gdy jest młoda i ładna. Moja żona ma już blisko sześćdziesiąt lat, to ja jestem o nią trochę spokojny, wasza nie ma jeszcze tylu, więc nie może wam dać tego spokoju...

— Aj, Uszer, wy nie wiecie, ile ja mam zmartwienia! Czasem trafi się taka noc, że oka zamknąć nie mogę.

— Bardzo wam wierzę. Podług mojego rozumienia rzeczy kobieta wogóle nie jest cymes, a ładna kobieta jest stworzeniem bardzo niebezpiecznym. Koło niej ciągle chodzi diabeł, on jej pokazuje błyskotki, lusterka, gałganki, a myślicie, że on to darmo robi? Wcale nie — szuka swoich zysków, zaś jego zyski, to nasza strata. Nie potrzebuję was uczyć, Mojsie, bo wy to sami dobrze rozumiecie i gdy się ten purec ożeni, gdy przestanie do waszego domu zajeżdżać, to będziecie mogli sobie powiedzieć, że wygraliście wielki los na loterii.

— On się ożeni!

Mojsie wymówił to z wielką pewnością siebie, ze stanowczością i w danej chwili nie był daleki od prawdy.

Borecki poważnie o tym myślał i myślał długo.

Kochał on córkę i sądził, że wydawszy za męża za człowieka młodego, przystojnego, a przytem tak bardzo majątnego, uczyni ją szczęśliwą.

Argumenty siostry nie przekonywały go bynajmniej; znajomość z Zawadzkiem, przywiązanie Zosi do niego, uważał za przelotny kaprys dziewczęcia.

— Przejdzie to—mówił sam do siebie, chodząc wielkimi krokami po stacji — przejdzie i przeminie. Dziewczyna zapomni, a chociaż trochę popłacze, będzie miała czym łyzy ocierać. Pani siostra poetyzuje, romanse opowiada. Serca dziewcząt nie pękają jak gliniane garnki na ogniu. Praktyczny rozum weźmie górę, a dziecinne marzenia rozwieją się, niby dym. Po roku przyzwyczai się Zosia do męża, po dwóch pokocha go. Chłopak młody, ładny, o wiele przystojniejszy od tamtego. Pani siostra mówi: utracysz, hulaka, że ma jakieś drobne grzeszki za sobą. Pani siostra świata nie zna; snąc nie zna ona przysłowia o piwie, co za młodu wyszumieć musi. Wyszumiał się, tym lepiej, teraz nabierze stateczności i będzie grosz szanował. Ja go wezmę w opiekę, a pod moim kierunkiem wyjdzie na gospodarza, co się zowie. Czego bo nie można dokonać, mając młodość, zdrowie, pieniądze i radę praktycznego, doświadczonego człowieka.

Najmocniej przekonany był Borecki, że się młody człowiek wpływowi jego podda i rad słuchać będzie.

Zatraceniec mógłby dalej trzymać, bo majątek to niezły i dzierżawa nie nadto wyśrubowana; możnaby jeszcze i sąsiedni folwark

przybrać, za niewielkie odstępne. A gdyby Różański nie chciał na cudzym pracować, to ostatecznie znalazłoby się coś odpowiedniego do nabycia. Zosia też z próżnymi rękami z domu rodzicielskiego nie wyjdzie; zbierał ojciec dla niej długo, oszczędzał, no i jest posag. Połączywszy jedno z drugim, można ładne gospodarstwo zacząć.

Obmyślał pan Borecki plan przyszłości ze wszystkimi szczegółami, tworzył w myśli, kombinowa, a Różańskiego szczególnie polubił.

Młody człowiek zrećźnie brał się do rzeczy i, poznawszy odrazu słabe strony starego gospodarza, umiał w nie uderzać. Po kilku wizytach ojciec był zupełnie spaktowany i zapraszał młodego człowieka z całą serdecznością.

Ciotka Gertruda zmieniła taktykę, widząc, że brat mocno przy swoim zdaniu stoi i że wprost przekonać się nie da, zaczęła udawać pogodzoną z losem. Dla młodego człowieka była chłodna, ale grzeczna, i przytem starała się usilnie o to, aby podczas jego wizyt Zosia była zatrudniona i aby się jaknajmniej pokazywała w tak zwanym salonie. Siostrzenica bardzo ściśle wykonywała polecenia ciotki, a gdy na wyraźne żądanie ojca zmuszona była przyjść i wziąć udział w towarzystwie, siedziała ze spuszczonej oczami, milcząca i jakby chora.

Po kilku tygodniach bywania, Różański mógł się tylko domyślać, że dziewczyna ta mówić umie, gdyż głosu jej jeszcze nie słyszał. Nie widział też nigdy uśmiechu na jej twarzy, ani nie mógł, choćby w przelocie, spotkać jej wejścia. Podziwiał tylko prześliczne, długie rzęsy, które cień na jej zarumienioną twarzyczkę

rzucali. Kilkakrotnie usiłował zawiązać z panną Zofią rozmowę, ale to mu się nie udawało, gdyż Jadwisia uprzedzała siostrę w odpowiedziach, a ciotka Gertruda znajdowała zawsze jakiś pozór, aby Zosię odwołać:

— Moja Zosieczko, zobacz no, czy się dobrze piecze, czy mleko przynieśli, czy nie trzeba czego ze spiżarni?

I Zosieczka znikwała z pokoju na godzinę, lub dłużej, rozmowę zaś z kawalerem prowadziła ciotka i Jadwisia.

W oczach Różańskiego Zosia mogła się wydawać jakby figurą z kamienia, istotą bez życia, automatem, który, na skinienie ciotki posłuszny, porusza się, wstaje, chodzi, siada, ale milczy, zawsze milczy; lecz ta figura, niby kamienna, była piękna w każdym rysie swoim, wdzięczna i pełna uroku w każdym poruszeniu, zachwycająca w swym smutku, czy też nieśmiałości. Jej milczenie drażniło młodego człowieka, zadawało dotkliwie ciosy jego miłości własnej.

Dlaczegoż ta jedna patrzeć na niego nie chce, kiedy wszystkie w całej okolicy mają dla niego najprzyjaźniejsze uśmiechy, teraz zwłaszcza, dlaczego ta jedna nie obdarzy go ani słówkiem, kiedy wszystkie witają go wesołym szczebiotem i dlaczego ta jedna, ta mianowicie, którą chciałby żoną swoją nazwać?

Postanowił zwyciężyć, bądź przelamać ten opór, zdobyć i uśmiech i spojrzenie i miłe słówko, ożywić gład żyjący, serce w nim zbudzić.

W tej myśli coraz częstsze wizyty w Brzozówce składał i coraz bardziej je przedłużał.

Liczył na to, że przecież kiedyś, chociaż raz, znajdzie chwilę odpowiednią do rozpoczę-

cia rozmowy, że przełamie ten bierny, cichy, a jednak tak zacięty opór.

Raz zdawało mu się, że już, już sposobność taką pochwycił.

Było dość późno, zegar jedenastą wydzwo- nił, Borecki robił rachunki w swoim pokoju, szczebiotliwa Jadwinia wyszła, w saloniku zo- stała tylko Zosia, zajęta ręczną robótką, i ciot- ka Gertruda. Ta siedziała na kanapie i, znu- żona całodziennym dreptaniem, przymknęła po- wieki. Różański był pewien, że drzemie, usiadł więc tuż przy Zosi i przyciszonym głosem mó- wić zaczął, że od czasu, kiedy ją poznał, spo- koju nie ma, że tylko o niej myśli, marzy, że życie za nią oddać gotów...

W Zosi serce zamarło; to bladła, to znów fale różowej krwi napływały jej do twarzy, chciała uciec, a wstać nie mogła, chciała krzyk-nąć na niego, żeby sobie poszedł, żeby ją prze- stał dręczyć, ale głos zamierał jej w gardle.

Czemu ta ciotka śpi!

Stara panna niby drzemała, tak samo, jak ów żóraw wartownik, który zerującej gromady swoich współpracu strzeże. Słyszała wybornie każdy wyraz, wymówiony przez młodego czło- wieka i w chwili, kiedy ten z uniesieniem za- pewniał Zosię o swojej miłości dozgonnej, otworzyła oczy i, niby bardzo zaciekawiona, zapytała:

— Proszę pana, czy Eufrozyna Różańska, która przed trzydziestoma laty wyszła za mąż za niejakiego Majera, jest pańska krewna, czy nie?...

Podobno była krewną jego rzeczywiście, ale zaskoczony zapytaniem w chwili tak stanow- czej, wyparł się, że jak żyje o żadnej Majero- wej nie słyszał, Eufrozyny Różańskiej na swoje

oczy nie widział, że wogóle z dalszą familią stosunków nie ma żadnych.

Zosia w tej chwili zniknęła i nie pokazała się już więcej, zaś młody człowiek, wysłuchawszy długiej historii o Ferdynandzie Majerze, który był z pochodzenia Niemiec, z fachu weterynarz, a ku wielkiemu zmartwieniu rodziny Różańskich ożenił się z Eufrozyną, odjechał zły sam na siebie, — na ciotkę, na cały świat, wreszcie na Małkę, która przy każdej sposobności powtarzała mu, że trzeba spieszyć i spieszyć, że na pośpiechu wszystko zależy.

— Niechże kto pospieszy w takich warunkach, niech dojdzie do ładu z milczącą, jak zaklęta, dziewczyną, z ciotką, która się budzi niewiedomo po co i jakiegoś Ferdynanda Majera i Eufrozyne za ciekawy przedmiot dyskursu bierze.

Kiedy konkurent, tłumiąc w sobie gniew i wściekłość, odjechał, panna Gertruda udała się zaraz do pokoju swych wychowanic, gdzie znalazła Zosię rozżaloną, płaczącą.

— Widzi ciocia... no, niech ciocia sama powie, jaki on niegodziwy! — mówiła, łkając. — Czego się przyczepia, czego chce?

— Uspokójże się, moje dziecko.

— Cocia nie słyszała, co on plótl...

— Owszem, wszystko słyszałam...

— Przecież to niepodobna... bo, chociaż ja cioci nic nie mówiłam, ale ciocia wie... ciocia rozumie, że ja jego oświadczeń słuchać nie mogę, nie chcę, nie wolno mi... Ja cioci wyznam wszystko, jak na spowiedzi. Pan Stanisław mi nie mówił nic...

— Nic?

— Troszeczkę tylko, ciociu moja najdroższa, parę słówek... prawie nic... Na cóż miał

dużo mówić, kiedy wiedział doskonale, że ja go kocham... całym sercem!

— Jakto? Nic nie mówił, nie zapytywał i wiedział? Skąd? Chyba mu sama powiedziałaś?

— Ach! ciociu, cóż znowu? Tak trudno to opowiedzieć. Ja nie wiem, jak ciocię kocham; nie wiem, skąd on wiedział, ale wiedział... On takie oczy ma, ciociu, że tylko spojrzysz na mnie, to zgaduje, co ja myślę... Może cioci się zdaje, że on mi się oświadczył?... Wcale nie, tylko powiedział, że mnie bardzo kocha i ja mu też nic nie mówiłam, tylko... powiedziałam, że go także bardzo kocham... i już więcej ani jednego słóweczka, nic, nic, zupełnie nic, jak ciocię z duszy kocham!... Tylko później, ile razy go widziałam, to patrzył na mnie i pytał: „Czy to prawda i czy aż do śmierci?” Więc ja mówiłam, że prawda i że do samej śmierci. Przecież to nic złego, moja ciociu?... A teraz, teraz... jaka ja jestem nieszczęśliwa, jak bardzo nieszczęśliwa!... Czy tylko ja jedna na świecie, czy mało panien? Po co on tu przyjeżdża? Czego się do mnie przyczepił?

— Nie bój się, moje dziecko, nie damy się!

— Tak się cioci zdaje! Dziś mi plół różne androny, a jutro może napleść ojcu... Na moje nieszczęście, ojciec go lubi. Zawoła mnie, ja się rozplaczę, ojciec krzyknie, tupnie nogą, rozgniewa się i cóż ja zrobię... Nie posłucham ojca?... Ach moja ciociu, ciociu kochana, niech mnie ciocia ratuje!...

Przytuliła głowę do ramienia ciotki i ta stara panna, zawsze szorstka, surowa w obejściu, rozrzewniła się i rozplakała. Ale to wzruszenie zaraz przeszło. Panna Gertruda otarła oczy i odezwała się zwykłym, rozkazującym tonem:

— Idź spać, ciotka cię nie opuści.

Jadwisia, która przez cały czas tej rozmowy cicho siedziała w kąciku, wybiegła na środek pokoju i zawołała:

— Ach! ciociu, żebym ja tak kochała pana Stanisława, jak Zosia go kocha, tobym tego utrapieńca z Zatraceńca miotłą wypędziła z domu!

Panna Gertruda spojrzała ostro na figlarną dziewczeczkę.

— A ty dzieciaku!—krzyknęła—to ty tu jesteś? O kochaniu rozprawiasz? Ruszaj mi zaraz spać! Jeszcze od ziemi dobrze nie odrosło, a już o miłości dyskursa prowadzi. Taki bęben!

— Niech ja sobie będę bęben — rzekła Jadwinia do siostry, po odejściu ciotki—ale energię mam i niech noby kto ze mną chciał wojować!

— Cóżbyś zrobiła?

— Ja? Takbym mu dokuczała, tak z niego szydziła bez miłosierdzia, takąbym się stała dla niego czarownicą, jędzą, wiedźmą, taką sekutnicą z piekła rodem, żeby musiał uciekać za dziesiątą granicę!

Mówiąc to gestykulowała tak żywo, tak się rolą jędzy przejęła, że Zosia, pomimo smutku, musiała się roześmiać.

ROZDZIAŁ XII,

opisujący jak pani Małka zaczęła tracić cierpliwość, po co Błażej Pokrzywa udał się w drogę i jak ciotka Gertruda, na nic się nie zgadzając, zgadzała się na wszystko.

Było to już ku wiosnie. Śnieg stopniał, woda spłynęła, gdzie niegdzie już trawa zielonej nabierała barwy, a nad szarymi zagonami zaczynały dzwonić skowronki.

W Zatraceńcu, we dworku świeżo odnowionym i umeblowanym, uwijał się sprowadzony z miasta tapicer i zakładał firanki. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że domek oczekuje tylko na młodą gospodynię; wszystko było nowe, świeże i nawet dość gustownie urządzone. Wprawdzie, co do tej nowej gosposi, jeszcze stanowcze postanowienie nie zapadło, ale człowiek przewidujący, a Różański chciał za takiego w oczach ojca Zosi uchodzić, nie czeka ostatniej godziny, lecz przysposabia wszystko naprzód, zawczasu. Przysposobił więc, przygotował i miał zamiar zaprosić Boreckiego, aby go odwiedził i ten tak ślicznie urządzonego domek zobaczył. Właśnie miał się udać w tym celu do Brzozówki, gdy przyniesiono mu odrazu siedem wezwań do sądu, z których pięć z powództwa pani Małki.

Gdyby nagle z pogodnego nieba piorun uderzył w ów ślicznie odnowiony i urządzonego domek, gdyby ziemia się w Zatraceńcu zatrzęsła, młody człowiek nie byłby tak zdumiony, jak w chwili otrzymania owych pozwów.

Oczom własnym wierzyć nie chciał, chociaż najmniej dziesięć razy wezwania odczytał.

Że pozywa Dawid Śliwka, nic w tym dziwnego; że pozywa Glancman, rzecz całkiem naturalna; obadwaj ci ichmościowie bowiem lubią robić spekulacje na kosztach sądowych i znani są z pochopności do procesów, ale Małka!

To być nie może, to mistyfikacja jakaś, chyba ktoś występuje w jej imieniu, ale bez jej woli i wiedzy. Kazał zaprządz konie i natychmiast popędził do Czarnegołota.

„Pod zielonym Łabędziem” było cicho i pusto; żydziak w sklepie drzemał za ladą, Mojsie

przebierał korki w izbie szynkownianej, piękna kupcowa drzemała na kanapie w paradnej izbie.

Różański wbiegł, wy dobył owe pozwy z kieszeni i rzucił je na stół.

— Może mi pani zechce powiedzieć, co to jest?—zapytał.

Małka przeciągnęła się bez ceremonii, ziewnęła głośno i odpowiedziała z uśmiechem:

— Tak dawno pan interesa prowadzi i nie zna pan jeszcze wezwania do sądu? Ja się bardzo dziwię. Chyba panu taka praktyka nie pierwsza?

— Ale pani wiesz, od kogo one są?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? Ja wszystko wiem; jeden od Glancmana, jeden od Śliwki a pięć ode mnie samej.

— Od pani?

— Przecież tam stoi napisane.

— Ja tego nie rozumiem, nie pojmuję. Jak to? Więc pani mnie pozywa? pani? A niby taka życzliwa, taka przyjaciółka!

— Co to ma do przyjacielstwa? Czasem rodzeni bracia mają sprawę w sądzie. Czy pan myśli, że ja nie jestem życzliwa. Oj, oj i jak! Pan mnie przecież zna.

— Więc co znaczą pozwy?

— Widzi pan, to jest tak. Ale niech pan siada, owszem, bardzo proszę, jak dawniej, niech pan usiądzie sobie wygodnie. Tym pozwom i sprawom nie ma się pan co dziwić, to jest zwyczajna rzecz. Każdy człowiek ma swoją miarkę czekania, u jednego będzie to bu-teleczka u innego gąsior. Ja dla pana, dla takiego pana, miałam nie chwalać się, całą kufę czekania i cierpliwości, ale żeby największe było naczynie, jeżeli z niego ciągle brać, to się

w końcu przebierze i nic nie zostanie. Właśnie już się przebrało.

— Mogłaby pani poczekać przynajmniej dopóki nie doprowadzę moich zamiarów do skutku.

— Ach, te zamiary. Właśnie ja ciągle o nich myślałam, ja panu mówiłam, że to rzecz pilna, a pan zwłóczy, ciągle pan zwłóczy. Taki interes powinien być skończony w cztery tygodnie, a to się już ciągnie blisko pół roku.

— Pani się zdaje, że to łatwo...

— Żebym ja była takim eleganckim kawalerem, jak pan, tobym już dawno wzięła pannę. Panu nie idzie. Nie spodziewałam się tego. Czy panu śmiałości brakuje, czy pan nie potrafi ładnie przemówić do kobiety? Jabym myślała, że to właśnie jest pański fach...

— Jednak ja dopnę celu, jeżeli mi pani tymi przekłętymi pozwami wszystkich zamiarów nie popsuje.

— Niech się pan nie boi, niech pan nie myśli, że ja chcę pana szykanować, to wszystko pójdzie pocichu. Ja podałam do sądu, to prawda; ale nie po to, żeby pana procesować, tylko, żeby mieć zabezpieczenie. Ja radziłam się wielkich znawców na interesa prawne i oni mi powiedzieli, że rewers, weksel, karteczka, to jest tylko papierek, dopiero prawomocny wyrok — jest papier. Co panu szkodzi, że ja będę miała papier? Co panu ma przeszkadzać, że ten papier w komodzie u mnie leżeć będzie? To się robi dla zabezpieczenia i porządku, a nie dlatego, żeby pan miał przykrość. Proszę mi wierzyć. Pan zna Małkę, pan wie, że ja jestem kobieta z sercem, a dla pana... dla pana, to już sama nie umiem powiedzieć, jaka ja jestem dla pana...

Słowa piękna żydówka poparła bardzo wymownym, powłóczystym wejrzeniem i uśmiechem, ale na młodym człowieku już to nie robiło takiego wrażenia, jak dawniej. Milcząca, nie przystępna Zosia coraz więcej miejsca zajmowała w jego myślach; drażnił go cichy, a taki wytrwały jej opór, zaczął naprawdę marzyć o tym dziewczęciu skromnym, cichym i w zamiarach, jakie żywił, już nietylko posag panny Boreckiej, ale i jej osoba zaczęła rolę odgrywać.

Małka spostrzegła odrazu, że jej oczy, takie doskonałe oczy, już nie działają jak dawniej, że pociski czarnych źrenic są teraz bezsilne.

To odkrycie rozgniewało ją, bo, jak słusznie mawiał Uszer Engelman, ładna kobieta jest najgorszym gatunkiem kobiety i szatan wie dobrze, dlaczego każe jej siadać przed lustrem i przypatrywać się własnym oczom i własnemu nosowi.

Małka nieraz wpatrywała się w zwierciadło, dla wypróbowania siły swoich spojrzeń i uśmiechów, tak samo, jak rzeźnik próbuje ostrza noża, którym ma zarząć krowę. Jeżeli nóż tępy, to oczywiście rzeźnik nie jest kontent, ale służy mu jeszcze apelacja do szlifierza; lecz gdy kobieta widzi, że jej spojrzenia tępieją, staje się rozdrażnioną w najwyższym stopniu, bo na to nie ma już ani apelacji, ani kasacji. Taki interes odrazu posiada swoją prawomocność.

Małce nic a nic nie zależało na tym, czy ją młody dzierzawca lubił, czy nie, ale bardzo była kontenta, gdy chwalił jej urodę, zachwycał się oczami, podziwiał białość ręki. Było to nic, ale nic bardzo przyjemne, przytem targowało się trochę więcej; teraz on nie patrzy na

piękność i nie kupuje tego, co mu nie potrzeba; nie wychwala urody, lecz gniewa się o głupie pięć pozwów.

Jaki on dziwny! Nie może tego zrozumieć, że kapitał wymaga zabezpieczenia, a jeżeli kiedy przyjdzie do sprzedaży kasztanków, nowego powozu, świeżo sprowadzonych mebli, Małka chce mieć prawo do podziału, narówni z innymi wierzycielami. Dlaczego ma tracić, czy z powodu, że jest piękna? Wprost przeciwnie, historia i doświadczenie uczy, że nadzwyczajna uroda bywała często źródłem nadzwyczajnych zysków. Nawet chłopci w bajkach to opowiadają.

On się gniewa, ale i Małka rozgniewać się może, może stracić zupełnie cierpliwość, a wtenczas biada mu! Jednak Małka nie jest złą kobietą, za nim wpadnie w złość, chce spróbować dobrocią. Zatrzymuje młodego człowieka.

— Czemu się pan tak spieszy?—zapytuje—niech pan spocznie; niech się pan posili, mam świeże sardynki z Warszawy. Jaki to towar, sam się pan przekona! Ja się bardzo dziwię. Pan tak wygląda, jak odmieniony. Gdzie się podział tamten pan Różański, mój pan Różański?—dodała z uśmiechem. — Pan zmartwienie ma, pan zły jest, zapewne o te pozwy? Żebym ja była wiedziała, że pan to weźmie do serca, poczekałabym jeszcze.

— Trzeba było poczekać—odrzekł: — a nie wchodzić mi w drogę, teraz właśnie, kiedy jestem bliski...

— Ja tej bliskości nie rozumiem; ciągle o niej słyszę, a jakoś niema nic...

— Będzie.

— Daj Boże, ja życzę; pan nie wie, jaka ja jestem dla pana przychylna i nie od dzisiaj —

dodała z westchnieniem. — Nie raz pan mi mówi, że jestem ładna kobieta; nawet bardzo często od pana takie słowo słyszałam. Czy w ładnej kobiecie może być zła i brzydka natura? Pan nie wie, pan nie miarkuje, ile ja mam dla pana przychylności. Niech pan się nie spieszy, niech-no pan opowie, jak panu idzie w Brzozówce. Ach, dla mnie to smutne jest!

— Dla pani?

— Nie mam co dwa razy powtarzać. Kto się ożeni to się odmieni. Pan będzie tu rzadkim gościem, ja nie będę pana widywała tak często, nie będę tyle targowała, co teraz. Będzie smutno... Ze wszystkich panów, jacy tu u mnie bywają, pan był najprzyjemniejszy pan... jedyny pan. Myślny czasem porozmawiali, czasem pożartowali, teraz biedna Małka nie będzie miała do kogo słowa przemówić...

Uśmiechała się, ukazując równe białe zęby, rzucając spojrzenia wymowne, ale młody człowiek przyjmował to obojętnie; był strapiony i kwaśny.

Gdy odchodził, Małka, dotknięta w swej dumie, rzuciła za nim piorunujące spojrzenie i przekleństwo.

Słusznie mówił swego czasu pewien uczoney, że diabeł, obrawszy sobie za współniczkę swych figłów kobietę, przede wszystkim napętnia ją pychą; to jest jego główny, podstawowy materiał, a reszta, to tylko dodatki.

Właśnie w Małce wzburzyła się pycha i gdyby Mojsie Fisch mógł czytać w myślach swej małżonki, toby drzemiący w nim lew zbudził się i ryknął z radości. Ale uczoney Mojsie tego rodzaju czytania nie umiał. Spostrzegł tylko, że Małka jest bardzo zła i zagniewana, że wytar-

gała za uszy posługującego w sklepie żydzia-
ka, a kucharkę swoją obrzuciła gradem strasz-
nych przekleństw.

Mojsie nie śmiało zapytał o przyczynę gniewu, a usłyszawszy lakoniczną odpowiedź: „Idź do diabła!” — poprzestał na tej informacji i udał się na rynek, gdzie zazwyczaj można się było dowiedzieć o wszystkich nowościach dnia.

W Brzozówce wszystko napozór szło zwykłym trybem. Zosia coraz była smutniejsza, a ciotka Gertruda przestała ją pocieszać. -

O panu Stanisławie nie wspominała wcale, pomimo, że dwa razy jeździła do jego matki na Majdan.

O czym tam radziły i co uradziły, nie mogły się panny dowiedzieć, ale to się jakimś sposobem wykryło, że posyłały po dziada Błażeja.

I to również na jaw wyszło, że Błażej był, że mu pani Zawadzka torbę różnym prowiantem napełniła, że obie z ciotką Gertrudą długo mu coś opowiadały i przykazywały i że zaraz potem dziad poszedł i jak poszedł, tak przepadł, jak kamień w wodę. Parę tygodni upłynęło, a Błażeja ani na lekarstwo.

Borecki coraz siostrę na konferencje zapraszał.

— Moja pani siostró — mówił — trzeba z tym małżeństwem raz skończyć. Myślę, że sama widzisz, iż będzie dobrze?

— Powiedziałam przecież panu bratu, że zgadzam się na wszystko. Ojciec jesteś, więc radbyś dziecko uszczęśliwić. Z początku opowiadałam, ale po namyśle widzę, że niepotrzebnie. Twój rozum i twoje doświadczenie szanuję.

— I to mnie najbardziej cieszy, droga pani siostró — rzekł, całując jej rękę — to mnie najbardziej cieszy, że się zgadzamy w zdaniu. Pani siostra jesteś dla moich dzieci drugą i jak-najlepszą matką, bolałoby mnie więc, gdyby tak ważna zmiana w życiu Zosi miała się stać bez woli pani siostry.

— Już mi też, panie bracie, komplementów nie mów, bom ja na to nie łakoma i nawet nie lubię... Stało się; wydajemy Zosię za mąż i teraz trzeba myśleć o przygotowaniach.

— Sądzę, że można dać Różańskiemu do zrozumienia, żeby się oświadczył.

— A cóż tak pilnego?

— Na co zwłóczyć? On już sobie, jak sły-szę, domek urządził, podobno nawet bardzo ładnie i wszystko z gruntu poodnawiał, meble kupił. Przytem uważam, że się do dziewczyny przywiązał i schnie z oczekiwania i niepewności...

— To rzecz najmniejsza. Ilu znałam młodych ludzi w podobnym położeniu, wszyscy schnęli, ale jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć, ani słyszeć, żeby który naprawdę usechł — i jemu więc nic nie będzie. Nie widzę żadnej racji do pośpiechu.

— Jednak...

— Wiadomo bratu, że Zosia niebardzo temu konkurentowi sprzyja.

— Romanse to, pani siostró, poezja!

— I na to się zgadzam, ma pan brat słuszność, ale po cóż straszyć dziewczynę przed czasem? Niech się oswoi z tą myślą, niech się przyzwyczai. To jednak najmniejsza rzecz. Powiada pan brat, że taka młoda panienska jest dzieciak i nie może mieć zdania — i na to się zgadzam, tak dalece, że nawet ten punkt

w rozmowie pomijam. Ale są inne, ważniejsze względy.

— Naprzykład?

— Pan brat rozumie, bo przez całe życie tej zasady się trzymał, że wszystko trzeba robić rozważnie, po gospodarsku; nie łap, cap, jak na Urwańskiej ulicy. On dom już urządził, a myśmy jeszcze nic nie przygotowali.

— Pieniądze-bo są...

— Bardzo pana brata przepraszam; są i nie są.

— Jakże znowu? Przecież ja chyba wiem, co mam w kieszeni?

— To też ja mówię. Z jednej strony pieniądze są — z naszej strony, a ze strony pana kawalera do tychczas nie ma jeszcze nic...

— Będzie...

— I na to się zgadzam. Ale dotychczas nie ma. Niech-no ureguluje wpierw interesa, niech podniesie spadek, a przynajmniej niech się z nim wykaże czarno na białym; bo, widzi pan brat, ja, choć baba jestem, a może właśnie dlatego, żem baba, wierzę tylko swoim oczom. Co jest na księżycu, czy za górami, to mnie mało obchodzi; co mam mieć, chcę mieć na stole, przeliczone, jak się należy. Zdaje mi się, że dawniej i pan brat takie miał zdanie, to też nie było zdarzenia, żeby cię kto na dudka wystrychnął, przynajmniej za mojej pamięci. Od czasu, jak jestem w Brzozówce i to biedne gospodarstwo domowe prowadzę, nie trafiło się, żeby przy jakimkolwiekby interese kto pana brata oszukał. Nikogo brat nie skrzywdził i nikomu skrzywdzić się nie dał. Spodziewam się, że i przy wydaniu córki tak będzie. Co brat daje, to jest widoczne i jawne; niechże pan młody również widocznie i jawnie wykaże, co posiada.

Ten argument był najskuteczniejszy, ale jeszcze nie ostatni, ciotka albowiem postanowiła wyczerpać odrazu wszystkie racje.

— Nareszcie, panie bracie — rzekła — i ja nie mogę się skompromitować.

— Skompromitować?

— A naturalnie. Powiedziałam zaraz na wstępie, przybywszy, bracie, do ciebie, że ty masz myśleć o posagach dla córek, a ja o wyprawach. Zawsze słowa dotrzymuję, więc i teraz nie skrewię. Zosia dostanie wyprawę, co się zowie, porządną. Zgadzam się na wszystko, co pan brat mówi, ale na zrobienie wyprawy czasu mi trzeba i sądzę, że pan brat zechce moją ambicję uwzględnić.

— To jest jak?

— Dać mi trochę czasu. Nie bagatela to: kupić, uszyć, posprawić. Panna Borecka, chociaż córka dzierżawcy, wywiezie z domu więcej pak i kufrów, niż niejedna dziedziczka. Na to grosz do grosza zbierałam i nie powstydzę się. Zgadzam się we wszystkim ze zdaniem pana brata, ale nawzajem, co do tych kobiecych fatalaszków, muszę mieć swobodę.

Różański bywał codzień prawie i zawsze zastawał Zosię smutną i milczącą, jak kamień, przytem, niby żołnierz na warcie, zawsze była przy niej bądź ciotka, bądź Jadwisia, a najczęściej obie razem i z uprzejmością największą starały się bawić młodego człowieka nieustającą rozmową.

Nie mogąc na żaden sposób porozumieć się z panną ustnie, młody człowiek postanowił załatwić rzecz piśmiennie.

Kosztowało go to wiele pracy. Na najładniejszym papierze, jaki w Czarnymblocie mógł

znaleźć, wysztychował wyznanie swych uczuć i błagał o odpowiedź.

Zosia, nie otwierając koperty, wręczyła list ciotce Gertrudzie.

Stara panna kazała sobie podać okulary, papier, atrament, pióro i ogromnymi literami nakreśliła te słowa:

„Siostrzenica moja jest tak wychowana, że listów nie przyjmuje. Korespondencję nierozpieczętowaną i nieczytaną zwracam i mam nadzieję, że nie nastęczy mi pan więcej okazji do przypominania panu, że postępowanie jego jest niewłaściwe.

Gertruda Borecka”.

Przez trzy dni Różański nie pokazywał się w Brzozówce, czwartego przyjechał, aby starą pannę przeprosić i wrażenie, jakie list na niej zrobił, zatrzeć.

Panny nie pokazały się wcale. Boreckiego w domu nie było, w saloniku oczekiwała sama ciotka.

Różański odrazu przystąpił do rzeczy. Przeprosił, przyznał panie Gertrudzie zupełnie słuszność, ale zarazem tłumaczył się, że inaczej postąpić nie mógł.

— Źle zrobiłem, to prawda, lecz nie żałuję tego. Właśnie ten list fatalny daje mi sposobność do wynurzenia pani dobrodziejce tego, co oddawna wypowiedzieć jej chciałem. Ja pannę Zofię kocham i będę najszczęśliwszy, jeżeli za zezwoleniem ojca i pani dobrodziejki zechce zostać moją żoną...

— Więc pan oświadcza się o rękę Zosi?— zapytała, przybierając minę bardzo poważną i nic dobrego nie wróżącą.

— Tak jest, pani... i błagam...

— Niech pan mnie nie błaga, moje bowiem zdanie niewiele znaczy w tym razie. Zosia ma ojca, ale kiedy pan do mnie zwraca się z zapytaniem, to dam panu chętnie, nie odpowiedź stanowczą, ale pewne wskazówki, mogące się na coś przydać. Nie grajmy w ślepią babkę; częste pańskie odwiedziny dały nam poznać, o co idzie i mówiliśmy z bratem o tym przedmiocie. Brat jest względem pana usposobiony dobrze...

— O! dzięki stokrotnie!

— Za pozwoleniem, dotychczas jeszcze nie ma za co. Brat mój lubi pana nawet i nie miałby nic przeciwko temu, żebyś pan został jego zięciem; lecz Zosia jest jeszcze bardzo młodziutka... pana zna tak mało...

— Postarałbym się, aby ją uczynić szczęśliwą.

— Nie wątpię o tym, lecz nie trzeba działać pośpiesznie. Ja jestem dla pana bardziej życzliwa, niż pan sądzisz i dam panu dobrą radę. Poczekaj pan z pół roku i nie narzucaj się przez ten czas Zosi, nie oświadczaj się formalnie bratu memu. Zosia przez ten czas przyzwyczai się do pana, ośmieli, a brat będzie mógł podnieść kapitał, przeznaczony na posag... Bądź pan dobrej myśli i czekaj cierpliwie...

Różański za dobrą radę podziękował i wyszedł, chwiejąc się na nogach, jak pijany.

— Pół roku!..

ROZDZIAŁ XIII,

opowiadający o kłopotach Wasążka i niedoli Rokity; tu również jest mowa o głębokich sentencjach Uszera Engelmana.

Najtrudniejszym bywa zwykle początek; ale jak się co raz zaczyna, to już idzie. Doświadczył tego Walenty Wasążek, gdyż dopóki odgrażał się tylko na Kobiałkę, nic nie szło, ale odkąd rozpoczął proces i forsownie popierać go zaczął, to ruble nie szły, ale leciały, jak ptaki; jeden drugiego gonił, przeganiał, aż dno w mieszkku stało się czyściutkie jak szkło.

Każda sprawa jest trudna i kłopotliwa, ale graniczna sprawa bodaj że najtrudniejsza, bo to i dowody i registry i wywody od dziada, pradziada, świadkowie, i zejścia na grunt i pomiary.

Nie tylko głupia miedza, ale cały zagon tego ambarasu nie wart, ale że w takim razie nie tyle o grunt, ile o honor idzie, o postawienie na swoim, więc strony obie forsowały, ile tylko która mogła i czym mogła. Nie brakło Wasążkowi ambicji, ale i Kobiałka w kaszy zjeść się nie dał i okrutnie na honor był czuły, więc jak się tacy dwaj niedźwiedzie za bary porwali, to już walka musiała być zawzięta, bo jak jeden, tak i drugi, prędzejby dał sobie rękę uciąć, oko wydlubać, aniżeli do zgody się nakłonić. Skoro zaczęte, to już niech się kończy, co ma kosztować, niech kosztuje i choćby nawet z torbami pójść, byle tylko przeciwnika rozumu nauczyć.

I prócz tej sprawy o miedzę, zaczęły się pomiędzy nimi i inne, nowe zupełnie, wytwa-
Czarnebloto

rzać. Kobiałka, ujrawszy ciele Wasążka na swym gruncie, kamieniem je zabił; Wasążek zaś sześciu gęsiom Kobiałki łby poukręcał — to już dwie nowe sprawy. Wasążkowa z Kobiałczyną przemówiły się przy studni i zdyfamowały się trochę nawzajem—trzecia sprawa. Wasążek Kobiałkę pobił—znów sprawa, i tak ze sprawy w sprawę szło i coraz bardziej się plątało, a wydatki rosły.

Kobiałka trochę zamożniejszy był, więc dłużej wytrzymywał i większy kredyt miał, ale Wasążkowi o grosz coraz było trudniej. Ganiał szkapinę swoją do Czarnegoblota, do innych miasteczek, ale żydzi stwardnieli, jak krzemienie i prędejszy ze skały wodę wycisnął, niż z nich kilka rubli na tak pilną potrzebę.

Z różnych beczek Wasążek próbował, naprzód od samego Chaskla—nie chciał; od Jukla—także nic nie chciał; proponował, żeby pożyczili mu wspólnie, obadwaj razem—nic.

Udał się do miasteczka, pół dnia przesiedział „pod Łabędziem”, zaczepiał Abrama, Mendla, Dawida—ani weź. Zaprzysięgli się oni i zaklęli na żony, na dzieci, na szczęście do handlu, że w całym Czarnymbłocie w danej chwili nie znajdzie się ani jeden rubel, wszystkie utopione są w interesach i wyłowić ich napowrót na razie nie można. Trzeba czekać.

Może za pół roku, może w zimie o gotówkę nie będzie tak trudno, a wtenczas każdy takiej godnej osobie, jak pan Wasążek wygodzi.

Próbował szlachcic szczęścia w innych pobliskich miasteczkach, ale również bez skutku—i z wycieczek takich powracał smutny, przygnębiony, bez zwykłej fantazji i humoru.

Wielkie, nastroszone zazwyczaj wąsiska, opuściły się do dołu, a i wierna starucha, to poczciwe bydło, które rozumiało wszelkie myśli swego pana, stąpała pod nim powoli, ze łbem zwieszonym ku ziemi. Nawet w karczmach, gdzie na rozgrzewkę wstępował, zachowywał się na podziw spokojnie i cicho — anegdotek nie opowiadał, zaczepki z nikim nie szukał, siedział na uboczu i pił, milcząc, a na zapytania albo wcale nie odpowiadał, albo odburknął w taki sposób, że go już więcej nie nagabywano.

Swoją drogą sprawę prowadził, że zaś mu żydzi pieniędzy dać nie chcieli, więc sprzedał krowę jedną, potem drugą... I to nie łatwo mu przyszło, gdyż żona takiego gwałtu narobiła, że aż się cała wieś zbiegła, jak na dziwowisko.

Nawet guzów z tego powodu było kilka, bo za Wasążkową ujęli się jej familianci i duża bitwa się wywiązała, ale jakoś Wasążek na swoim postawił, krowy do żydów poszły, a pieniędzmi można było jakiś czas podtrzymać procesy.

Po stracie dwóch krów Wasążkowa wciąż rozpaczała i w żalu utulić się nie mogła. Daremnie mąż przekładał jej i tłumaczył, że to strata pozorna tylko i chwilowa, gdyż z chwilą wygrania sprawy wszelkie koszta na Kobiątkę spadną i będzie je musiał co do jednego grosza zapłacić.

Wasążek był pewny wygranej, ale kobieta, na takie rzeczy nie znawczyni, sądziła po swemu i zapowiedziała mężowi, że już mu więcej do obory zaglądać nie pozwoli i że trzeciej krowy ruszyć nie da.

— Chyba mnie pierwej na cmentarz wy-

prowadzisz—mówiła—aniżeli weźmiesz to bydłatko. Dość już. Dwie straciłam, takie kochane, od maleńkości wychowane... takie dobrel...

Słuchać Waszązek tych żalów i tego lamentu nie mógł; uciekał więc w pole, gdziekolwiek, byle dalej od domu. Nocował w stodole, i często i głodu przymierał, a na obiad do izby nie szedł, bo kobieta, czy o łyżce, misce, czy o czymkolwiek mówiąc, zawsze do tych nieszczęsnych krów powracała i taki znów lament czyniła, że tylko uszy zatykać i za dziesiątą granicę uciekać.

W dodatku do wszystkiego złego, Jukiel i Chaskiel o należność swą dopominać się zaczęli, z początku spokojnie i grzecznie, a dalej coraz ostrzej i natarczywiej, że zaś Waszązek pieniędzy nie miał, więc się o sąd cała bieda oparła. Napróżno szlachcic prosił i układy różne proponował — nie chcieli ustąpić.

— Wasan myśli—mówił Jukiel—że z wasanem można się układać?

— Ja chcę przecież...

— Kiedy wasan kapcan jest już i układu nie dotrzyma. Wasan prawować się lubi; wasan przeprosował wszystko, nawet krowy. Z czego wasan odda?

— Toć ziemia jest, zboże rodzi, uchowa się co z dobytku, to oddam. Nie chodzę lekko po świecie, ale jestem gospodarz.

— Oj waj... taki gospodarz? Co wasan za gospodarz! Wasan tylko koło sądu i koło karczmy gospodarstwo ma...

— Ej, nie urągaj no ty... bo...

— Ty! Co to jest ty? Wasan grozi, komu wasan grozi?—rzekł Jukiel, cofając się szybko.— Wasan chce robić awanturę! Wielki pan, my-

śli, że go się kto złąkniał,.. To wszystko za naszą dobroć, za naszą przychylność! Bierzecie od nas pieniądze, a płacić chcecie awanturą.

— Niechże-no Jukiel zaczeka — rzekł Waszątek — rozmówimy się po ludzku.

— Co mam z wami rozmawiać, o czym?

— O tym długu.

— Wcałe nie myślę... Na co mi rozmawianie, oddajcie, coście winni...

— Kiedy teraz nie mam.

— Ładna zabawa! Nie ma pieniędzy i chce rozmawiać.. Akurat to jest osoba do rozmowy!

Nie lepszy był i Chaskiel; ten również nalegał i o układach słuchać nie chciał. Podzielał on w zupełności zdanie Jukla, że kto nic nie ma, z tym nie warto mówić. Szkoda czasu.

Posypały się pozwy, wyroki, zajęcia. Waszątek głowę stracił tak dalece, że już nawet do sądu nie zaglądał; puszczał sprawy zaocznie, nie apelował — on, Waszątek, który całe życie na procesach strawił. Przychodzi na człowieka taka chwila, że już mu wszystko jedno... Opuszcza ręce, mówiąc: „Niech się dzieje, co chce, już nic nie poradzę”.

Raz wieczorem wyszedł w pole i włókł się bez żadnego celu, ot tak, aby iść. Głowę zwiesił, wąsiska opuścił, przygarbił się, wyglądał jak dziad, tak dalece, że Rokita, pełną ścieżką powracający do domu, nie poznał go odrazu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — zawołał zdziwiony — toć pan Walenty!

— Nie poznałeś bracie?

— Sprawiedliwie, że nie. Coś pana tęgo zmogło...

— Wielkie są grzechy nasze, Michale, więc

zmożeni jesteśmy i sponiewierani — a mnie zmogło to samo co i ciebie.

— Słyszałem, słyszałem, że i pana Walentego też obrabiają żydy po sądach. Aleć panu pół biedy, pan znający...

Waszą ręką machnął.

— Niech tam — rzekł — choć i znający, ale czym płacić nie mający, jest ginący. Nie dam im rady, a oni mnie zmogą. Myślałem już tak i siak... Spekulowałem, kręciłem głową, próbowałem różnych sposobów — wszystko na nic. Zguba przychodzi na człowieka i na tym skutek.

— I cóż oni wam, panie Walenty, zrobią?

— To samo, co i tobie... sprzedadzą, zniszczą i na cztery wiatry wypędzą.

Chłop drgnął.

— Ja — rzekł — ratuję się jeszcze, jak mogę.

— Do czasu, mój bracie.

— Co mam zboża, oddaję; z przychówku oddaję, zarobię jaki grosz — oddaję, furmanki żąda — jadę, aby choć tylko z chałupy nie ruszał, i jakoś do tej pory nie rusza.

— Do czasu, Michale, do czasu. Taki, mój bracie, to jak wilk... dasz mu jagniątko, chce owcy, daj owcę — krowy mu się chce; krowę dasz — zjadłby konia, a nie masz konia, to i ciebie samego pożre. Znam ja ich doskonale, te wory dziurawe, beczki bezdenne; żebyś nie wiem jak pchał, nie napełnisz i nie napchasz. Mówią w bajce o smoku, co mu codzień barana na pożarcie dawali; taki smok, Michale, lepszy od naszych Jukłów i Chaskłów, bo ich żarłoczność granicy żadnej nie zna. Tak i z tobą, bracie kochany, tak i ze mną, z drugim, dziesiątym i setnym... Wyciśnie z ciebie wszy-

stko, co będzie mógł wycisnąć, a potem pożre cię z kośćcami...

— Oj, mój panie Walenty, żeby on mnie miał z chałupy wyrzucić, to ja sam nie wiem, co bym uczynił?...

— A ja wiem...

— Powiedzcież, panie Walenty, może i mnie to się na co przyda...

— Wątpię, mój Michale. Ja obrót sobie dam, bo edukowany jestem, a ty zaś robotnik tylko—to służby będziesz szukał. I znajdziesz, bo z ciebie oracz wielki i kosiarz wielki; siłę masz i zdatność za trzech. Gdzie bądź przyjmą cię—w każdym dworze.

— Nie...

— A to dlaczego?

— Bo ja nie pójdę do służby...

— To i co zrobisz? Może komornikiem we wsi będziesz na pokomornym, a do roboty na dniówkę. I tak ludzie robią.

— Chyba nie...

— Więc jakże będzie z tobą?

— Nie wiem, nic nie wiem i, Bóg świadkiem, wiedzieć nie chcę.

— O! nie ciekawys?

— Nie, panie Walenty, wolę już posłuchać, co wy ze sobą poczniecie...

— Ja już sobie obmyśliłem. Wojować z żydami nie będę, bo ich nie zmożę. Oddać nie mam z czego, zniszczą mnie. Cała moja fortuna nie obstanie, żeby ich zaspokoić.

— Cała fortuna?

— Jakbyś wiedział!

— To nie może być, panie Walenty, posiadłość macie porządną, gruntu też.

— Pójdźno bratku, do regenta, to się dowiesz, jak owe zagonki na wszystkie boki są

opisane. Żydom się z nich wiele nie dostanie, ale i mnie wykurzą, jak lisa z jamy.

— I cóż poczniecie?

— Ha, mój Michale, choć ty prosty chłop, ale szczery i dobry człowiek, tedy ci powiem. Mógłbym ekonomować gdzie na folwarku, ale nie chcę. Od maleńkości na swoim, to mi kark bardzo zestywniał. Jużbym ja nie mógł u takiego Różańskiego, na przykład, koło drzwi stać i jego fochów znosić, jużem zastary, ale jest jeden Pan wielki, u którego służba honorem mi będzie.

-- I cóż to za pan?

— Pan Bóg nasz miłosierny, Michale. Już ja trzy tygodnie bez roboty żadnej chodzę, jeno medytuję a dumam, dumam a medytuję; oj, i dodumałem się, że wielkie są grzechy moje i wielkie zmarnowanie życia mojego było... Opatrzyłem się, bracie, ale po niewczasie... Nie trzeba było tyle kodeksów w łeb kłaść sobie, i tyle spraw prowadzić i tyle jarmarków odwiedzać i tyle pisania żydom podpisywać. Roześmiejesz się może ze mnie, powiesz: „Aha! obejrzał się kusy, jak mu ogon ucięli!” Prawda, bracie, wszystko prawda i „nierychło, Marychno, po śmierci wędrować” — to też prawda, ale Bóg miłosierny i jużem sobie postanowił Jemu do śmierci służyć i tak w onej służbie żywota dokonać.

— Jakże to? Przy kościele?

— A jużci.

— Za dziada, czy co?

— O! zaraz ci za dziada! I to nie hańba, owszem, aleć ja jeszcze na co lepszego zdąży. Na książce każdej czytam, a choćby łacińska była, też potrafię, jako, że za młodu ciekawy byłem i pokazywali mi; nabożeństwo

rozumiem, a niechwalący się, śpiewam pięknie. Toć słyszysz nieraz w kościele. Pięknie śpiewam, co?

— Juści prawda, jak pan Walenty zaśpiewa, to jakby kto na wielkiej trąbie zatrąbił.

— Chwalić Boga, głos jest, a nie ma takiej pieśni kościelnej, którejby nie umiał. I nie tylko te, które naród śpiewa, ale łacińskie. Ja i „Asperges” i „Veni Creator” i „Salve Regina,” co tylko chcesz, nie chwając się, znam; do mszy posłużę, aparat przysposobię, księdza ubiorę; więc umyśliłem sobie: pójdę w służbę Bożą i zostanę zakrystianem.

— To nasz zakrystian nie będzie?

— Będzie, ale przecież nie jeden kościół na świecie.

— I daleko pan Walenty od nas odejdzie?

— Niebardzo. Za Kopytkowem.

— Może do Biedrzeńca?

— Nie, do Woli... Byłem tam już, mówiłem z proboszczem, obiecał przyjąć od świętego Jana.

— No, no...

— Cóż robić, bracie. Będę żył spokojnie, Pana Boga chwając, za grzechy odpuszczenia prosząc i niech tam... Zrobiłem rachunek sumienia, winowajcą jestem względem siebie samego, względem żony, względem dzieci, względem sąsiadów. Biję się w piersi i powiadam: moja wielka wina! Niech je psi zjedzą te koksy i procesy, dość już tego. I tobie, Michale, życzę po dobroci, ty za mną pójdz... Wszystko jedno, nie utrzymasz się tutaj.

— A cóż ja przy panu Walentym robić będę?

— Będiesz za dziada przy kościele.

— Nie było w moim rodzie dziadów i nie będzie.

— Hardy z ciebie chłop, Michale; parobkiem wolisz być?

— Nie będę, panie Walenty, jakom rzekł, nie będę.

— A czemże zostaniesz?

— Nie wiem, głowy na to nie mam. Chałupy swojej trzymać się będę, póki mogący i dziej się wola Boża. Wyście, panie Walenty, człowiek znający, piśmienny, wy i na książce potraficie, toście sobie obmyślili; ja chłop ciemny, nie potrafię. Jedno tylko wiem doskonale, że ojciec mój w tej chałupie siedział, ojcowy ojciec siedział, to i ja siedzieć powinienem... I... ach! panie Walenty, nie mówmy już o tym, bo jak pomyślę, to mi zaraz we łbie poczyna się kotłować, gorącość na mnie bije, a potem ziąb taki czuję po plecach, jakby mnie na polu, na to mówiący, zgrzanego, zimny wiaterek obleciał — i Bóg wie, co sobie do głowy dopuszczam i w uszach mi bębni, jakby sześciu chłopów młóciło i w ślepiach się robi czerwono, a w gardzieli tak sucho, że słowo się z niej wydobyć nie może... już ja, panie Walenty, myśleć o tym nie chcę, za ciężka rzecz to dla mnie; wolę orać od świtu do zmroku, wolę kosić, wolę najcięższą robotę, bo kiedy grzbiet trzeszczy, to ode łba gorącość odchodzi i takie wichry w uszach nie gwizdzą i takiego łomotania w skroniach nie czuję. Dziw, doprawdy, że pan Walenty inaczej to rozumie.

— Niby... jakże to dziw?

— A że pan Walenty tak całą swoją chudobę na ich pastwę zostawi, bez żadnej obrony.

— Ja?

— Takeście przecież rzekli.

— Rzekłem, bracie, i prawda. Wielkie są grzechy nasze i ja już się prawować nie będę. Panu Bogu przy kościele służyć pójdę, a tu niech się dzieje, co chce.

— No, no... A tak się pan Walenty kodeksami przechwalał, tak zawsze dużo o prawie opowiadał.

— He, nie myśl-no, Michałku, że ja znów taki głupi. Ustąpię i pójdę, bo nie mam forsy na to, żeby się prawować, ale żona moja w chałupie zostanie do czasu i żydy jeszcze długo potańcują. Narobiłem ja im kapusty dość.

— Kapusty?

— A juści. Cóż ty, Michale, myślisz, że ja byłem głupi czekać, aż mi oni grunt i dom opiszą? Sam po dobrej woli sprzedałem, póki był czas.

— Jakże pan Walenty sprzedał, kiedy sam w chałupie siedzi?

— Sprzedałem, bracie kochany, rejentalnie, pół roku temu, zanim jeszcze żydzi procesować mnie zaczęli i nie u naszego rejenta w Kopytkowie, ale u gubernialnego, żeby się zaraz nie rozniosło.

— Któż kupił?

— Byli tacy, co kupili; jeden, mój szwagier, a drugi kum, obaj przyjaciele. Ja już do mego gospodarstwa nie mam nic i jeno kobieta moja dzierżawczynią w nim siedzi. Ja biedak, ja pójdę w świat, ale kobiety mojej niełatwo będzie zmódz, bo ona żadnych podpisów nie dawała, a jako dzierżawczyni, za kontraktem, na swoim prawie siedzi. I bydelka resztę, co mi zostało i kobyłę moją staruchę sprzedałem też, zanim wójt zajęcie dla żydów

zrobii. Co do jednego ogona wyzbyłem się wszystkiego, niech teraz robią, co chcą.

— Jakże, toć bydło u pana Walentego w oborze?

— Czasowo tylko, mój bracie, na przechowaniu. Tylko patrzeć, właściciele prawdziwi przyjdą i zabiorą.

— Takim prawem, Chaskiel, Jukiel i insze żydy nie dostaną.

— Albo ja wiem, nie moja w tym głowa, ale ich...

— Panie Walenty!

— A co, Michale?

— Ani w ząb nie rozumiem, co wy mówicie. Dopieroście rzekli, że jako za wielkie grzechy swoje na służbę Bożą do kościoła idziecie, że zaniechacie już wszystkie sprawy i procesy, że zostawiacie waszą fortunę żydom na pastwę, a teraz znowu o procesach gadacie i że jako żydy wam nie wezmą nic. Sprzecznie to; niby na prawo, niby na lewo, a po prawdzie, ani tak, ani siak.

— Oj, nie rozumiesz ty, Michale, nic nie rozumiesz. Grzechy moje są wielkie, na prawowanie pieniędzy nie mam, fortunę żydom zostawiam, ale nie byłbym ja Walentym Wasążkiem, nie umarłbym spokojnie, w grobie w świętej ziemi jeszczebym się przewracał, żebym onym gałganom kapusty nie narobił. Toć i koń, skoro go wilcy opadną, nie da się zjeść od razu, jeno obróci się do nich tyłem i, jak pocznie wierzgać, to niejednemu zęby popsuje, albo i szczękę przetrąci. Cóż ja mam być gorszego od konia? Tak się dać zjeść bez obrony? Ej, bracie kochany, to nie na mnie. Kopyt ja, co prawda, nie mam, ale głowa, chwalić Boga, jest, i zawczasu piwo warzyć umiem.

Wasążka samego nie zjedzą, a jeżeli już przyjdzie na to, że zjedzą, to sobie zęby poszczerbiją. Rozumiesz teraz, bracie?

— Nie.

— A toć jasne, jak dzień. Moja fortuna szlachecka, kupić każdemu ją wolno; wyroki są; przyjdą żydy do opisu, a skoro przyjdą, to zaraz szwagier mój i kum do nich z aktem, jako jednego jest połowa i drugiego połowa. Kupili, zapłacili, opisali się dokumentnie, a mojego nie ma w tym nic. Biedak jestem i w służbę idę. A chcą się do bydła dobrać i do konia, to też posprzedawane. Żydy uderzą w gwałt, zaczną krzyczeć, poznają, że Wasążek twardy, że trzeba mocnych zębów na niego.

— I nic nie wskórają?

— Niewiadomo, mój bracie, może wskórają, może i nie. Do sądu pójda, szwagra zapozwą, kuma zapozwą, świadków zaczną ściągać, dowodzić, że te wszystkie kupna nieprawdziwe, że to tylko udanie na ich krzywdę. Dopiero się zacznie kápusta! A i to, bracie, trzeba ci wiedzieć, że rejentalny akt, to twarda rzecz, jak mur, niełatwo go obalić. Będą próbowali, a ja się będę śmiał. Popamiętają oni Wasążka!..

Rokita zamyślił się i po chwili spytał:

— Panie Walenty, a dla mnieby pan takiego dobrego sposobu nie znalazł?

— Oj, nie bracie; tyś już dawno opisany; żeby przedtem, to jeszcze, ale teraz już nierychło, już wszystko przepadło.

Chłop głowę zwiesił i poszedł ku domowi. Gnębiło go pytanie, dlaczego Wasążek znalazł sobie sposób, a on nie ma drogi wyjścia i czy naprawdę już nie ma? Wasążek mądry, aleć

chyba na świecie są mędrsi od niego. Trzeba poszukać.

Zaraz, przyszedłszy do domu, zebrał wszystkie papiery sądowe, jakie mu podczas procesu z Chasklem przyniesiono, zebrał, złożył je porządnie, owinał w gałgan i troskliwie ukrył w zanadrzu, potem wziął kawałek chleba na drogę, kij w rękę i na całą noc poszedł do gubernialnego miasta, o dziesięć mil drogi.

Tam ludzie mądrzy są i prawo znający, może oni co na jego niedolę poradzą?

Szedł chłop równym, miarowym krokiem, księżyc mu przyświecał, szedł i rozważał w duchu opowiadanie Wasążka o tym koniu, co gdy go wilki na pastwisku obkoczą, nie da się pożreć dobrowolnie, ale broni się i wierzga.

W tym samym czasie, kiedy Rokita w drogę się puścił, w Czarnymbłocie Mojsie Fisch poszedł odwiedzić swego przyjaciela Engelmana i zaproponować mu wspólną przechadzkę na miasto, trochę dla zdrowia, a trochę dla wymiany myśli.

Filozof czarnobłocki długo prosić się nie dał. Poszli więc. Z początku kroczyli w milczeniu, jak ludzie, którzy wyłącznie tylko ruch mają na celu, potem zaczęli przebąkiwać coś półsłówkami, aż wreszcie, doszedłszy do kamienia, wpadli w porządną i poważną rozmowę.

— Wiecie, Uszer—rzekł Mojsie—mam wam ważną nowinę powiedzieć. Głównie ona dla mnie jest ważna, ponieważ mnie bezpośrednio obchodzi, ale że swego czasu mówiliśmy o tym, więc może i dla was będzie ciekawa.

— Wszystko, o czym się mówi, jest ciekawe—odrzekł sentencjonalnie Uszer—jeżeli nie samo przez się, to pośrednio, to jako punkt przyczepienia, z którego można rozpocząć i wy-

snuć zajmujący dyskurs. Mówcie tedy, co mówić macie, Mojsie, ja was z uwagą słucham.

— Była niedawno pomiędzy nami rozmowa o ładnej kobiecie i o diable. Nie potrzebuję wam powtarzać, gdyż pamiętacie zapewne, że ładna kobieta, to była moja żona, szatan—szatan, a jego wysłaniec i czeladnik — ten młody goj z Zatraceńca! Mówiliście wtedy pięknie o kobietach, jako że do późnego wieku są one współniczkami szatana i że wierzyć im nigdy nie można. Rzekliście wówczas, że nawet o waszą żonę, która już ukończyła sześćdziesiąt lat życia, nie jesteście jeszcze zupełnie spokojni i obliczyliście zgrabnie, jak wielki musi być mój niepokój wobec tego, że Małka ma dwadzieścia kilka lat wieku i że, co prawda, to prawda, częściej zagląda w lustro, aniżeli w garnek. Wywiedliście wtedy bardzo zgrabne wnioski i na nich zbudowaliście argument, że ponieważ w garnku gotuje się krupnik z koszerne go mięsa, a w lustrze siedzi cała trefność diabelska, przeto niewiasta, która patrzy w lustro, nie może być koroną głowy męża swego. Wyraziliście też mądre zdanie, że są wypadki, w których nie można być zanadto podejrzliwym i są mężowie, którzy nie powinni ani na jedną minutę zamykać oczu, lecz mieć zawsze otwarte źrenice. Wszak to są wasze słowa?

— Moje i zachwycony jestem waszą pamięcią.

— Ja wtenczas powiedziałem wam, Uszer, że czasem podejrzliwość chodzi za daleko.

— Jakto?

— Naprzykład, za ścianą coś drapie i nam się zdaje, że tam jest wielki pies, tymczasem pokazuje się często, że to nie był ani wielki

pies, ani mały pies, ani nawet mysz, tylko nasze zdawanie się.

— Bardzo was przepraszam, Mojsie—rzekł Uszer—ale orzech, który mi podajecie ma łupinę za twardą na moje stare zęby, musiałbym długo gryźć; bądźcie przeto łaskawi, rozłupcie ją sami odrazu, a mnie dajcie czyste ziarno, bez łupiny.

— To znaczy?

— Powiedzcie wprost, jaką przynosicie mi nowość?

— Skoro taka wasza wola, odwracam kota ogonem; wyjdzie to na jedno, tylko początkowo chciałem wam przedstawić sens moralny, a potem przyjść do rzeczy. Żądacie inaczej—zgoda, macie rzecz. Podejrzewaliście, że Małka jest dla tego puryca życzliwa, więcej nawet, niż dla interesu handlowego wypada; tymczasem, żebyście wy słyszeli, jak ona go przeklina, jak przeklina! Aż moje serce rośnie, a jak ona go dusi za dług, jak ona go dusi, jakie ona jemu figle robi, to ja się tak cieszę, że o mało nie tańcuję z radości. Ja teraz mogę spokojnie spać, mogę zamykać jedno oko i drugie oko i oba oczy razem.

— Wiecie wy co, Mojsie?—rzekł Uszer.

— No?

— Nie zaszkodzi, jeżeli wy jutro rano, skoro tylko zaświta, pójdziecie do mykwy i tam trzykrotnie, raz po raz, zanurzycie się w zimnej wodzie, wraz z głową.

— Po co?

— Będziecie mieli jaśniejszy sąd o rzeczach.

— Ja was nie rozumiem, Uszer.

— Po maleńku przyjdziemy do porozumienia, ale przede wszystkim odpowiedzcie mi

na pytanie: co wy myślicie o zdrowiu i siłach szatana?

— Co ja mam myśleć o zdrowiu takiego paskudnika? Niech on zdechnie!...

— Stoimy przy pytaniu, Mojsie. Jak wam się zdaje, czy diabeł jest zdrów i czy ma siłę?

— Bez obrazy waszego honoru, ale ja nie jestem diabelski doktor. Zresztą, co mnie do tego? Uszer, ja nawet nie mogę umiarkować, co was to obchodzi?

— A jednak zastanówmy się nad tą kwestią, nie mówię o milionach drobnych diablów, tego tałatajstwa, tej hołoty, która się codzień rodzi ze złych uczynków i która ginie od jednego spojrzenia, od jednego zaklęcia, od kłębu dymu z fajki sprawiedliwego. To są muchy, komary, sam drobiazg. Ale mówmyo prawdziwych szatanach, o tych, co stoją na zdradzie ludziom i prowadzą swój interes hurtowo, na wielką skalę. Stawiamy kwestię: czy oni są zdrowi, czy nie?

— Niech ich diabli porwą!

— To nie odpowiedź, Mojsie.

— To nie pytanie, Uszer. Niech kto spróbuje wziąć takiego lajdaka za puls, niech opuka jego nieczyste boki! Ładnie będzie wyglądał!

— A jednak łatwo znaleźć odpowiedź.

— Bierzmy rzecz gruntownie. Diabeł istnieje od początku świata i będzie istniał do końca świata. Czy wierzycie w to?

— Wierzę.

— Tedy łatwo będzie wam kombinować tak: jeżeli taki paskudnik tyle czasu żyje, do tej pory nie umarł i do końca świata żyć będzie, to jest zdrów. Choroba nie przyczepi się do niego, i on jest zdrów, jak koń.

— Ale na co to wiedzieć?

— Czekajcie. Idźmy dalej. On robi rozmaite szprynce, figle, on biega po świecie, a na to trzeba siły. Siłę on ma, ale każda siła ma swój „in plus” i swój „in minus” — tak, jak licytacja. Siła się wysili, a wtenczas ten, co miał siłę, musi się zrobić osłabiony, dopóki nowa siła jemu nie przybędzie. Bywa czasem, że w studni braknie wody, za dwie lub trzy godziny woda przybędzie, ale tymczasem jej nie ma i próżno człowiek wiadro zapuszcza — nic nie wyciągnie. Sądzę, że nie będziecie zaprzeczali mojemu zdaniu, iż Siła ma taką córeczkę, która się zowie Osłabienie.

— To jest prawda.

— Więc wychodząc z tego punktu, przyznacie, że diabeł, chociaż zawsze jest zdrów, jak byk, i nigdy nie choruje, miewa jednak chwile osłabienia. Przyznajecie?

— Owszem, wasze rozumowanie jest zupełnie dobre, przyznaję; tylko chcecie mi powiedzieć, skąd my, nie doktorzy, a le zwyczajne czarnobłockie żydki, przyszliśmy do tego konsylium nad diabelskim zdrowiem i co nam z tego interesu przyjdzie?

— Powoli, Mojsie, powoli... Pod wpływem wielkiej radości, wasz umysł cokolwiek stępał, tak samo, jak dobrze wyostrzony i zahartowany nóż stępałby, gdyby go w ogień włożono.

— Nic nie rozumiem.

— A przecież to takie proste. Skoro powiedzieliście, że wasza żona tak okropnie przeklina, tak się na tego goja zawzięła, to mnie zaraz przyszło na myśl diabelskie zdrowie i zaraz zrozumiałem, że nasz wróg szatan chwilowo wpadł w stan osłabienia. Wy sobie to dobrze zapamiętajcie, Mojsie, i jeżeli macie trochę ro-

zumienia rzeczy, nie zamykajcie prawego i lewego oka jednocześnie; nie zaszkodzi, jak jedno będzie zawsze trochę otwarte. Nie radzę wam też spać zbyt twardo, ani oddalać się od domu zbyt daleko, gdyż szatan, chwilowo osłabiony, może swoją siłę odzyskać. Mądrej głowie, jak wasza, Mojsie, nie potrzeba dużo gadać, prawda?

— Aj, Uszer, Uszer, wyście mi otworzyli, nie powiem jedno oko, ale dwa! Słusznie powiada przysłowie, że nie każdy śpi, kto chrapie. Wy jesteście bystry człowiek, Uszer, i widzę, że znacie się na kobietach, jeżeli nie lepiej, to równie dobrze, jak ja na próbie wódki.

Długo jeszcze trwała rozmowa na ten temat i późno już było, gdy się dwaj przyjaciele, powróciwszy do miasteczka, rozeszli.

— Dobranoc wam, Uszer!—rzekł Mojsie.

— Dobranoc wam, Mojsie! A pamiętajcie o tym gałganiu, że on jest tylko chwilowo osłabiony.

— Bądźcie spokojni. Niech no on przyjdzie do siły: to ja zaraz przebudzę w sobie lwa—i pokażą swoją sztukę.

ROZDZIAŁ XIV,

opisujący, dlaczego pan Borecki kazał konie wyprządz i po co ciotka Gertruda posyłała Błażeja.

Wiosna, coraz milej uśmiechając się do ziemi, poruszyła całą ludność wiejską. Mało kto w domu siedział, wszyscy dążyli na pola, do ogrodów, do pracy. Nawet osłabiony starzec wywłóczył się przed dom, na powietrze, na

światło, a nie mogąc wraz z innymi jąc się ciężkiej roboty, chociaż kartofle przebierał lub drobne narzędzia naprawiał, nie mogąc się oprzeć wezwaniu. Bo na wiosnę wszystko człowieka woła i wabi.

Zieleniejące drzewa, promień słoneczny, woda w rzece, ptak śpiewający, pierwszy kwiatek, wszystko, wszystko woła na człowieka: wstań i idź.

Wstaje więc człowiek i idzie do pług, do brony, do siewu, na nowy chleb pracuje, bo mu już rychło starego zabraknie. Ruch się na polach robi. Z pastwisk dolatują odgłosy fujarek, a często i od zagonów wiatr na skrzydłach swoich dźwięki prostej, nie wyuczonej pieśni przynosi.

To jest taki czas, w którym się wszystko budzi: od ziemi, co w śnie zimowym spoczywała, do motyla, do najdrobniejszej muszki...

W Brzozówce ruch się także zrobił, jak wszędzie.

Pan Borecki po całych dniach był w polu, ciotka Gertruda przy ogrodach warzywnych, przy oborze, przy najrozmaitszych zatrudnieniach, jakie ta, niecierpliwie przez wszystkich oczekiwana pora roku, przynosi.

Panienki objęły, jak co rok, ogród w posiadanie. Ten do nich należał i panowały w nim niepodzielnie.

Ciotka dawała im kilka dziewczyn do pomocy i zaczynało się kopanie, grabienie, sadzenie, a nieustające narady nad kwestią, jakby ten, ich opiece wyłącznie oddany, zakątek przyozdobić?

Zazwyczaj, co roku, o takiej porze, panienki wydobywały z różnych skrytek nasiona, cebulki, kłącza różnych roślin, bardzo osobliwych,

odznaczających się jakimiś zaletami nadzwyczajnymi, a było przytem nie mało śmiechu i przekomarzania się, gdzie to posadzić, a gdzie tamto, co na tej, co na owej zasiać rabacie?

I w tym roku dziewczęta pracowały w ogrodzie; Jadwinia z zajęciem wielkim, Zosia obojętnie.

Było jej wszystko jedno, gdzie ma być rzęda, gdzie balsaminy lub gwoździki, a na zapytania siostry odpowiadała półgłosem:

— Jak chcesz, jak uważasz, jak ci się podoba.

Niecierpliwiło to Jadwinię.

— Doprawdy, Zosiu — rzekła: — ja cię nie rozumiem. Czemu się tak ciągle martwisz i wzdychasz?

— Niby to nie wiesz...

— Właśnie że wiem i dlatego się dziwię. Ciotka za tobą...

— I cóż z tego, kiedy ojciec nie jest za mną.

— Więc i cóż? Ojczulek zły nie jest, jak go zaczniesz prosić gorąco a serdecznie, nie będzie cię przymuszał. Żebym ja była na twoim miejscu, umiałabym sobie radzić. Ty tylko wzdychasz i płaczesz po kątach.

— Bo jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa...

— A ja ci mówię, że wszystko idzie ku lepszemu.

— Nie widzę ja tego, siostrzyczko.

— Bo masz ciągle oczy zapłakane. Ale ja widzę za ciebie. Tu się coś dzieje!

— To, co i zawsze.

— A ja ci mówię, że nie to, co zawsze; ale coś nowego, coś takiego, co ci wyjdzie na dobre.

— Ale cóż właściwie?

— Ja nie wiem dokładnie, lecz, widzisz, są znaki, które dają dużo do myślenia.

— Szczególna rzecz, że ty zawsze widzisz to, czego inni nie widzą.

— Mylisz się, Zosiu, to, o czym myślę, widziało chyba ze stu ludzi, co mówię stu... więcej!

— W całym folwarku tyłu nie ma.

— Bo też to było nie na folwarku, tylko koło kościoła. Wczoraj, nie wiem dlaczego, nie chciałaś z nami jechać i wymawiałaś się bólem głowy, chociaż nie bolała cię wcale.

— Wolalam się pomodlić w domu, aniżeli narażać się na spotkanie z panem Różańskim.

— Nie był.

— Ale mógł być. Jest prawie co niedziela.

— A niech go tam! Teraz słuchaj. Wczoraj nie mogłam ci opowiedzieć, bo ciągle ktoś był, a wieczór spać mi się chciało, więc dziś zdam ci relację. Po nabożeństwie ojciec rozmawiał z proboszczem. Przyłączyło się jeszcze kilku sąsiadów dzierżawców, kilku panów z zarządu dóbr. Jeden opowiadał widać coś bardzo ciekawego, bo wszyscy słuchali uważnie, a już najbardziej ojczulek. O! marszczył brwi i targał wąsy, jak to zwykle robi, kiedy jest zirytowany. O czym mówili, dokładnie nie wiem, ale ciągle słychać było: Zatraceniec, Różański, żydzi... Jak mi się zdaje, nic dobrego o tym Zatracencie nie mówiono. Ciocia rozmawiała przez ten czas z panią Zawadzką, a ja z twoim panem Stanisławem.

— Z moim?

— Ach, nie przerywaj, kiedy mówię z twoim, to z twoim, to znaczy, że ja ci go nie odbieram. Kiedy się panowie rozeszli, ojciec zbliżył się do nas, bardzo grzecznie przywitał panią Zawadzką, Stasiowi, ach przepraszam, panu Stanisławowi, podał rękę.

— I?

— No i nic. Pojechaliśmy do domu. Ojczulek z ciotką umieścili się w bryczce na siedzeniu, ja jak zwykle, nawprost, nich, na przodzie. Przez całą drogę i ojciec i ciotka nie wymówili ani jednego słowa; ojczulek wciąż brwi marszczył i wąsy przygryzał. Widzisz więc, jakie są znaki.

— Jak cię kocham, Jadwiniu moja, nic nie widzę.

— Al jeszcze ci mało? Słuchaj więc dalej. Po obiedzie ty wyszłaś, ja pomagałam Kasi sprzątać i słyszałam najwyraźniej, jak ojczulek mówił do ciotki: „Pani siostró, jest zmartwienie i duże. Pełne uszy mi nakładli”. Te słowa słyszałam i powtarzam najdokładniej.

— Cóż ciotka?

— Wzruszyła ramionami i rzekła: „Może to plotki, chociaż w każdej plotce znajduje się zawsze jakaś część prawdy”. Tyle tylko — więcej nic już nie rozmawiali. Ale po obiedzie była długa narada. Ojciec bardzo się irytował; rozkładał rękami, targał wąsy. Ciotka zaś była w doskonałym humorze, ciągle się śmiała, wreszcie ojciec trzasnął mocno drzwiami i wyszedł. O czym rozmawiali, nie mam pojęcia, bom z trzeciego pokoju przez drzwi otwarte słyszeć nie mogła, ale ruchy wszystkie widziałam doskonale i powiadam ci, Zosiu, są znaki, o! są!

— Ach! moja droga, żeby to można jakim sposobem dowiedzieć się od cioci...

— Myślisz, że nie próbowałam?

— I cóż?

— Na nic. Ciotka oświadczyła mi wręcz, że to do mnie nie należy i że nie powinnam się wtrącać w nieswoje rzeczy. Mój Boże! jakby twój los, twoje szczęście, były dla mnie nie

swoje rzeczy! Usłyszałam też przy tej okazji, że jestem dzieciak, bęben i że najwłaściwszym dla mnie zatrudnieniem jest szycie i cerowanie. Czy ja jeszcze mało szyję? O, patrz, cały palec mam podrapany i pokłuty. Swoją drogą, nasza ciotka, nawet wówczas, gdy się gniewa, nie jest zła, gdyż powiedziała, że w swoim czasie dowiemy się o wszystkim. Nie ma więc co, Zosiu, zdobądźmy się na cierpliwość i czekajmy. Jak myślisz, czy tu będzie właściwe miejsce dla gwoździaków?

— Co mnie teraz gwoździaki obchodzą? Czy tu będą, czy gdzieindziej, to mi zupełnie wszystko jedno.

— A przepraszam, moja siostró, tak nie idzie. Według mnie, nie masz już powodu do zmartwienia; z tym Zatracańcem coś niedobrego się zrobiło. Ja to czuję, ja wierzę w znaki.

— O jakich ty znakach ciągle mówisz, moja kochana?

— Widzisz, Zosiu, mam takie przekonanie. Naprzód zwykle śnieg ginie i lód topnieje, rola zaczyna się czernieć, przylatują skowronki, za skowronkami niedługo zjawiają się bociany, potem jaskółki i różne ptaszki, trawa się zieleni, na wierzbinię ukazują się kotki, na agrestach małe listki, można już zbierać fiołki...

— I cóż stąd?

— Co? To są, kochanie, znaki, po których łatwo poznać, że idzie wiosna, że będzie coraz milej, coraz piękniej na świecie. Otóż te znaki, o których ci mówiłam poprzednio, zdają się być zapowiedzią twojej wiosny. Ja mam takie przeczucie, Zosiu — i doprawdy, co nam po wielkim państwie, po cudzych sukcesjach i majątkach, dość dla nas tego, co mamy.

Zbliżyła się do siostry, objęła ją, ucałowała

serdecznie, a potem obie pochyliły się nad rabatką, i z różnych torebek, woreczków, paczek, wydobywały nasiona, aby je w ziemię rzucać.

W tym samym czasie Borecki, powróciwszy z pola, kazał zaprządz konie do bryczki. Usłyszawszy to, panna Gertruda porzuciła robotę i pobiegła do brata.

— Podobno pan brat wyjeżdża? — zapytała.

— Tak, pani siostrze, wyjeżdżam do...

— O, nie pytam dokąd? Idzie mi tylko o to, kiedy wrócisz, czy mamy czekać z obiadem?

— Zaczekajcie... albo nie, nie trzeba. Zresztą, jak chcecie.

— Nie jak my chcemy, ale jak brat sobie życzy. Cóżby to był za dom, w którym nie stosowanoby się do woli gospodarza?

— Kiedy w samej rzeczy, pani siostrze, ja nie wiem, może wrocę prędko, może zabawię dłużej; jak wypadnie. Droga niedaleka, lecz...

— Panie bracie, nie jesteś szczery ze mną, to źle.

— Ależ...

— Źle, źle! Masz, oprócz dzieci, jedyną istotę życzliwą na świecie i nie powinienbyś ukrywać przed nią...

— Kiedyż-bo ja nie mam nic do ukrywania...

— A przepraszam, chociaż ja jestem kobieta, ale swoimi babskimi oczami widzę więcej, niż się bratu zdaje.

— I cóż siostra widzisz?

— Wybierasz się do Różańskiego...

Borecki szarpnął siwe wąsy i zaczął chodzić po pokoju.

Pani Gertruda patrzyła na niego przez chwilę, wreszcie rzekła:

— Dlaczego pan brat nie zaprzecza?

— No tak, nie zaprzeczam, jadę, alboż mi nie wolno?

— Zapewne, że wolno. Ale czy wolno głupstwa robić, to znowuż inne pytanie...

Borecki zaczął tracić cierpliwość.

— Pani siostra impertynencje mi mówi.

— Bo jestem siostra! Mnie też przykro, ale sumienie mi nakazuje ostrzedz.

— Przed czym? Co mi zagraża?

— Sam sobie zagrażasz. Potrzeba to w nie-swoje rzeczy się wdawać?

— Ale...

— Nie, panie bracie, Bogu dzięki, ślepa nie jestem. Widzę, co się święci, a z kilku słów twoich odgadłam zamiary. Jedziesz do Zatracańca, chcesz Różańskiego ratować, niepytany i nieproszony.

— No, więc cóż? Tak, chcę go ratować, bo chwilowo on tego ratunku potrzebuje.

— Chwilowo?

— Oczywiście. Sukcesję odbierze i to, co mu dziś dam, wróci.

— Proszę!

— Dlaczego nie mam dopomódz? Chłopak dobry i sąsiad. Potrzeba jest chwilowa, a mogą go zniszczyć. Powiada siostra, że pomagam nieproszony. Prawda, nie żądał tego, aleć sam widzę, w jakich jest opałach. Pani siostra, chociaż tak się rzucasz i srożysz, zrobiłabyś to samo, co ja.

— A broń Boże!

— Nie wystawiaj się gorszą, niż jesteś. Mając wszelką pewność oddania...

— Aha! hipoteka, prawda? Pierwszy numer na księżycu.

— Bardzo przepraszam, są kapitały i majątek.

— Widział pan brat, liczył pan brat, co?

— Nie liczyłem, ale to rzecz wiadoma; wszyscy o tym mówią.

— Także dowód! O tobie panie bracie, wszyscy mówią, żeś bogacz, a jesteś tylko za-
możny. Nie spodziewałam się po bracie, żeby
tak bez namysłu lecieć, jak ćma w ogień. Jak
mi Bóg miły, nie uchodzi. Skoro się już jest
w latach, trzeba być uważnym i rozważnym,
dotrzeć do źródła, przekonać, się sprawdzić.
Są ludzie, którzy się takiej zasady trzymają.

— Cóż to za ludzie!

— Choćby, nie chwając się, ja! Babą je-
stem, a biorę się do rzeczy inaczej, niż ty,
mężczyzna. To też brat się ludzisz, a ja wiem
dokumentnie...

— Co pani siostra wie, co pani siostra wie-
dzieć może?

— A, panie bracie, przepraszam co robi-
łam, to dla twego dobra i twych dzieci. Pan
brat byłeś zaślepiony, więc ja musiałam mieć
oczy otwarte za nas oboje.

— Ale nareszcie niech usłyszę, co właści-
wie pani siostra wie, jakie odkrycie zrobiła?

— Takie, że twój protegowany kawaler jest
bankrut, że sukcesja, jaką ma otrzymać...

— Więc jednak jest sukcesja?

— Jest, ale tak mała, że na opłacenie po-
łowy jego długów nie wystarczy... Chciał pa-
nicz skorzystać z rozgłosu, jaki zrobiono, za-
wrócić głowę panu Boreckiemu i wziąć jego
starszą córeczkę z posagiem. Wcale nie głu-
pia myśl i byłaby się niezawodnie udała, wbrew
woli Zosi, ale na szczęście, panna Borecka ma
ciotkę, która zginać jej nie da. Panie bracie,
to, co ci mówię, jest szczerą prawdą, rzetelna.
Panie bracie, zastanów się! Dziecka nie gub,

a pieniędzy w błoto nie rzucaj, bo za ciężko pracowałeś i nikt ci ich w podarunku nie dał...

Chwilowo nastąpiła cisza. Borecki był przekonany, że siostra ma słuszość, ale nie chciał się przyznać do tego. Wstyd mu było, że kobieta okazała więcej przezorności, niż on, który za bardzo przezornego się uważał. Sam nieraz mówił, że musi bardzo rano wstać ten, kto chce Boreckiego oszukać, tymczasem Różański ani rano nie wstawał, ani starań wielkich nie dokładał i... jednak...

— A, pani siostrze, skoro tak powiadasz — rzekł — chciałbym ci wierzyć, ale proszę, dajże mi jakiś dowód, niech będę przekonany.

— Bracie, daję ci słowo uczciwe; jak cię kocham, jak twoje dzieci kocham, a wierz mi, że to jedyne moje ukochanie na świecie. Wierzysz?

— Wierzę.

— Ale nie poprzestaję na słowie, dowód ci dam.

— Jaki?

— Otóż widzisz, kiedyś ty się ludził, ja miałam jakieś przecucia; mnie dziwne się wydały te pogłoski i ten nagły afekt dla Zosi. Póki był biedny, nie starał się o nią, naraz, mając dostać sukcesję, zakochał się szalenie. O, gdyby istotnie wielki majątek na niego miał spaść, wielka fortuna, to onby na twoją córkę nie patrzył! Pani by szukał, ale nie dziewczynki skromnie wychowanej; do pałaców by szedł, nie do zwyczajnego dworku. Może by o jaką bogatą żydówkę konkurował. Wiedziałam, że moje słowo pana brata nie przekona, bo choć opowiadacie dziwne rzeczy o kobiecym uporze, ale ja mam to przekonanie, że upór męski

przeszedł dziesięć kobiecych, postarałam się przeto o dowód.

— Jakim sposobem?

— Posłałam kogoś na miejsce, aby obejrzał to nadzwyczajne dziedzictwo i dowiedział się, ile ono warto.

— Zapewne użyła pani siostra jakiego żyda?

— Nie, panie bracie, posyłałam dziada, Błażeja Pokrzywę. Dowłókł on się na miejsce, wszystko zbadał i spenetrował doskonale, ze szczegółami najdrobniejszymi i obszerną relacją mi zdał. Przyjdzie on tu jeszcze dziś po południu, może brat zechce go wy badać i rozmówić się z nim. Warto, doprawdy. No, powiedziałałam już wszystko, zrobiłam, co do mnie należało, odchodzę; niech się pan brat zastanowi i niech postępuje dalej, jak uważa.

Z tymi słowy ciotka Gertruda wyszła. Borecki pozostał sam w pokoju. Doznał bardzo przykrych wrażeń, bo i plany względem córki, jakie zaprojektował sobie i ułożył, obracały się w niwecz — i zawód doznany go bolał.

Borecki polubił młodego dzierzawcę, a wyobrażał sobie, że będzie miał z niego pociechę; nie mając syna, pragnął mieć zięcia według swojej myśli i mniemał, że właśnie Różański takim synem przybranym dla niego się stanie.

Słowa siostry rozwiały złudzenia. Borecki marszczył się, targał wąsy, wreszcie przez otwarty lufcik zawołał na stangreta, żeby odjechał do stajni i konie wyprzągł. Następnie schował do biurka gruby, dobrze naładowany pugilares i poszedł do zwykłych swoich zatrudnień, na folwark.

Podczas obiadu był milczący, jak grób. Do siostry i do córek nie przemówił ani słowa,

prawie nic nie jadł i zaraz po obiedzie w pole poszedł.

Za bramą spotkał Błażeja, wlokącego się do dworu.

Sam go zaczepił i ze dwie godziny na skwarze słonecznym z nim rozmawiał.

Ludzie folwarczni, widząc to zdaleka, wydziwić się nie mogli, o czym pan, zazwyczaj małomówny, może z takim dziadem, obieżyświatem, tak długo rozmawiać?

Tegoż dnia wieczorem ciotka zawołała Zosię do siebie i, uściskawszy ją, rzekła:

— No wiesz, jesteś nareszcie swobodna. Nie wyda cię ojciec.

— O, moja ciociu jedyna!

— Nie dziękuj. Nie ma za co. Tak się stało, bo tak musiało się stać.

— Więc już, ciociu, on nigdy tu nie przyjedzie?

— Tak przypuszczam.

— I nie będzie mnie prześladował swoimi czułościami?

— Chyba przez imaginację...

— Ciociu, proszę cioci...

— Ciekawam, czego jeszcze chcesz?

— Czy, proszę cioci, ja... to jest, moja ciociu, niech się ciocia nie gniewa...

— Ależ czego, o co?

— Czy ja mogę myśleć o...

— Ile ci się tylko podoba.

Z krzykiem radości Zosia rzuciła się ciotce na szyję i zaczęła ją ścisnąć i całować.

— Co robisz, wariatko! — zawołała stara panna, wrywając się z objęć siostrzenicy. — Roztrzęsiesz starą ciotkę, a w takim razie, któż cię ze złej przygody wyratuje, co?

Na drugi dzień w ogródku, w którym pra-

cowwały panienki, było bardzo wesoło, coraz to słychać było śpiew, żywą rozmowę, wybuchy srebrnego śmiechu. Niby ptaszki, wypuszczone z klatki na wolność, radowały się siostry; ciotka, patrząc na nie, uśmiechała się tryumfująco, tylko pan Borecki smutny był i zamyślony. Nie bolała go już strata korzystnych widoków materialnych dla dziecka, lecz to mu było przykro, że zawiódł się na człowieku, do którego taką powziął sympatię.

ROZDZIAŁ XV,

o Berku Dyszlu, sławnym woźnicy czarnoblockim, tudzież o bardzo przyjemnej majówce, na której królowała piękna Małka.

Ponieważ w Czarnymbłocie wszystko było znakomite, wspaniałe i sławne, przeto i główny furman nie mógł być ladajaki. Byli wprawdzie podrzędni, ordynaryjni, zwyczajni, jak naprzykład Chune Drąg, Lejbuś Maźnica, Gdal Błotnik, ale prym wśród nich trzymał Berek Dyszel.

On miał najwięcej koni, on miał wozy, przysposobione do kursów pasażerskich lekkich, lub towarowych, chociaż najczęściej urządzał pociągi mieszane, w tym słusznym przekonaniu, że towar nie przeszkadza osobom, ani osoby nie szkodzą towarowi. Czasem, gdy chodziło o nadzwyczajny pośpiech, Berek Dyszel umiał wyspekulować ekwipaż lekki, a jednak tak pakowny, że mogło w nim siedzieć wygodnie ośmnaście osób, nie licząc właściciela, a swoją drogą, jeżeli w czasie podróży trafił się przygodny pasażer, to i dla niego znajdowało się miejsce dość wygodne, na drążku, lub

w kielni, napełnionej sianem.

Do takiego ekwipażu, na żądanie podróżnych, Berek dodawał budę płócienną na drewnianych obręczach, i trzeba mu oddać sprawiedliwość, dodatkowej opłaty za to już nie wymagał.

Głównie bryka Berka odbywała kursa pomiędzy Czarnymbłotem a stacją drogi żelaznej, gdy jednak trafiło się żądanie na drogę boczną, do Kopytkowa na jarmark, albo też na wieś gdzie niedaleko, Berek, wytargowawszy możliwie dobrą zapłatę, wypuszczał ekstra-pociąg.

Uprzejmością Berek Dyszel nie odznaczał się, nawet był trochę gburowaty i nie miał delikatnego, politycznego wychowania, ale posiadał praktyczny rozum; znał się na koniach, wiedział, gdzie i po czemu owies, gdzie niedrogie siano i który kowal robi najlepsze podkowy.

Umiał też przepowiadać pogodę i, jeżeli spodziewał się deszczu, to można było być pewnym, że deszcz będzie.

Koni posiadał trzy, ale lubił się chwalić, że ma ich aż dwanaście.

— Proszę rachować—mówił—kary koń, biały koń i kasztanowaty koń, to trzy; ślepy koń, spleczony koń i dychawiczny koń — to sześć; wielki koń, średni koń i mały koń, to już dziewięć, a leniwy koń, gorący koń i znarowiony koń—to dwanaście...

W rachunku tym fałszu nie było, lecz szczerą prawdą, od karego aż do znarowionego.

Jednego dnia wieczorem, Berek siedział na progu przed swoją izbą, palił fajkę i rozmyślał, gdy przybiegł do niego zadyszany Mojsie Fisch,

— Dobry wieczór wam!—rzekł.

— Dobry rok!

— Jedziecie jutro do kolei?

— Co wam do tego?

— Chcę wiedzieć. Czy niewolno zapytać?

— Owszem, wolno; komu innemu nie powiedziałbym ani tak, ani siak, wam jednak powiem: ja jutro do kolei nie jadę, aż dopiero pojutrze.

— To bardzo dobrze, ja wam nastęcę za robek.

— Naprzykład?

-- Zawieziecie kilka osób do Zatraceńca. Trzeba wyjechać rano, ażeby tam stanąć na dziesiątą, a najwyżej na jedenastą. Interes jest terminowy i dlatego przychodzę do was, bo jesteście znani w całym mieście, jako człowiek w swoim fachu grubo honorowy i akuratny.

— To prawda jest. Ja wolę ochwacić konia, aniżeli mieć feler na honorze. Do Zatraceńca jest dwie mile drogi i miejscami piasek. Kogo mam tam zawieźć?

— Parę osób...

— Naprzykład?

— No, ja, moja żona, Jankiel Bas, Dawid Śliwka, Hil Glancman, Uszer Engelman, Nuchym Grynszpan, Mordko Ryps, jego żona też, Chaim Berek Zastawnik, Michel Smutny, Judka Migdał, Judkowa także, Szulim Łokciowy i może jeszcze parę pasażerów.

— Co ma być w Zatraceńcu, wesele?

— Trochę zgadliście, trochę nie; nie będzie wesele, tylko licytacja i radzę wam wziąć z sobą cokolwiek pieniędzy; będziecie mogli kupić tanio bardzo porządnego konia. Zgódźcie się ze mną za tę furmankę hurtem. Ja od was wynajmuję i dobrze wam zapłacę, trzy ruble, jak jeden grosz, a gdy powrócimy szczęśliwie,
Czarnebloto

poczęstuję was dużym kieliszkiem mocnej, sprawiedliwej wódki. Znacie trochę mój honor.

— Ja wam coś powiem, Mojsie — odrzekł Berek — idźcie wy z waszym hurtem, honorem i kieliszkiem wódki do pierwszego lepszego rowu i złamcie sobie nogę.

— Tfy! Co wy za grubianin jesteście. Nie potraficie powiedzieć kilku wyrazów bez przekleństwa! Prawdziwie bałagulska natura i pas kudne przyzwyczajenie.

— Jak wam się nie podoba bałaguta, to idźcie do zegarmistrza; niech on wam da porządną furę do wyjazdu.

— Co będziemy próżno klektali, zgodzicie się hurtem, czy nie?

— Albo ja wariat? Chcecie, żebym za trzy ruble zawiózł wszystkich żydków z miasta do Zatraceńca? Berek nie jest głupi. Zgódźcie się od osoby, a jeżeli nie, to idźcie sobie złamać obie nogi!

— Szkaradna gęba! Po czemu chcecie? Mówcie, jak człowiek!

Berek wymienił liczbę, Mojsie podzielił ją przez trzy — i obydwoj natychmiast skoczyli sobie do oczów, a potem besztali się nawzajem z przyzwoitej odległości; Mojsie dorzucił pięć procent, Berek tyleż opuścił, i tak postępując, opuszczając znowuż, zbliżyli się jeden do drugiego, aż wreszcie nastąpiła zgoda zupełna.

Stało na tym, że nazajutrz rano, skoro tylko dzień się zrobi, Berek furą, zaprzęzoną w trzy konie, zajędzie przed „Zielonego Łabędzia”, gdzie całe towarzystwo oczekiwać będzie.

Nazajutrz ranek był prześliczny, słońce jaśniało wspaniale. Czarnełoto kąpało się w blaskach. Uszer Engelman mówił, że mało w życiu swoim widział dni tak pięknych i rozko-

sznych, ale też nie codzień bywa święto i nie codzień licytacja.

Aczkolwiek niehandlujący i prawie wyłącznie myśleniu i księgom oddany, Uszer postanowił jednak pojechać do Zatraceńca. Skłaniało go do tego kilka chęci, a mianowicie: chęć użycia przejażdżki przy pięknej pogodzie i w dobranym towarzystwie, chęć zabawienia się na takim przyjemnym widowisku, jakim jest każda licytacja wogóle, i wreszcie chęć kupienia jakiego przedmiotu tanio i spieniężenia go następnie, tak, aby opłaciły się koszta podróży i parę rubli pozostało w zysku.

Kapitał, na ten cel potrzebny, dała sama pani Uszerowa, ale nie dowierzając zdolnościom finansowym swego małżonka, prosiła Małki, żeby rozciągnęła nad Uszerem kontrolę i nie pozwoliła mu ani hazardować się zawiele, ani też nabywać takich przedmiotów, których zbyt nie jest pewny.

Małka przyrzekła, że mieć będzie nad całą działalnością Uszera baczne oko i że Mojsie Fisch nie odstąpi go ani na krok. Wprawdzie Mojsie Fisch nie jest to wielka głowa do interesów, ale obadwaj, razem wzięci z Uszerem, znaczyć mogą tyle, co pół porządnej głowy, a bystre oko Małki dopełni reszty — i z tych dwóch głów i tego bystrego oka zrobi się jedna głowa; niewielki cymes, nie nadzwyczajność, ale taka oto sobie, średnia głowa żydowska.

Kiedy Berek zajechał przed „Zielonego Łabędzia”, była godzina siódma rano. Zanim pasażerowie zebrali się, zanim opłacili Berkowi należność za jazdę, zeszło do godziny ósmej.

Wystąpiły na porządek dzienny kwestie wytartych trojaków, fałszywych dziesiątek, był

gwałt lepszy, niż na jarmarku, ale jakoś ułożyło się przecież.

W każdym interesie musi być trochę sprzeczki, a potem, jak już sprzeczka przeminie, nastaje zupełnie zgoda, harmonia i grzeczność.

Kilkanaście osób pomieściło się na lekkim ekwipażu Berka. Nie było im zbyt przestronno, owszem, mogli się nawet skarżyć na ciasnotę, ale tę małą niedogodność wynagradzało sownie przyjemne towarzystwo, w każdej wogóle podróży bardzo mile i bardzo chętnie widziane.

Berek, policzywszy w myśli, ile jest osób i skombinowawszy w pamięci, czy wszystkie należność opłaciły, zdjął koniom torby ze łbów i, wzięwszy lejce do ręki, wgramolił się na przodek wasągu, poczem, obejrzawszy się uważnie po za siebie, w celu sprawdzenia, czy jaki bezpłatny pasażer i licytant z tyłu wozu się nie przyczepił, śmignął konie biczem i fura potoczyła się po nierównym bruku.

Do samej rogatki siedząca na wozie publiczność zachowywała się cicho, dlatego, że Berek chcąc pokazać swoją sztukę, ruszył z miejsca bardzo ostro, skutkiem tego zrobił się niesłychany turkot i takie trzęsienie, że każdy pasażer o tym tylko myślał, jakim sposobem na wozie się utrzymać.

Dopiero za rogatkami, gdy fura znalazła się na piaszczystym gościńcu, a rozpedzone konie utraciły już swój nadzwyczajny fajer, zaczął się przyjemny dyskurs, w którym całe towarzystwo żywy brało udział.

Pani Rypsowa, utrzymująca sklep towarów łokciowych, kobieta pospolitego umysłu, o szpetnej twarzy, ale bardzo zazdrosna i złośliwa, odezwała się do Małki:

— Dla pani ta dzisiejsza podróż zapewne przyjemną nie jest?

— Z jakiej racji ma być dla mnie nieprzyjemna? — odrzekła Małka. — Chwała Bogu, ciepło jest, słońce świeci, a fura Berka jest tak bardzo wygodna, że nie tylko ja, młoda, ale nawet stare, plotkarstwem tylko zajęte baby, mogą na niej jechać, bez niebezpieczeństwa dla swoich delikatnych kości.

— Ślicznie pani Małka powiedziała i nie ma się czemu dziwić. Taka ładna buzia słwana jest na całe Czarnebloto, a nawet na szeroką okolicę. Ha! ha! O takiej buzi dużo mówią, a skoro o niej mówią, to i ona także chce swoją sztukę pokazać.

Małka nie pozostała dłużna w odpowiedzi.

— Różne są buzie na świecie—odrzekła—jedne ładne, kto na nie spojrzy, to mówi — inne brzydkie i o tych nikt nie mówi, bo nie ma czasu.

— Jakto nie ma czasu?

— Gdyż spojrzawszy na taką, musi przede wszystkim... splunąć.

Wszyscy podróżni wybuchnęli śmiechem, a pani Rypsowa wpadła w pasję i zaczęła miotać straszne przekleństwa. Przytem twarz jej, rzeczywiście nie bardzo piękna z natury, wydawała się przerażającą.

— Żmijo!

— Gadzino!

— Ty, współniczko szatańska!

— Ty stara czarownico! Oby twój język zmienił się w kołek drewniany!

— Widzieliście ją!

— Cicho, cicho! — wołał Jankiel Bas.

— Uspokójcie się, to niepięknie jest! — refleksywnie powiedział Uszer Engelman.

— Ona taka harda, że jedzie do swojego puryca! — wrzeszczała na cały głos pani Ryp-sowa.

— Dość, dość już!

— Jakto? W porządnym towarzystwie, jadąc na bryczce, robić takie brewerie!

Berek wdał się w sprawę.

— Kto — zapytał — zapłaci mi za to, że moje konie od tego wrzasku ogłuchną?

— Cicho! cicho, szal!

Z wielkim trudem udało się uspokoić wzburzone umysły. Na szczęście z bocznej drogi od Kopytkowa nadjechała także fura, pełna żydów.

— Dokąd jedziecie?

— Do Zatraceńca.

— I wy także?

— Co chcecie? Pan Bóg daje licytacje dla wszystkich.

— Prawda, ale spodziewamy się, że nie zechcecie nam psuć interesu?

— Nie ma o czym mówić, zrobmy spółkę.

— Zrobmy spółkę — rzekł Jankiel Bas. — Tak postępowali nasi dziadkowie, nasi ojcowie, tak należy robić i nam. Jakie są wasze warunki, ile chcecie zarobić.

Na obydwóch furach zrobił się taki wrzask, iż nie można było dojść, o co chodzi.

Jankiel Bas wrzeszczał na całe gardło:

— Cicho, cicho, powoli! Niech jeden mówi. Kto jest u was główny macher do tego interesu?

— Icek Szpindler.

— Bardzo dobrze, owszem. Szpindler jest znany, jest osoba, niech Szpindler złazi z fury.

— Niech Jankiel złazi też.

Dwaj delegaci wygramolili się z wozów i zaczęli pertraktacje na stałym gruncie, na piasku.

Narada trwała nie długo; w kwadrans stała ugoda i następnie dwie fury, niby dwa wielkie okręty, popłynęły po piasku, w stronę Zatraceńca.

Uszer Engelman odezwał się do Mojsia, że wycieczka na licytację jest bardzo przyjemna, o ile swarliwe niewiasty nie psują jej uroku.

Odrzekł na to Mojsie, że sama wycieczka, sama podróż to jest nic, w porównaniu z rozkoszą, jaką daje licytacja.

— Obaczycie — rzekł — i przekonacie się że to jest zabawa o wiele lepsza, niż wesele...

Gdy fury wjechały na dziedziniec w Zatraceńcu i zatrzymały się przed dworkiem, cała gromada pasażerów wnet rozsypała się po pokojach, po zabudowaniach, po folwarku.

Opozycja służby niewiele pomogła, bo świat handlowy czarnoblocki i kopytkowski, gdy idzie gromadą, odznacza się wielką śmiałością i odwagą.

Nieproszeni goście wtargnęli do stajen, do obór, do pokojów, oglądali inwentarz, meble drobiazgi.

Różańskiego nie było. Pojechał on raniutko do trzeciego miasteczka, w nadziei, że choćby na najgorszych warunkach dostanie pieniędzy i zażegna katastrofę, ale doznał tego samego losu, co Rokita i Waszątek. Mówić z nim żaden kupiec nie chciał, wszyscy odsyłali go do Jankla Basa i Małki.

Zrozpaczony powracał do domu, a pędzić kazał, co koń wyskoczy, bo mu się zdawało, że może jeszcze w ostatniej chwili zajdzie jakaś okoliczność nadzwyczajna, stanie się cud.

Kiedy stangret osadził spienione kasztanki przed domem, przystąpił z wielką powagą Berek Dyszel i, ująwszy jednego z nich za chrapy, chciał mu w zęby zajrzeć. Przestraszony koń stanął dęba, a stangret krzyknął na Berka:

— Ustąp!

— Ty sam ustąp, gałganie jeden, ty parobku! — wołał Berek. — To moje konie! Dlaczego je tak zmęczyłeś, paskudniku?

Różański zirytowany, blady, zeskoczył z bryczki i pochwycił Berka za brodę. Na szczęście, znajdujący się w pobliżu kasjer zarządu dóbr, który z obowiązku na licytację przybył, wziął młodego człowieka na stronę.

— Panie — rzekł — nie irytuj się napróżno. To ci już, biedaku, nic nie pomoże. Niech zczynają, a im prędzej się to skończy, tym lepiej. Wybacz pan, że ja tu jestem, ale rozumiesz... obowiązek.

Różański wpadł do mieszkania. Na kanapie siedziała Małka, na fotelach, na krzesłach różni kupcy. Szwargotali oni bardzo wesoło, palili fajki i cygara, plując bez ceremonii na świeżo wywoskowaną posadzkę.

Młody człowiek odwołał Jankla na stronę. Coś mu długo szeptał, przekładał, ale żyd obojętnie słuchał; w końcu wruszył ramionami i rzekł:

— To dla mnie żaden interes. Pan ma tylko dwa sposoby: albo zapłacić wszystkie pretensje, albo dać sprzedać ruchomości.

— Więc niech sprzedają!

Spostrzegłszy Małkę, młody człowiek wydał okrzyk zdziwienia.

— I pani tutaj? pani?

— Dlaczego ja nie mam być tutaj? Panu należy się ode mnie dawno wizyta.

— A, doprawdy miałem panią za coś lepszego, niż ta hałastra!

— Pan się myli, to nie jest żadna hałastra, to wszystko porządni ludzie i obywatele. Naprawdę, pan sobie za dużo pozwala... Że ktoś przyjeżdża odebrać swoją należność, to ma być hałastra?

— Widzę, że pani jesteś taka sama!

— Proszę mi nie ubliżać! Pan dobrze wie, kto ja jestem.

— Szelma pani jesteś i dość na tym!

Piękna Małka narobiła takiego wrzasku, że ją ledwie uspokoiono, zaś pani Rypsowa zrobiła delikatną uwagę, że nawet taki goj, taki kapcan, którego licytują, może wymówić jednak mądre i pełne prawdy słowo.

Zaczęła się sprzedaż.

Ponieważ w pokojach strasznie panowie licytanci nadymili przeto wyrzucono ich na dwór. Urzędnik, prowadzący licytację, kazał postawić stolik na ganku, woźny ulokował się na wysokiej ławie, a wójt, przy pomocy sołtysa, utrzymywał porządek, przemawiając łagodnie, ale zarazem stanowczo:

— Nie pchajta się, cygany jedne! Odstąpta, łajdaki! Nażreta się jeszcze dość cudzej krzywdy!

Ponieważ Mojsie Fisch, usłyszawszy okrzyk: „Kto da więcej”—poczuł w sobie przebudzonego lwa i zaczął się okropnie rzucać, sołtys żelazną łapą ujął go za kołnierz i jak kociaka wyniósł z pośród gromady.

Biedny Mojsie i pożałowania godzien!

Ordynaryjny chłop zepsuł mu pierwszy smak uczyty i odepchnął go od głównego stołu; ale przebudzony lew ma siłę i niełatwo daje się pokonać, to też Mojsie obiegił gromadę dokoła

i, wypatrzywszy miejsce stosowne, wśliznął się znowu, jak wąż aż do samego stołu.

Małżonka jego, trzykrotnie obrażona w tym dniu, z czarnych źrenic miotała pioruny. Była na obliczu czerwona, jak krew, chwilami zacięła usta i przygryzała je ze złości, to znów z gardła jej wydobywały się jakieś dźwięki chrapliwe, w których drga ościwość i zemsta.

Mojsie, spojrzawszy na swoją małżonkę, przekonał się dopiero, jaka to piękna i niebezpieczna zarazem kobieta.

Licytacja szła doskonale i prędko.

Z wielkim ogniem i zapalem kupcy czarnobłoccy i ich wspólnicy z Kopytkowa dorzucali po kilka, kilkanaście groszy; a kiedy Jankiel Bas szepnął „sztyle” — delikatne to słówko, ni-by iskra elektryczna, obiegało wszystkich obecnych i zaraz robiła się głucha, grobowa cisza, aż dotąd, dopóki woźny nie wykrzyknął:

— Po raz trzeci!

Po raz trzeci!

Po raz trzeci i ostatni! Na to hasło robi się znowu wrzask piekielny; do stołu przybliżało się dwóch, trzech, czterech wspólników, wydobywali z pugilaresów pieniądze, liczyli je, a tymczasem inni rzucali się do pokojów, chwytali kupione graty i wynosili je na dziedziniec.

Nie obeszło się przytem bez kłótni, szturchańców i interwencji sołtysa, który wyrazów zbyt wyszukanych nie dobierał, a i kułakiem sobie pomagał, żeby jaki taki porządek utrzymać.

Znowuż rozlegał się głos woźnego i znowuż krzyk, rzucone szeptem „sztyle” — cisza grobowa, „po raz trzeci i ostatni!” — nowy napływ tej fali burzliwej do wnętrza dworku, hałaśliwe wynoszenie sprzętów, gruby bas sołtysa.

Różański nie mógł znieść tego widoku.

Uciekł do ogrodu; niech się dzieje, co chce, niech biorą, grabią — wszystko skończone, ratunku nie ma żadnego.

Usiadł na ławce, oczy rękami zasłonił i nieruchomo siedział, zgnębiony, smutny, w najczarniejszych pograżony myślach.

Przed oczami jego wyobraźni przemknęła urocza postać Zosi. Czemuż nie przestąpił wcześniej progu cichego dworku w Brzozówce, czemu nie szedł drogą prostą, bez obłudnej maski na twarzy?... Wszystko, wszystko byłoby się ułożyło inaczej.

A teraz co? Co teraz? Kawałek ołowiu w skroń i koniec życia, czczego, pustego, niepożytecznego nikomu. Jedna chwila i po wszystkim.

I na cóż tę chwilę odwłóczyć, na co czekać jeszcze, czego się spodziewać? Alboż jest inna droga wyjścia?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, czyjaś ręka dotknęła lekko jego ramienia.

Otworzył oczy. Przed nim stał kasjer dominialny, siwy, przygarbiony trochę staruszek. Stał i patrzył na niego oczami wilgotnymi, jakby od cichej łzy współczucia.

— Szukam pana umyślnie — rzekł starowina.

— Czy podpisać mam co? Czy już koniec?

— Nie, panie; tamto jeszcze z godzinę potrwa, ja przyszedłem z panem pomówić. Pozwolisz, że usiądę; stare nogi wymawiają posłuszeństwo. Jam, widzisz, przyszedł do ciebie, bo w takich chwilach niedobrze być samemu. Nie dziw się i nie gniewaj, że tak poufale przemawiam, panie Różański. Ja mógłbym ojcem twoim być. Widziałeś mnie wśród tej zgrai, która tam ostatki twego mienia rozgrabia; przyszedłem tak samo, jak oni, aby cię

egzekwować. Żalu o to do mnie nie miej, spełniam bowiem tylko obowiązek.

— Ja też do pana żadnej nie mam pretensji, ani urazy.

— Mój panie, pozwólże mi mówić dalej. Co robić dziś z sobą zamierzasz?

— Nie wiem jeszcze, nie myślałem, nie mogłem myśleć...

— Za parę godzin zostaniesz samotny, wśród pustych kątów i ogołoconych ścian, a samotność w takich chwilach to nie dobry towarzysz.

— Ja chcę wyjechać do Warszawy, a może... nie wiem, ja nic nie wiem. Panie, dziękuję ci za twoją dobroć, ale zostaw mnie w spokoju.

— Tego zrobić nie mogę, nie opuszczę cię. Pojedziesz do nas.

— Jakto do nas?

— Do mnie i do mojej żony. Starzy jesteśmy, pocieszać może nie potrafimy, ale postaramy się, aby cię ukoić, może radę dobrą damy, może coś obmyślimy, może, albo ja wiem? Nie gardź szczerym sercem, niech ci się zdaje, że to ojciec z matką chcą cię do piersi przycisnąć i podtrzymać, żebyś nie upadł.

Te proste słowa szarpnęły Różańskiego za serce. Więc są jeszcze ludzie. Rzucił się w ramiona staruszka i zapłakał.

— Panie, panie, jakim ja nieszczęśliwy! Panie, com ja stracił!...

— Uspokój się, straciłeś bardzo niewiele, a pozostało ci zdrowie, młodość, siła. Wierz mi, mój drogi, że niejedyn bogacz wszystkie skarby swoje oddałby za to, a ty rozpaczasz i ręce opuszczasz. Ja ci nauk dawać nie chcę, gdyż w tej oto chwili życie, ten najlepszy nauczyciel, daje ci bolesną lekcję. Tyś się po niej

odrodzić powinien; pójść w świat przebojem: Nie żałuj tego, co zostawiasz za sobą — idź, pracuj. Powtarzam ci, że skarby posiadasz, boś młody, boś silny, a, przepraszam cię najmocniej za wyrażenie, po dzisiejszych przejściach będziesz zapewne i rozumny. No, posłuchaj starego, tu już nie siedz, masz dość tego widowiska. Bryczka za ogrodem stoi, siadaj i jedź. Zona moja oczekuje cię, a ja, jak się tu już wszystko skończy, przyjadę z plenipotentem razem. No, jakże, jedziesz?

— Bóg zapłać, panu, jadę.

— A co to masz tu w kieszeni, mój kochany?

— To... — odrzekł zmieszany Różański — to pugilares.

— Nieprawda, to rewolwer. Daj-no go, on ci niepotrzebny...

— Ale...

— No, no, nie dysputować, lecz słuchać, dawaj bracie. Zabieram go i zatrzymam, jako depozyt... I rzeczy twoje, sprzedaży nie podlegające, przywieźć każę i rachunki po powrocie załatwię, a teraz jedź...

Małka nie mogła odgadnąć, gdzie się młody człowiek podział. Szukała go wzrokiem na wszystkie strony, posyłała Mojsia, żeby go znalazł — napróżno.

Ponieważ wszyscy, zajęci licytacją, lub przez ciekawość zwabieni, zgromadzili się przed domem na dziedzińcu, więc nikt odjeżdżającej z po za ogrodu bryczki nie zauważył...

— Gdzie się ten gałgan podział? Gdzie on się podział? — zapytywała męża.

— Albo ja wiem? Przepadł, może go już diabli wzięli?

— O, aby jeszcze nie teraz!

Mojsie drgnął.

— Słuchaj-no, Małciu — rzekł — skoro przyjechałaś na licytację, to trudnij się kupowaniem ruchomości, ale nie ucz diabłów, kiedy mają brać takich puryców. Na to nigdy nie zawczasie, a nie twoja głowa do tego, żebyś im miała terminy wyznaczać.

— Ty, Mojsie, głupi jesteś! — rzekła ze złością — w twojej pustej głowie nie może się nic mądrego zmieścić.

— I w rzeczy samej Mojsie za głupi był na to, aby zrozumieć, o co Małce chodziło. Ona przecież nabyła garnitur mebli, ten sam, który Różański przeznaczył do pokoju przyszłej swojej żony. Pani Różańska miała na tych fotelach siadywać — otóż nie, nie i nie!

Zasiadać na nich będzie Małka i Mojsie, skakać po nich ma i bujać się na sprężynach synek Małki. Ona się już na nich rozsiada.

Kazała wynieść cały garnitur na dziedziniec, postawić go na samym środku, usiadła, a raczej położyła się prawie na kozetce. Kołysze się na nowych, mocnych sprężynach i rzuca oczami na wsze strony, czy z dworku, lub ze stajni nie wyjdzie Różański. Ona pragnie go widzieć i upokorzyć, poniżyć, ma nawet dla niego parę słów takich, któreby mu z lichwą zapłaciły za rzuconą przed kilkoma godzinami obelgę.

Licytacja idzie dalej w najlepsze, a Małka wciąż siedzi i czeka. Mojsie wydziwić się nie może, skąd nagle jego żonę napadło takie dziwne, takie szczególne lenistwo!

Tam sprzedają miedź, samowary, takie rarytne rzeczy, a ona siedzi, licytuje lampy, na które miała ochotę—ona siedzi; przychodzi kolej na dywany, wymawiała sobie, żeby ich nikt nie licytował, tymczasem siedzi, wciąż siedzi

i czeka. Mojsie przybiega, targa ją za rękaw i woła:

— Małka, dywany!

I słyszy odpowiedź:

— Idź do diabła!

— Ale dywany, słyszysz, teraz są dywany!

— U mnie teraz majówka, ja sobie odpoczywam.

— Ale dywany! Tam nie licytują, miałaś kupić!

— Idź, kup i daj mi pokój!

Kto kobietę zrozumie? Kto zgadnie, jaki figiel za jej pośrednictwem wyrządzi szatan? Słusznie mówi Uszer Engelman, że taka, co ma dwanaście lat, już nie wzbudza zaufania, a taka, co ma pięć razy po lat dwanaście, jeszcze ufnością natchnąć człowieka nie może; dorzucić jeszcze raz dwanaście lat, i także nie możesz być pewnym swego.

Oh! Uszer Engelman, on zawsze pięknie i rozumnie mówi, a gdyby go kto zapytał, dlaczego Małka, zamiast licytować, pokłada się na kozetce, odpowiedziałby, że to nowy figiel szatański.

Sprzedano dywany — kupił je Mojsie, sprzedano resztę sprzętów domowych — nabyła je Rypsowa, sprzedano konie — kupił je prawie wszystkie Jankiel Baz, prócz jednego nabytego przez Berka Dyszla. Piękne woły, dojne krowy i owce wzięli za bezcen rzeźnicy z Kopytkowa; uprząż, wozy, narzędzia rolnicze zabrali za psie pieniądze obywatele czarnobłoccy, gdyż sąsiadów gospodarzy na licytacji nie było, a chłopci, pomimo namawiania, kupować nie chcieli.

— Nie gospodarska rzecz — mówili — na cudzej biedzie się dorabiać. Nie zarodzi rola takim płużkiem orana!

Licytacja skończyła się, a Małka nie zeszła z kozetki; przybiera coraz to inne pozy, a oczy jej biegają na wszystkie strony.

— Gdzie on jest?—pytała męża. — Idź zaraz, dowiedz się, gdzie on jest?

— Na co on ci potrzebny?

— Na co? On mi w tej chwili tak jest potrzebny, jak głodnemu chleb, jak nędzarszowi pieniądze. On tu musi być zaraz!

— Małka!—krzyknął Mojsie groźnie:—albo ty jesteń wielka szkaradnica, albo dostałaś nagle wariacji.

— A! tak ci się zdaje, a ja chcę, żeby on tu był, żeby widział swymi oczami, że jest zdeptytany jak robak; żeby usłyszał ode mnie, że jest łobuz, kapcan i nie wart złamanego szeląga, żeby...

— Co ci z tego? Odebrałaś swoje pieniądze, to się ciesz pieniędzmi. On i bez twego powiedzenia wie, że jest kapcan i nie wart złamanego szeląga.

Wzruszył ramionami i odszedł, mrużąc gniewnie:

— Dziwna to kobieta, nawet w złości. Chce mu powiedzieć wielką nowinę: że taki, co nie ma grosza, jest kapcan.

Skończyła się wreszcie licytacja. Świeżo odnowiony dworek wyglądał, jak po pożarze; powynoszone rzeczy leżały na ganku, na dziedzińcu, na schodkach.

Urządник, prowadzący sprzedaż, odjechał chłopi rozchodzić się zaczęli. Pozostał tylko wójt, sołtys i oficjalista z zarządu dóbr, mający objąć folwark w administrację, do czasu przybycia nowego dzierżawcy.

Wójt był w złym humorze, tymbardziej, że

jeść mu się chciało ogromnie, pragnął więc jaknajprędzej czynność swoją ukończyć.

— No, dalej, żydy! — wołał — ruchajcie się, zabierajcie co wasze i jedźcie! Nie będę tu dla was do nocy stojał!

— Co to „żydy” — rzekła Małka — pan wójt sobie za dużo pozwala. Pan wójt nie jest żadna osoba, tylko zwyczajny chłopski wójt.

— A juści! A Małka żydowica!

— Ja sobie nie dam ubliżyć! Ja kupcowa jestem!

— Ale żydowica!

— A wy jesteście cham, proste chłopisko, bez żadnej delikatności!

— Idź ty z gębą, bo będzie źle!

— Małka, gaj weg! — zawołał Mojsie i, zwracając się do wójta, dodał: — Niech się pan wójt nie gniewa, moja żona ma taki feler, że czasem niewiadomo o co złości się.

— Pewnie ją jaki robak ukąsił,

— Albo ja wiem? Może robak, różne przytrafienie na świecie się trafia.

— Insze bydłę — dorzucił sentencjonalnie soltys — a najbardziej krowa, jeżeli ją giez utnie, to się zara gzi...

Mojsie splunął i małżonkę swoją ku rzeczom odciągnął.

Trzeba było furmanek, żeby kupione ruchoomości zabrać. Chłopi swoich koni wynająć nie chcieli, ale były konie i wozy, nabyte na licytacji; był Berek Dyszel ze swoją furą, do której czwartego rumaka, świeżo nabytego, zaprzął; był furman z Kopytkowa, dał swój wagaś Jugiel pachciarz i zaczęło się pakowanie z wielkim krzykiem, targowaniem się, kłótniami...

Nabywcy wozów i koni na oczekaniu przedzierżnęli się w furmanów i zaczęli mieć dochód.

Już się słońce dobrze ku zachodowi zniżyło, gdy wozy, obładowane rzeczami i ludźmi, wyjechały z dziedzińca.

Towarzystwo, z powodu większej ilości furmanek, podzieliło się na mniejsze grupy, a Małka mogła skutkiem tego uniknąć niemiłego dla niej sąsiedztwa pani Rypsowej.

Uszer Engelman zachwycony był licytacją i, siedząc na furze Berka, oddawał się bardzo poważnym rozmyślaniom na ten temat.

Mojsie, zmęczony fizycznie, drzemał, a i ten lew duchowy, co się w nim był rano przebudził, spał teraz, jak zabity, schowawszy głęboko straszne swoje pazury.

Gończy, parny dzień zbliżał się do końca. Na horyzoncie ukazała się chmurka, za nią druga, trzecia i dziesiąta. Rosły i zlewały się w jedną.

Berek Dyszel spojrział w górę i rzekł do siedzącego Glancmana:

— Jestem pewny, że będzie deszcz.

— W takim razie, dlaczego nie urządziliście na furze budy płóciennej?

— Możecie trochę zmoknąć, co mi to przeszkadza? Wy nawet dobrze zmokniecie, ponieważ zanoszą się na burzę.

— Spieszcie, może zajedziemy przed deszczem.

— Po co mam spieszyc? Zgodziłem się, że was zawiozę do Zatraceńca i że was stamtąd odwiozę do domu. W jednej połowie już to skutecznym, w drugiej mam nadzieję skutecznym, a czy macie być przywiezieni na moko, czy na sucho, to mi zupełnie wszystko jedno, abym was przywiózł.

Gruba, ciężka kropla deszczu spadła mu na nos i nagle, bardzo szybko, zaczęło się ściemniać, a z oddalenia dał się słyszeć głuchy przeciągły grzmot.

Na furach zrobił się popłoch. Takie kosztowne rzeczy mogły zamoknąć, damom chodziło przytem o stroje. Pani Rypsowa bowiem miała na sobie suknię jedwabną i aksamitną mantyle, bardzo starożytnego fasonu. Małka zaś nowiuteńki kostium. Na taką licytację nie można było przyjechać w ladajakim ubraniu.

Była chwila, w której zdawało się, że deszcz ustanie, a burza przejdzie bokiem, lecz przypuszczenie to nie sprawdziło się. Chmury nie ustąpiły, zrobiła się ciemność zupełna, zerwał się wiatr gwałtowny, a po tym straszna ulewa. Błyskawice ślizgały się po niebie we wszystkich kierunkach, ogłuszający huk grzmotów co chwila wstrząsał powietrze.

Berek, który jechał naprzód i prowadził całą karawanę za sobą, zatrzymał konie, pomimo protestu i krzyku swoich pasażerów.

— Jedź! — wołano na niego — czego stoisz, czy chcesz, żebyśmy przemokli zupełnie?

— Ja też moknę.

— Co nam do tego? Moknij, kiedyś furman, ale nas wieź, prędko wieź, aby do miasta.

— Mam taki zwyczaj, że podczas burzy stoję. Jeszcze nieboszczyk ojciec mój, który też był furmanem, tak mi przykazywał. Niech to nie będzie w złą godzinę wymówione, ale widzicie i słyszycie co się dzieje. Piorun może...

— Cicho; cicho, daj pokój. Chcesz stać — stój!

Zrobiła się cisza wśród podróżnych. Wszyscy szeptali modlitwy, aby Bóg odwrócił nieszczęście.

Rypsowa wciąż wzdychała; nie mogła odzłować, że puściła się w taką niebezpieczną podróż razem z Małką.

— Ja wiem — mówiła do swoich sąsiadów na wozie — wiem, gdzie jest przyczyna burzy, co nam przynosi nieszczęście. Ta wystrojona lalka, ta współpracowniczka szatana, ściągnęła burzę, oby na nią samą spadła!

Jęki i lamenty pani Rypsovej przeszły bez wrażenia, każdy bowiem o sobie tylko myślał i o sobie się bał — i w śmiertelnej trwodze zeszła prawie cała godzina. Wreszcie deszcz ustał, niebo wy pogodziło się i, na hasło Berka, karawana wozów pociągnęła dalej ku Czarnemu błotowi.

O ile wyjazd był bardzo wesóły, o tyle powrót smutny.

Dużo rzeczy uszkodziło się i przemokło, a bohaterowie, zajęci suszeniem spłókaney przez deszcz garderoby, nie mieli ochoty do opowiadania szczegółów, wypadków i wrażeń doznanych.

Małka była zła, jak całe piekło, Mojsie milczał, a nawet Uszer Engelman, zamiast zwyczajem swoim zasiąść przy stole i rozmyślać, udał się zaraz na spoczynek.

Nad Czarnym błotem jaśniały gwiazdy, a promienie księżycy ślizgały się po dachach mokrych i kałużach rozlanych szeroko.

ROZDZIAŁ XVI,

opisujący osobliwą rezygnację Wasążka, oraz wielką naradę prawników czarnobłockich.

Gdy Wasążek przyjechał do Czarnegoblota w dzień targowy, zaledwie z woza zsiąść zdążył, obkoczyła go cała gromada finansistów, wśród której prym trzymali Chaskiel i Jukiel.

— Co wasan sobie myśli?! — wołał pierwszy.

— Niech wasan odda dług. Co to wasan! Wasan myśli, że wasan jest wasan, wasan nie jest wasan, tylko oszust!

Jukiel usiłował pochwyć Walentego za kołnierz, ale silny szlachcic wyciągnął rękę i zakreślił nią w powietrzu koło, na skutek czego finansisci odskoczyli i hałasowali dalej z pewnej odległości.

— Kochane żydki — rzekł Wasążek — dwoma kijami bić nie można. Skoro prawujecie się ze mną, to nie napastujcie, bo was poturbuję i zaskarżę do sądu o napaść na równej drodze. Lepiej rozmawiajcie po dobroci i po sprawiedliwości, to prędzej będzie jaki skutek.

— Jaki ma być skutek? Zapłać wasan!

— Oj, oj! i od tego nie odbiegam; zapłacę, tylko nie teraz, bo akurat na tę chwilę nie mam.

— No, a kiedy, kiedy wasan zapłaci?

— Żebyście byli nie szli do procesu...

— Kto do procesu chce iść? To wasan lubi się procesować, wasan jest taki amator do sądów!

— Fałsz mówicie, łgarstwo. Alboż to ja was pozywałem? Wy, wy sami! Powiadacie, że lubię procesy, łgarstwo jest, nie lubię. Czy stawałem w sądzie? Czy nie puszczałem wszystkiego zaocznie? Czy bronilem się? Rze-

kłem sobie: dość, chcą pozywać, niech pozywają; chcą mnie sprzedać, zniszczyć, niech sprzedają i niszczą. Ja się bronić nie będę, nic a nic. Rzekłem sobie: przepadło i niech się dzieje, co chce!

— Jakto wasan się nie bronił? Co to za głupie gadanie jest? Wasan się nie bronił, a na co wasan narobił tyle symulacji, tyle fałszywych sprzedaży, tyle oszukaństwa?!

— Niech-no Jukiel o symulacjach nie gada, bo to kalumnia jest. Trzeba dowieść, a jak się nie dowiedzie, to można potem cienko śpiewać.

— My dowiedzimy, my wasana wsadzimy do kozy!

— Owszem, wsadźcie!

— Sprzedamy wszystko, zniszczymy!

— Owszem, zniszczcie! Mnie już wszystko jedno!

— Wasan chyba nie wie, co było w Zatraceńcu? Hardy purec był, wielkiego pana udawał, teraz kapcan jest!

— Teraz go wcale nie ma!

— Niech wasan wie o tym, że my potrafimy pokazać swoją sztukę!

— Wiem, wiem — odrzekł szlachcic. — Wy mądrzy jesteście, znacie prawo na wylot! Ha! wola wasza, prawujcie, choć zgodnym sposobem pewniejszy skutek.

— To niech wasan zgodnie płaci!

— Jak wasza wola, ja na wszystko przystaję.

— Więc gódźmy się.

— Tu, na rynku?

— A gdzie wasan chce?

— Nie, moi kochani, zgoda musi być robio-

na pod dachem i przy szkle. O suchej gębie jeszcze nikt porządnej zgody nie zrobił.

— To chodźmy pod „Łabędzia”.

— Owszem, idźcie, ja tam nadejdę, tylko muszę się jeszcze z jednym człowiekiem zobaczyć.

Rozeszli się.

Waszątek zniknął między licznymi wozami na rynku, żydzi rozbiegli się w różne strony. W dniu targowym czas jest dla nich bardzo drogi, każdy ma różne interesa. Kupno, sprzedaż, rozmaite tranzakcje, pożyczanie pieniędzy...

Ten ostatni rodzaj spekulacji został nagle zachwiany. Nie wiadomo skąd zaczęły się rozchodzić różne plotki, takie plotki, że nawet wiary im dać trudno; ale swoją drogą czarnobłoccy kapitaliści doznawali bardzo nie miłego wrażenia, tym więcej, że owe bajki, zamiast zmniejszać się i cichnąć, rosły. Powtarzano je nie tylko w Czarnymbłocie, ale i w Kopytkowie i we wszystkich okolicznych miasteczkach.

Berek Dyszel zapewniał, że mówili o nich bardzo solidni kupcy na stacji kolei żelaznej, a Mojsie Fisch, powróciwszy z Warszawy, dokąd jeździł w celu zakupu towarów, przywiózł wiadomość, że na Franciszkańskiej o tym tylko mówiono. To było najgorsze, że wszyscy mówili, iż coś ma być, ale właściwie nikt nie wiedział, co mianowicie.

Takie nieokreślone przykrości są właśnie najgorsze; człowiek, nie wiedząc, czego ma się spodziewać, nie może przygotować dostatecznych środków obrony. Glancman postanowił poświęcić się dla dobra ogółu i pojechać do gubernialnego miasta, aby tam zasięgnąć języka.

Wogóle nastrój umysłów był niespokojny i niepewny, nie wiadomo, czego się trzymać. Z tego powodu i na targu panowała stagnacja, kupowano zboże niechętnie i odrazu obniżono ceny.

Gdy chłop sprzedający dziwił się, skąd ten nagły spadek, odpowiadano mu, że takie czasy przyszły; i chłop ponosił kosztą niepewności, nie mogąc się dowiedzieć, jakie to są czasy właściwie.

Niejeden gniewał się i do rozmowy o interesach wtrącał nieprzystojne słowa, ale trudno. Nie można od chłopca wymagać elegancji, ani delikatności. On już bowiem z natury swojej jest grubiański i ordynaryjny.

Chociaż na rynku ruch był słaby, jednak „pod Łabędziem” stagnacja nie dała się uczuć, zwłaszcza w tych stancjach, gdzie gromadziła się tak zwana niższa populacja.

Już to niejednokrotnie Mojsie zauważył, że ceny zboża na targu wywierają pewien wpływ na interes szynkarski, ale że wpływ ten jest zawsze jednakowy. Jeżeli ceny są dobre, chłop pije z radości, jeżeli złe, ze zmartwienia, gdy średnie — z przyzwyczajenia. Tak więc, czy owak, na jedno wychodzi.

Małka siedziała prawie ciągle w sklepie i nie zaglądała wcale do pokoiów gościnnych. Od czasu licytacji w Zatraceńcu, była wciąż w złym humorze, a nawet, ku wielkiej radości Mojsia, zaczęła zaniedbywać się w ubraniu.

To jest bardzo dobry znak! Na dzień targowy nie wystąpiła w nowej sukni, ale w dość zniszczonym kaftanie, nie miała na sobie biżuterii. Mojsie postanowił w duchu, że z nadzieją wieczoru zakomunikuje wiadomość o tym fakcie Engelmanowi i obadwaj wspólnymi siła-

mi zacząć z niego snuć wnioski. Jest to bardzo przyjemne zatrudnienie, godne ludzi wyższego umysłu.

W drugiej stacji „pod Łabędziem” było pełno, a nad głowami unosił się gęsty obłok dymu z fajek, cygar i papierosów, coraz bardziej w modę wchodzących.

Wasząek siedział przy osobnym stoliku z kilkoma szaraczkami i popijał piwo, gdy nadbiegł zadyszany Jukiel.

— No, panie Walenty?—zapytał—róbmy koniec. Cały ten interes uprzykrzył mi się; więcej tracę czasu, niż to warto.

— Ja to samo powiadam.

-- Wasan to samo powiadał. Ja się dziwię. Wasan wciąż powiada, że zgoda, że dobrze, a pieniędzy wasan nie pokazuje. Takim sposobem nigdy nie dojdziemy do ładu!

— Owszem, ja choćby i dziś.

— No, to płać wasan.

— Akurat w tej chwili nie mam, ale spodziewam się, jest taki interes, że pieniądze będą i to niemałe pieniądze.

— Ale kiedy?

— Najdalej za kwartał. Nie mogę mówić jak, co, skąd, bo się boję zdrady; ale jeszcze Wasząek będzie pan, jeszcze sobie gruntu kawał kupi, dom postawi!

— No, no, niech wasan kupi, a tymczasem co będzie?

— Co tylko Junkiel zechce. Zgoda—owszem, proces—owszem, wasza wola!

Żyd ramionami wzruszył i odszedł.

— Słuchajno-no, Waluś—rzekł szwagier Wasząka, tuż obok niego siedzący — skąd na ciebie fortuna jaka ma spaść?

— Cicho, cicho, to jeno dla zadania myślunku żydowi tak się rzekło.

— I cóż ci z tego przyjdzie, mój Walusiu?

— Jedno z drugim nic, ale zawsze odwłoka. On dobrze wie, że ja przez całe życie moje po sądach chodziłem i może myśleć, że po prawdzie należy mi się trochę pieniędzy po ludziach. Będzie przepytywał, będzie szukał, a tymczasem dzień za dniem ucieka. Nie wadzi, że się żydowi trochę ślepie zamydli.

— Jednak może was prawować za te sprzedaże.

— Śmieję się, bracie, długa to historia! Niech prawuje, ale nie wiadomo, co wyprawuje. Już ja dobrze to sobie w głowie kalkulowałem i rozważyłem. Ma mnie zjeść, niech zje, ale przynajmniej niech sobie trochę zębów napsuje. Niech wie, że trafi się inszy człowiek twardy. Oto, widzisz, takiego panicza z Zatraceńca, to wnet zgryźli.

— Oj, zniszczyli go do nitki, to prawda. Już on się tu chyba w naszych stronach więcej nie pokaże, bo nie ma po co i wstyd jakoś na takiego kawalera świecić oczami po okolicy, gdzie się takie miało przeprawy.

— Prawda, kochana Małka ustroiła go ładnie, przyjaciółka!

— Wszyscy oni przyjaciele, póki jest czym płacić, a jak już widzą dno w mieszkach, to na nic nie zważają.

— Zawszeć to tak bywało—rzekł Waszątek— i po nas tak samo będzie. Pana zjedzą, chłopca zjedzą, tylko z nami, co nie jesteśmy ani panowie, ani chłopcy, trudniej im idzie. Ja im tam mojego mienia łatwo nie oddam, potańcują oni jeszcze kawał czasu, zanim do skutku dobiją, a że ja nie mam na tańcowanie forsy, to

obróciłem zawczasu kota ogonem, żeby oni musieli tańcować i pieniądze z kieszeni wykladać. Co dalej będzie, to będzie, ale zawsze ta choć człowiekowi pociecha, że się im sprawę zamaściło, kapusty narobiło i że muszą teraz dobrze łbami kręcić i dużo na kosztą wydać, zanim przyjdą do czego.

— Niewielkać to, mój Walenty, pociecha!

— Jak dla kogo; dla mnie wielka. Jak ja widzę, że taki niedowiarek tańcuje, to mi ja-koś na sercu lżej.

Tego dnia Wasążek bardzo się do szwagra swego rozczulał, gawędzili obszernie, nawzajem honory sobie świadcząc, pomimo, że nieraz bywały pomiędzy nimi procesy i spory zawzięte byle o co.

Atoli taki Wasążek, jako i jego szwagierek, jedną mieli zasadę, a mianowicie: że w rodzinie klócić się można, ale niechby kto obcy jednego z familiantów zaczepił, to wtenczas, choćby i powaśnieni, choćby nawet w kłótniach będący, powinni za „familiantem” stanąć, jak mur, i bronić go całą mocą.

Tak i teraz było. Walenty, porywczy i do kłótni pochopny, niebardzo się z bliską zadawał rodziną, ale kiedy widział, że z nim źle być może i postanowił drogą symulacji żydom windykowanie należności utrudnić, wszyscy szwagrowie i bracia najchętniej w tym mu pomagali i liczyć mógł napewno, że go żaden nie zdradzi.

— I wilk w pojedynkę nie straszny — miał często Wasążek — a w gromadzie niech Bóg broni go spotkać.

Po południu na targu Jukiel Wasążkowego szwagra zaczepił pytaniem:

— Czy wasan słyszał, co Walenty mówił do mnie „pod Łabędziem?”.

— Słyszałem.

— Co wasan myśli, czy to może być prawda, czy też łgarstwo jest?

— Może być i tak i tak.

— No, przecież wasan szwagier jest, powinien wiedzieć. Jak się wasanu zdaje?

— Widzi Jukiel, to tak. Walenty dużo procesów miał — i swoich i za cudzymi, bywało chodził, bo nie ma co mówić, głowacz to wielki do takiej roboty. Wyroków u niego pełna skrzynia, to też i nie dziw, jeżeliby gdzie jeszcze jakie należności miał.

— Naprawdę?

— A juści...

— A wasan nie wie, jakie to należności?

— O, żebym ja wiedział, tobym zaraz i swojego dochodził, bo to my ze szwagrem różnych starych rachunków mamy dość. Prawowanie pomiędzy nami było nie jedno i nie dwa — ale nie wiem. Przypominam ja sobie, że on przy parcelacji paru majątków się kręcił, kupców na grunt sprowadzał, porękawiczne duże miał dostać. Nie dostał. Procesował, sprawę wygrał, na hypotekę wszedł. Moznaby spenetrować, żeby czas był, ale w naszym stanie biednym od gospodarstwa trudno się oderwać, a po drugie, jeżdżenie po miastach, szukanie, to koszt znaczny... Ale wypłynie to kiedyś na wierzch, jak oliwa, a wtenczas ja swoje odzyskam. Nie będę pytał, że to szwagierek, jeno stanę, gdzie trzeba i powiem: oddaj no, kochaneczku, co moje...

Jukiel zamyślił się, a szaraczek, westchnąwszy głęboko, dodał:

— Wiadomo, że różnie się z ludźmi dzieje

na świecie; dziś człek może być na wozie, jutro pod wozem, a pojutrze znowu na wozie. Może nie?

— Bywa, rozmaicie bywa — odrzekł Jukiel — ale częściej źle, niżeli dobrze i trzeba się dowiadywać.

Gdy już targ się skończył i rynek opustoszał, zaczęli z różnych stron miasteczka, z różnych uliczek i domków, schodzić się finansisci czarnobłoccy. Może nadeszła jaka świeża wiadomość, może kto otrzymał list, może się choć cokolwiek położenie wyjaśniło. Zanadto poważna jest sprawa, aby długo mogła trwać niepewność.

Uszer Engelman powiedział, że przyszedł strach, który wstrząsnął każdym obywatelem czarnobłockim szczegółowo, a całym Czarnym-błotem wogóle.

Wprawdzie plotka głosiła, że coś nieprzyjemnego zagraża tylko lichwiarzom, ale lękali się wszyscy.

Dziś takie czasy paskudne, że kto bierze tylko pięć kopiejek od rubla tygodniowo, także nazywany jest lichwiarzem!

Wszyscy dążyli na rynek, aby się czegoś stanowczego dowiedzieć i życzenie to spełniło się do pewnego stopnia. Jankiel Bas otrzymał list bardzo ciekawy. Pismo było niedługie, lecz nader interesujące i pełne treści, tak dalece, że przeczytawszy je, Jankiel natychmiast udał się na rynek.

Szedł, jak zawsze, powoli, małomówny i majestatyczny, czapkę na tył głowy nasunął, z pięknej porcelanowej fajki dym puszczał.

Wnet zebrała się koło niego gromadka współobywateli; każdy bowiem z miny Jankla poznał i odgadł, że człowiek ten coś ważnego ma do powiedzenia.

Gromadka powiększała się szybko, bo już oddawna w Czarnymbłocie taki jest obyczaj, że gdy czterech żydków rozmawia na rynku, to do każdego z nich przyłącza się także po czterech i do każdego z tych przyłączonych znów czterech i tak dalej, dopóki wszyscy mężowie pełnoletni nie uformują wielkiego zgromadzenia.

Tak było i w tym wypadku. Jankla Basa otoczyła okazała gromadka słuchaczy, uważanych, baczących, chciwie połykających każdy wyraz, pomimo, że smak tych wyrazów był niezmiernie gorzki, kwaśny i przykry.

Czego człowiek nie przelknie!

Otóż Jankiel Bas potwierdził, na podstawie otrzymanego listu, że chociaż w szkaradnych plotkach, jakie rozpuszczono, jest część przesady, fałszu, ale jest również znaczna część prawdy; że dziś interesy finansowe, które były niegdyś bardzo przyjemne i korzystne, przybierają charakter śliski i niepewny; że jeżeli dotychczas kapitalista ryzykował, iż może natrafić na niewypłacalnego dłużnika, to obecnie ryzykuje, że może natrafić na sąd, na sprawę, na utratę zysku i w dodatku na kryminał.

Gdy Jankiel to oświadczył, zrobił się wielki krzyk.

— Co? jak? dlaczego? — pytano ze wszystkich stron.

— Dziwne pytanie! A wiecie wy dlaczego deszcz pada?

— Deszcz? Co nam do deszczu?

— No, widzicie, on pada dlatego, że... pada!

— Jest zupełna racja — rzekł Uszer Engelman. — Nam się nie podoba, że woda z góry cieknie i na nosy nam kapie, ale wodzie to jest zupełnie wszystko jedno.

— Wcale nie ma racji! — zawołał Glancman. — Uszer się myli.

— Uszer?

— Jakto? Nasz Uszer, taki myśliciel, pierwsza głowa na całe Czarnebloto, miałby się mylić?

— Tak jest myli się. Mowa o deszczu. Bardzo dobrze, deszcz pada. Niech sobie pada, skoro nie możemy go powstrzymać, ale kto wam broni ukryć się na ten czas pod dachem, albo sprawić sobie porządny parasol?

— Racja, wielka racja! — zawołał.

— Pięknie powiedział Glancman — rzekł Uszer spokojnie — chociaż tego, co rzekłem o deszczu, bynajmniej nie obalił. Swoją drogą, słowa Glancmana byłyby jeszcze piękniejsze, gdyby zechciał ukazać nam, gdzie jest ów dach, albo z czego można zrobić parasol, mogący zasłonić od nieprzyjemnej i niepożądaney wilgoci? Dopóki nam tych wskazówek nie da, słowa jego będą tylko słowami.

— Prawda, prawda! — odezwano się w gromadzie. — Dajcież nam dach, dajcie parasol!

— Jabym sądził — odezwał się Mojsie Fisch — że jest jeden niezawodny sposób uchronienia się od tej zimnej wody, która niejednemu może wlać się za kołnierz... Sposób doskonały, niezawodny, a taki pewny, że już pewniejszego wynaleźć nie można.

— Słuchamy! Mojsie Fisch chce zostać naszym zbawcą!

— No, Mojsie, nie drożcie się, pokażcie nam tę perłę!

— Wycofać się całkiem z takich interesów i na przyszłość wcale się nimi nie zajmować. To jest sposób!

W zgromadzeniu zrobiła się cisza; trwała ona jednak bardzo krótko, ktoś krzyknął:

— Mojsie jest głupi!

Wykrzyk ten zaczęto powtarzać różnymi głosami, ku wielkiemu oburzeniu męża pięknej Małki. Chciał się bronić, nie pozwolono mu przyjść do głosu, usiłował pięknie przemówić, zakrzyczano go.

W zgromadzeniu zrobił się wielki gwałt i rejewach, wszyscy mówili jednocześnie, a ponieważ każdy pragnął, aby jego głos był słyszany, więc zrobiła się silna licytacja krzyku. Można było wyrozumieć tylko to, że rada Mojsia odrzucona została z powszechnym oburzeniem, że nikt nie myśli bynajmniej o odwróceniu deszczu, lecz każdy pragnie, żeby mu dano parasol. Przede wszystkim dobry parasol, a deszcz niech sobie pada, dopóki sam nie ustanie.

Jankiel Bas nakazał milczenie i uciszyło się zupełnie.

— Trzeba radzić — rzekł poważnie:—głów u nas nie brak.

— Kto ma radzić? —zapytano.

— Każdy, kto ma głowę, niech ją puści w ruch. Zamiast coby miał spać, niech myśli; zamiast coby miał jeść—niech myśli; kiedy będzie się znajdował w drodze—niech myśli. Nie sposób, żeby takie wielkie, takie powszechne myślenie miało pozostać bez rezultatu. Skutek być musi. Wiecie, o co idzie, wiecie, że będzie deszcz, więc, jak dobrze mówi Glancman szyjcie parasol.

— Tak—potwierdził Uszet Engelman—szyjcie parasol; niech was to nie zraża, że będzie on zrobiony z kawałków, taki jest znacznie mocniejszy i wytrwalszy, bo jeżeli na jaki ma-

teriał da się łąć, na tę łąć jeszcze łąć i jeszcze raz łąć, to oczywiście te warstwy będą o wiele mocniejsze, aniżeli sam materiał z nowości.

— Aj, aj! — odezwał się krawiec Mordka — nasz Uszer każdą myśl ślicznie sfastrygować potrafi. Na moje sumienie, on mówi, jak najlepszy krawiec!

— Ładny komplement! Mordka niech pilnuje swego fachu; jeszcze nie przyszedł czas, żeby krawcy sądzili słowa uczonych! — zawołał oburzony Mojsie Fisch.

— Tymczasem — odrzekł Mordko — prawo tego sądu przywłaszczają sobie... szynkarze!

— Cicho, cicho! Nie kłóćcie się. Nie jest to czas stosowny do prowadzenia bezowocnych sporów; lepiej oddajcie się wszyscy myśleniu. Wiadomo wam, że czas jest brzydki i że powietrze terazniejsze nie bardzo sprzyja delikatnym ludziom. Puszczajcie wasze głowy w gwałtowny ruch! — rzekł Jankiel Bas.

— Od początku świata tak było — dorzucił sentencjonalnie Engelman — że wykpiwaliśmy się od różnych, nieraz bardzo przykrych i nie miłych interesów, więc i teraz znajdzie się jakiś sposób.

Pocieszeni tą myślą, członkowie zgromadzenia zaczęli się rozchodzić do domów, a Jankiel zaprosił do siebie kilku co poważniejszych, oraz biegłych w prawie.

W tej liczbie był, oprócz kilku ludzi starych i doświadczonych, Glancman, Engelman, dwaj pokatni doradcy, tudzież Mojsie Fisch.

Ten ostatni nie cieszył się opinią wielkiego znawcy prawa, ani wogóle nie był uważany za tęgą głowę, ale na wszystkich zgromadzeniach

asystował, jako właściciel zajazdu pod „Zielonym Łabędziem”, a zarazem jako mąż Małki, która musiała mieć przecież o wszystkich ważniejszych sprawach, obchodzących miasto, dokładne relacje.

W zaufanym kółku rzeczoznawców toczyła się ożywiona dysputa, na której przede wszystkim zapadło postanowienie, ażeby wszystkie już zawarte interesy pożyczkowe kończyć i egzekwować co najrychlej. Chociażby nawet ze stratą, byle tylko był koniec.

Dawny system wychodzi z mody, trzeba stworzyć nowy.

Proponowano rozmaite.

Pożyczka na zwyczajny rewers jest źle widziana przez sądy, ale może być kupno i sprzedaż.

Dlaczego chłop nie ma być winien kapitałście miejskiemu za konia, krowę, lub za wóz?

— Dobrze — rzekł Mojsie — ale gdzie ukryje się procent?

— W koniu, albo w krowie..

— To ładne jest!

— Nie bardzo — rzekł Jankiel Bas — ludzie uprzedzeni gotowi wbrew prawdzie twierdzić, że koń nie jest koń, tylko nie całkiem wypłacona waluta. Oni gotowi są znaleźć procent nawet w koniu.

— Więc co robić?

— Ja wam powiem — rzekł pokątny doradca — procent należy schować w wyrok sądowy.

— Jakim sposobem?

— Mówię wam, że to najlepsze schowanie. Sąd może grymasić, gdy zobaczy weksel, rewers lub dokument prywatny; ale gdy mu się pokaże jego własny wyrok, to grymasić nie będzie, nie powie, że jest fałsz albo oszukaństwo.

— To prawda, ale chcąc mieć wyrok, trzeba wprzód mieć rewers.

— Bardzo łatwy na to sposób jest. Dawniej, gdy chłop żądał pieniędzy, braliście od niego rewers i interes był skończony, teraz weźmiecie wprzód rewers, ale pieniędzy nie dacie, aż zapadnie wyrok. W rewersie będzie napisane, że Maciek winien wam, dajmy na to, sto rubli, że pożyczył rok temu, że obowiązał się płacić procent mały, dwanaście od sta na rok i że nie płacił dotąd ani procentu, ani kapitału. Pozwicie Maćka do sądu. Maciek się stawi i przyświadczy, że to prawda.

— A jeżeli nie zechce?

— Jako nie zechce? Skoro mu pilno potrzeba pieniędzy, to wszystko zechce, co wy tylko zechcecie. Wszystko przyzna, podpisze. Zapadnie wyrok, uprawomocni się, wtenczas wypłacicie Maćkowi pożyczkę, a wypłacicie tyle, ile wam się podoba.

— No, no, dobry sposób!

— Bardzo dobry. Różne rzeczy można ukąsić, ale prawomocnego wyroku to już nikt nie ukąsi.

Wszyscy juryści czarnobłoccy zaczęli tę rzecz rozważać, ten i ów rzucił jeszcze jakiś projekt, ale ostatecznie odrzucono wszystkie, tylko ten jeden uznano za dobry.

Jakoż zapadło postanowienie ostateczne, które polecono obecnym rozgłosić i rozpowszechnić jak najszerzej, na rynku, w sklepach, „pod Zielonym Łabędziem”, wszędzie, gdzie tylko zgromadza się światek handlujący.

Postanowienie było bardzo lakoniczne; obejmowało tylko dwa punkta, a mianowicie: Wszystkie dawniejsze interesa jaknajprędzej likwido-

wać i kończyć, a nowych nie robić inaczej, jak tylko na prawomocny wyrok.

Takie hasło rozniosło się z ust do ust po całym Czarnymbłocie, takie hasło podane zostało przez pantoflową pocztę do okolicznych wiosek, do odległych zakątków, wszędzie, gdzie tylko mogą być interesy i finansowe tranzakcje.

I, co dziwna, także same, jednakowe zupełnie rozkazy dzienne, wyszły z Kopytkowa, z Białogłota, ze wszystkich centrów, dokoła których grupują się wsie, folwarki, małe wioski i kolonie.

Słusznie Uszer Engelman podziwiał misterne świata urządzenie, słusznie zachwycił się kunsztownym jego mechanizmem, bo jak ani jedno ziarno zboża, ani jedno jajko z chłopskiej zagrody nie wydobędzie się na świat, nie zawadzwszy o miasteczko, tak mądre słowo z miasteczka po owych kołach i kółkach, splecionych misternie, niby po drucie telegraficznym, przebiega po całej okolicy i daje delikatny „wink”, jak mężowie mądrzy postępować mają, aby tę misterną siateczkę jeszcze bardziej zadzierżgnąć, zacisnąć i umocnić; ona albowiem musi być mocna i dobrze zadzierżgnięta, bo inaczej cały porządek świata byłby zagrożony; delikatność rozumu nie mogłaby panować nad grubą siłą chłopskich pleców, a ludzie uczeni, myśliciele wielcy, musieliby narówni z ordynaryjnym plebsem stanąć do takiej roboty, która jest uciążliwa i poniżająca.

ROZDZIAŁ XVII,

w którym po raz ostatni widzimy Michała Borutę i innych dobrych znajomych, oraz w którym jest parę mądrych zdań Uszera Engelmana.

Żniwa już były na ukończeniu, ostatnie kopy zwożono do stodół lub układano w sterty; wszędzie po wioskach panowała radość, bo urodzaj był dobry, więc ludzie się cieszyli, że chleba im do nowego wystarczy, a jeszcze i na sprzedaż zostanie. Ale największa radość była w Brzozówce.

Ciotka Gertruda święciła swój tryumf. O Różańskim nie wspomiano już wcale, natomiast pan Stanisław przyjeżdżał bardzo często, jako narzeczony Zosi.

Postanowiono, że ślub odbędzie się na jesieni i ciotka zajęła się przygotowaniem wyprawy, szło jej to bardzo szybko i bez żadnych trudności.

Od brata na ten cel nie chciała przyjąć ani grosza.

— Przepraszam, panie bracie—mówiła—ale byłabym bardzo lichą gospodynią, gdybym przez tyle lat nie potrafiła zebrać na dwie skromne wyprawy. I to panu bratu wiedzieć trzeba, że obie dziewczęta dostaną porówno, tyleż wszystkiego Jadwinia, ile Zosia; a jak im jeszcze w dzień ślubu trochę pieniędzy dam, to się chyba brat nie rozgniewa?

— Pani siostrze, ktoby się na panią siostrę gniewał? Zaczyna kobieta jesteś z kośćcami!

— Swoją drogą nie chciałeś mojej rady słuchać i byłbyś dziecko zmarnował.

— Nie mówmy już o tym. Chciałem jak najlepiej, byłem w błędzie, przepadło!...

— Tak, bracie, nie ma o czem wspominać. Cieszymy się raczej, że nasza Zosia będzie szczęśliwa. Chłopiec uczciwy i dzielny, pracy się nie ulęknie, a kochają się! Panie bracie, jak oni się kochają, to coś nadzwyczajnego!

— Jak młodzi. Cóż w tym za dziw?

— Właśnie, że dziw, bo dobrali się, jakby w korcu maku dwa ziareczka. Ja od pierwszego wejrzenia, gdy Staś pierwszy raz był u nas, zrozumiałam, przeczulałam, że to się dobrze skończy, tak mi się przynajmniej wydawało. Iniechże mi kto powie, że nie ma przeczuc? Owszem są, tylko trzeba mieć serce. Kto kochać nie umie, ten i przeczuc nie potrafi. Tak się to przedstawia w mojej kobiecej głowie, ale mniejsza o to. Widzisz, panie bracie, od czasu, kiedy zgodziłeś się na to małżeństwo, widzisz dokoła siebie samo szczęście. Zosia, Jadwinia, ja, nie mówię już o Stasiu i jego matce. A ty, panie bracie, przyznaj, że jesteś też szczęśliwy. I czemuż to pan brat marszczy brwi tak srogo, kiedy w gruncie rzeczy serce ma napełnione radością? Wydajemy córeczkę nie za magnata, ale wydajemy ją dobrze, bo za człowieka, a jeżeli tak o kawalerze powiedzieć można, to już bardzo wiele; wierz mi, panie bracie, że wiele nadzwyczaj wiele...

— Ja nie przeczę, owszem, ale moja sestro, dlaczego on się przy tej służbie upiera? Co mu po tym? Zatraceniec jest do wzięcia, doskonały folwark, warunki bardzo dogodne, dorożyć się można. Ja przecież pieniędzy dam, ile będzie trzeba.

— Panie bracie, mógłby on i za swoje w tę

dzierżawę wejść, bo matka mu chce swój kapitał oddać, ale on nie ma ochoty, a Zosia za nic w świecie nie zgodzi się na to, aby w Zatraceńcu mieszkać.

— Cóż jej przeszkadza?

— Widać, że przeszkadza, kiedy nie chce. Mogliby łatwo inny dobry folwark znaleźć, ale naprawdę, po co?

— Jakto po co?

— Eh! korona z głowy nie spadnie, panie bracie, obowiązek nie hańbi. Zresztą tam jest dobry kawałek chleba; pensja nie wielka, ale gospodarstwo na Majdanie znaczy tyle, co nieduży folwarczek, można się inwentarza dochować i całkowite utrzymanie mieć. Kawałek chleba porządny, co się zowie. Niech pobędą kilku lat, a przez ten czas i jego mająteczek i Zosi posag wzrośnie, no, i my będziemy mieli ich blisko siebie. Bo mów ty sobie, co chcesz, panie bracie, ale zawsze ta Zosia, chociaż i za mąż wyjdzie i nazwisko zmieni, jednak dla nas będzie to ta sama Zosia, to samo dziecko, które się na naszych rękach wychowało, które tak serdecznie kochamy. I miło nam będzie mieć ją niedaleko, prawie przy sobie, widzieć niemal codziennie. A jeżeli się jeszcze wnuków doczekamy... A, bracie, ja o tym bez wzruszenia mówić nie mogę. Stara panna jestem, dzieci własnych nie miałam, ale zdaje mi się, że gdybym chociaż została ciotecznią babką, to... to... ech! niech lepiej nie doczekam, bo ja bym te bachory na nic pieśzczotami zepsuła.

Argumenty siostry przekonały Boreckiego, uznał ich słusność i postanowiono, że pan Stanisław pozostanie jeszcze przynajmniej na lat kilka na dotychczasowym stanowisku. Do-

mek w Majdanie nieduży, tylko cztery pokoje, ale na co więcej? Zosia utrzymuje, że sensu nie miał ten, kto pałace wymyślił; w takich bowiem wielkich salonach, jak stodoły, jest pusto i zimno; trzeba się w nich szukać, jak po lesie, a w małym domku drewnianym może być, jak w raju. W jednej połowie będą mieszkali państwo młodzi, w drugiej pani Zawadzka. Matka, jak matka, wszystkoby rada oddać dzieciom, chce sobie zatrzymać jeden pokoik, ale Zosia na to się nie zgadza. Mówi, że mama jest główną osobą w domu i musi mieć jak największą wygodę.

Dwa pokoje, te co nie dla mamy, są już prawie urządzone.

Pana Stanisława wyrzucono stamtąd, będzie chwilowo na komornym u matki, dopóki się wszystko nie ukończy. Ileż to się sesyj nad tym odbyło!

Ciotka Gertruda, pani Zawadzka, Zosia i Jadwinia ciągle miały konferencje nad tym, aby pokoiki wyglądały, niby pudełka od cukierków.

Co tam naznoszono firanek, serwetek, dywaników na kanwie wyszywanych, a co kwiatów!

Pod każdym oknem stały schodki, i to nie byle jakie, ale naumyślnie robione i malowane przez stolarza w miasteczku. Dopiero na tych schodach jaśniała kwiatami prawie cała oranżeria z Brzozówki. Zosia nie chciała tyle roślin zabierać, ale Jadwinia prosiła, nalegała prawie, zapewniając, że dochowa się nowych bardzo szybko. Zresztą, gdyby Jadwinia miała kiedy urządzać mieszkanie dla siebie, to Zosia jej część swoich kwiatów ofiaruje.

Domek na Majdanie przygotowany już był

na przyjęcie młodej pary; termin ślubu się zbliżał.

Ciotka Gertruda, widząc, że wyprawa Zosi jest już ukończona aż do najdrobniejszych szczegółów, zaczęła myśleć o strojach dla Jadwini i dla siebie. Jadwinia miała mieć na weselu suknię białą ze wstążkami i kwiatami, zaś ciotka postanowiła przywdziać strój wspaniały.

— To już trudno — mówiła do Zosi — nigdy w życiu nie ubiegałam się za strojami, nie myślałam wcale a wcale o elegancji, ale na twoim weselu chcę zabłysnąć. Niech ludzie wiedzą, że nie byle kto jesteśmy i że w razie potrzeby potrafimy się pokazać.

Dla tej idei przepatrzyła ciotka swoją szafę i wydobyła z niej staroświecką suknię jedwabną, barwy osobliwej, mieniącej się jak skrzydło kaczora.

Szwaczka, która szyla wyprawę, nadała tej szacie kształty współczesne, a przynajmniej zbliżone do współczesnych, zaś Dawid Gont, pierwszy krawiec na całe Czarnełoto i okolice, sporządził dla pana Boreckiego garnitur frakowy, w który włożył całą swoją umiejętność fachową, oraz zdolności dwóch młodych czeladników.

Wszyscy byli zajęci przygotowaniem do wesela, zakłopotani, zapracowani, oprócz narzeczonych.

Dla tych, jak się zdawało, świat nie istniał, zwłaszcza, gdy się znajdowali razem.

Co ich to obchodziło, że Jadwinia całymi godzinami rozmyślała nad kwestią jakiej wstawki, lub gałganka, że ciotka Gertruda zgromadza takie zapasy różnych smakołyków, jakby miała nimi nie gości weselnych, ale całe rzesze zgłodniałych nasycić; że pan Borecki, ku

wielkiemu oburzeniu Małki, puścił się w podróż do miasta gubernialnego, aby stamtąd winą sprowadzić; że cała służba była w gorączkowym ruchu, zapracowana, zajęta od świtu do nocy...

Nie zważali na to bynajmniej, jak gdyby obcy temu wszystkiemu; szeptali tylko nawzajem do siebie, ale co, o czym, tego nikt nie słyszał.

Jadwinia domyślała się, że zapewne o kochaniu i dziwiła się siostrze, że jest taka poważna.

— Gdybym ja była zakochana — mówiła do ciotki — tobym się śmiała, cieszyła i mój narzeczony musiałby być koniecznie wesóły, a ci siedzą tacy zadumani i poważni, jak dwa bociany na gnieździe i każą nam w to wierzyć, że są nadzwyczaj szczęśliwi.

— Co ty się tam znasz, dzieciaku! — odzwała ciotka — jeszcze czas -- i ty nie będziesz wiecznie roztrzepańcem, lecz nabierzesz powagi.

— Ale moja ciociu!...

— Czegóż jeszcze chcesz?

— Proszę cioci, gdy Zosia wyjdzie już za mąż, to czy ja mam mówić do pana Stanisława: panie Stanisławie, czy też „ty”?

— Naturalnie, że „ty”.

— Ja nie będę śmiała.

— Proszę, nie masz śmiałości? A może chcesz zachować powagę.

— Ja mam ochotę wytargać go za uszy, moja ciociu, za to, że jest taki nudny i ciągle wzdycha, ale także nie śmiem... Zresztą, zobaczymy.

W dzień wesela Zosi, zaraz po południu, wybrał się Rokita do Czarnegołota, aby tam

zobaczyć się z Chasklem, który jakby naumyślnie wyjechał.

Jakby naumyślnie, bo na dzień następny wyznaczony był termin sprzedaży całego dobytku Rokity.

Chłop nie wierzył, żeby to mogło przyjść do skutku, nie przypuszczał ani na chwilę. Kiedy baba zaczęła płakać i zawodzić, że ją z dziećmi na ulicę wyrzuca, że ją z wszystkiego mienia wyzują, pocieszał ją i próbował uspokoić, że Chaskla uprosi, aby ten fatalny termin odroczył.

— Już mu się do reszty zaprzędam—mówił—wszystko, co zechce tylko, dam, do najcięższej roboty się zaprzęgnę dla niego, niech mi jeno da siedzieć w tej chałupie. Dzieci podrosną, zaczną robić u ludzi, zbierze się grosza i wykupimy się kiedyś... Tymczasem niech tylko siedzieć da.. Chce z mojego gruntu dochód ciągnąć, niech ciągnie, jako i teraz ja i to przetrzymam... Będę go prosił, molestował, nuż uproszę...

Poszedł tedy chłop do Chaskla rano, poszedł go prosić, widocznie jednak przewidywał żyd, że tak będzie i chciał widzenia się z Rokitą uniknąć, gdyż jeszcze przed wschodem słońca do miasteczka wyjechał. Dowiedziawszy się o tym Rokita, zaraz z miejsca, nawet do chaty swojej nie wstępując, puścił się w drogę.

Szedł szybko, męczył się; pot grubymi kropkami spływał mu po czole. Od kilku dni, pod wpływem zmartwienia i niepokoju, chłop ten prawie nic nie jadł, ale głodu nie czuł; dręczyło go tylko niezmiernie, nie dające się niczym uspokoić pragnienie. W każdej wiosce przy drodze zatrzymywał się przy pierwszej studni,

jaką spotkał i pił wodę długo, chciwie, bez pomiarowania. Pomimo tego jednak pragnienie nie ustawało, gorączka paliła go, jak ogień, w gardle schło, w piersiach chwilami tchu brakło, w skroniach coś łomotało, jak młotem.

Kilkakrotnie miał chęć rzucić się na ziemię i poleżeć, ale jakaś siła szczególna popychała go naprzód; koniecznie chciał tego żyda widzieć, rozmówić się z nim, uprosić.

Przy rogatce w Czarnymbłocie zatoczył się i zachwiał na nogach. Ostatnim wysiłkiem dołócił się Rokita do szynkowni, wódki kazał sobie podać całą kwaterkę mocnej, najmocniejszej, jaka jest. Wypił duszkiem, rzucił kilka miedziaków szynkarzowi i wyszedł wzmocniony. Doznawał takiego wrażenia, jakgdyby płomień miał w piersiach, a przytem był tak blady, tak kredowo blady, że aż ludzie, patrząc na niego, stawali.

Chaskiel stał na środku rynku i rozmawiał z kilkoma żydami, gdy Rokita nadszedł i dotknął go zlekka w ramię.

Żyd się obejrzał.

— Co chcesz?! — zapytał opryskliwie.

— Chasklu, ja do was potrzebę mam — rzekł chłop pokornie.

— Ja do ciebie nie mam żadnej potrzeby, idź sobie!

— Chasklu!...

— No, no, słuchajcie-no — rzekł Chaskiel do żydów — ten chłop ma do mnie interes!.. Ładny interesant. No, co chcesz? Masz zboże do sprzedania, może konia, może bydłę? Owszem, daj, ja kupię. Ale ty nie masz nic do sprzedania; wszystko, coś miał, toś przemarnował, przepiłeś, czego teraz żadasz ode mnie?

— Chasklu, ja parę słów na osobności chcę wam rzec.

— Gadaj przy ludziach, ja nie potrzebuję żadnych osobności.

— Więc przy ludziach powiadam. Chasklu, miejcie litość nade mną, nad żoną, nad dziećmi, nie wyganiajcie z chałupy, nie marnujcie naszego mienia, ja was proszę. Proszę was, miejcie litość! Co chcecie, robić będę, odpracuję, odsluzę. Każdej roboty się podejmę, gdzie każecie, pójdę, jeno ostawcie w chałupie. Ona po ojcach i po dziadkach, jam się w niej urodził, w niej się dziątek dochował, był gospodarzem...

— Co ty chcesz, Michał!—wołał zaperzony Chaskiel — co ty chcesz? żebym ja ci zrobił prezent z takiej sumy? żebym ja ci podarował taki duży majątek? Co to, czy ja nie mam żony i dzieci, czy ja potrzebuję napychać ciebie pieniędzmi?

— Chasklu pofolgujcie... Toć Bóg najwyższy widzi, żem wam nic nie winien, że co wziąłem od was, tom w dubelt oddał pieniędzmi, zbożem, odrobił furmankami, żeście mnie jeno opętali na te kwitki, którem podpisywał, nieznawca na pismo i człowiek ciemny, niewiedzący. Chasklu, niechże się w was zbudzi sumienie, toć chociaż wy starego zakonu żyd, aleć Bóg miłosierny jeden dla nas wszystkich. Nie bądźcież kamieniem, toć proszę was i skomlę przed wami i schylam się, jak pies, Chasklu trzeba mieć litość!...

Żyd rzucił się jak ukąszony.

— Ty łajdaku! — wołał — ty pijaku! Ty powiadasz, że mnie się od ciebie nic nie należy, kiedy sąd przyznał, że się należy! Ty chcesz być mądrzejszy od samego sądu. Tyś zabrał

moje pieniądze, moją pracę, moją krew i żądasz, żebym ja tobie folgował...

— Więc nic od was nie uzyskam, nie uproszę, nie ubłagam, mam zginać marnie, jak robak... Chaskiell

Żydzi, otaczający Chaskla, śmiać się głośno zaczęli, rzucając różne uwagi w żargonie.

Bawił ich widocznie ten olbrzym, to uosobienie siły fizycznej, płaszczącej się w pokorze przed takim drobnym, wątłym żydkiem.

— Chasklu — powtarzał Rokita — więc nic nie uproszę, nic nie uzyskam?..

— Idź do cholery, ty pijaku, ja wcale nie mam przyjemności z tobą rozmawiać. Wynos się do diabła!..

Chłop wstrząsnął się, jak pies, gdy go zimną wodą obleją, mruknął przez zęby jakieś przekleństwo, a pięść jego zaciśnięta, z szybkością błyskawicy opisała łuk i niby młot żelazny ugodziła w skroń Chaskla.

Stało się to w jednym mgnieniu oka, żyd padł na ziemię bez ruchu.

— Gwałt! rozbój! — wrzeszczeli inni. — Ty lajdak! ty zbójca! Trzymajcie go!

Ale zbójca uciekać nie myślał, stał nieruchomy, jak głaz i wpatrywał się w leżącego, mrużąc:

— Chasklu, toć zgódźmy się przecie... Co chcesz, jak chcesz, odrobie...

Żydzi zaczęli Chaskla cucić, sądząc, że zemdłał; jeden pobiegł po doktora, lecz zanim ten przyszedł, znalazł się felczer, Icek, pochylił się nad leżącym, dotknął go i zawołał:

— Nie żyje!

— Nie żyje! Zabił! Zamordował! — wołali inni.

Zrobił się wrzask piekielny, a w chwilę

później tłum ludzi zgromadził się na rynku. Rozlegały się krzyki, przekleństwa, a Rokita stał wśród tej gromady, blady śmiertelnie, prawie nieprzytomny, może nawet nie rozumiejący, co się stało.

Rzucono się do niego, chciano bić, wiązać, ale chłop odepchnął najbliższych i stanął w pozycji obronnej.

Burmistrz spieszył na miejsce wypadku, a za nim kilku mieszczan; już mu powiedziano, co się stało.

— Tyś zabił? — zapytał Rokitę.

— Bóg świadkiem, nie chciałem, jenom go tracił, ręka ociężała z żalości. On mnie wpierw jeszcze zabił...

— Słyszysz pan, co ten zbrodniarz gada!... Chaskiel jego zabił! My jesteśmy świadki, my byliśmy przy tym!

— Weźcie go! — rzekł burmistrz do mieszczan.

Kilku silnych mężczyzn rzuciło się na Rokitę.

— Dajcie pokój, ludzie! — rzekł spokojnie — pójde z wami. Już czy tak, czy siak, zginąłem...

Wprowadzono go do izby, mającej okno opatrzone kratami żelaznymi i zamknięto. Zostawszy sam, rzucił się na podłogę i leżał, patrząc w sufit szeroko otwartymi oczami. Chciał myśli zebrać, ale nie mógł, plątały się one w jego głowie bezładnie, a w kilka godzin później, gdy burmistrz do spisania protokołu kazał go przyprowadzić, wstać już nie mógł; był nieprzytomny i mówił od rzeczy, a z urywanych słów można było rozumieć, że prosi o coś, obiecuje odrobić, zapłacić...

Nazajutrz odwieziono go do powiatowego

miasta, do szpitala, a stamtąd, po tygodniu, na cmentarz. Zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

W chwili, gdy Rokitę do aresztu prowadzono, już całe miasteczko wiedziało o zbrodni. Ze wszystkich zakątków, ze wszystkich uliczek dążyli mężczyźni i kobiety, dorośli i dzieci, aby zobaczyć ofiarę. Chaskiel leżał na ziemi nieruchomy i zimny.

Jankiel Bas, Glancman, Dawid Śliwka, Uszer Engelman, Mojsie Fisch rozpoczęli starania, aby ciało można było jaknarychlej uprzątnąć, aby sekcji uniknąć. Członkowie towarzystwa pogrzebowego przybyli z tragami.

Małka nie mogła przemódz ciekawości kobiecej, pobiegła także na rynek, aby zabitego zobaczyć, co ją jednak tak przeraziło, że przez kilka dni była jak nieswoja i w sklepie, pod wpływem tego wrażenia, omyliła się kilkakrotnie w wadze, dając funt za funt, bez ujęcia choćby drobnej cząsteczki. Ręce jej się trzęsły...

Wieczorem, kiedy się już trochę uspokoiło w miasteczku, a zwłoki Chaskla przeniesiono do budynku cmentarnego, gdzie miały do czasu przybycia sądu leżeć, Mojsie Fisch zaprosił Engelmana do siebie.

— Chodźcie, Uszer — rzekł — nie zaszkodzi wypić po szklance koszerne go wina, bo myśmy dziś dużo przeżyli.

Owszem, wcale nie zaszkodzi. Myśmy dziś widzieli rzeczy przykre, które spędzają sen z powiek i dają dużo do myślenia.

— Wejdźcie, proszę was, Uszer, siadźmy w pustej stancji, gdzie nikt nam przeszkadzać nie będzie i ulżyjmy sercom naszym, bo ciężko jest.

— Bardzo ciężko.

Przyniósł Mojsie butelkę i szklanki, nalał wino.

— Na spokój!—rzekł.

— Na zdrowie!

— Obyśmy mieli zdrowie i spokój! Oby oczy nasze nie patrzyły na zbrodniel Uszer, zdaje się, że jak Czarnebloto Czarnymblotem jest, jeszcze się nic podobnego nie zdarzyło.

— Ja nie pamiętam.

— Uszer, ja się boję.

— Czego wy się boicie, Mojsie?

— Chłopy są teraz bardzo harde. Oni się całkiem zepsuli, oni nie mają delikatności, ciężko żyć wśród takich zbrodniarzy. Dlaczego wy nic nie mówicie, Uszer?

— Ja myślę o tym wypadku.

— Cóż można myśleć? Zbrodniarz jest zbrodniarz.

— To prawda, ale prócz tego, ja mam jeszcze inne swoje kombinacje, mam w głowie takie smutne myśli, że tylko zapłakać.

— Ja się wcale temu nie dziwię, Uszer. Ktoby nie zapłakał, patrząc na taką brzydką, taką nieszczęśliwą przygodę? Kogo serce nie zaboli wobec widoku morderstwa? Co to jest?... Taki Chaskiel idzie za interesami, rozmawia, handluje... Naraz przychodzi chłop, uderza go i zabija. Czy to nie jest straszne? Czy sama wiadomość o podobnym zdarzeniu nie wywołuje dreszczu? Ja przynajmniej, gdym się dowiedział o wypadku, uczułem zimno, bardzo dotkliwe zimno w całych plecach.

— Posłuchajcie, Mojsie — rzekł Uszer — jesteśmy sami, możemy mówić swobodnie. Nie zaszkodzi, jeżeli w umiejętny sposób zaczniemy obrabiać ten wypadek. Najpierw w trzech

wyrazach opowiedzmy, co się stało. Niech to Mojsie sformułuje.

— Co tu formułować? Chłop żyda zabił.. Macie trzy wyrazy, najpaskudniejsze w historii naszego miasta.

— Bardzo pięknie. Zacznijmy tymi wyrazami obracać i przesiewać je przez przetak różnych zapytań i komentarzy. Chłop żyda zabił, dlaczego nie stało się odwrotnie? Dlaczego żyd chłopą nie zabił?

— Dziwne zapytanie. Dlatego, że żyd jest człowiek delikatny, nie grubianin, nie ma bydłego zdrowia, że jest człowiek handlujący, a nie rozbójnik. Czy wam to wystarcza?

— Owszem, a teraz postawmy takie pytanie: dlaczego chłop żyda zabił?

— Moja pierwsza odpowiedź, odwrócona do góry podszewką, może być odpowiedzią i na drugie wasze pytanie.

— Bardzo dobrze. Stoimy przytem, że chłop jest grubianin a żyd delikatny. Prawda, myśmy też żydzi, ja i wy — i też delikatni; pytanie, dlaczego chłop, broń Boże, nie zabił was, ani, strzeż Panie, nie zamordował mnie?

— Dlatego, że myśmy nie prowadzili z nim żadnych interesów.

— Wasza odpowiedź jest niezła, ale ma cołkolwiek feleru. Nie mówię o sobie, ponieważ mało zajmuję się handlem, ale mówię o was i o wielu innych, którzy prowadzą interesy z chłopami. Dlaczego oni nie są dotychczas zabici?

Mojsie nie odpowiadał.

— No, dlaczego? Odpowiedzcie.

— Ja nie wiem.

— Nie wiecie? Aj, Mojsie, wy wiecie, tylko nie chcecie powiedzieć? Chaskiel jest za-

bity, gdyż ciągnął z tego chłopu za dużo, gdyż nie dał mu żyć. Chaskiel był zanadto chciwy.

— Co wy mówicie, Uszer? To był spokojny żydek. On nic nie chciał, oprócz swojego. Żądał mieć swoją własność, swoją pracę.

— Aj, Mojsie, mówmy prawdę. Chłop jest grubianin, ale z niego można mieć dużo. On pozwoli brać, ale jeżeli się bierze zanadto, to on krzyczy, jeżeli jeszcze więcej, to bije.

— Uszer — rzekł Mojsie — wy dziwne rzeczy mówicie. Co to jest za dużo? Każdy chce brać tyle, ile może.

— Za dużo.

— A ile Chaskiel brał? Czy wiecie, czy byliście przy tym?

— Nie, ale domyślam się, że brał bardzo dużo.

— Co mógł brać? Pięćdziesiąt, osmdziesiąt, sto procent, niech sto dwadzieścia! Czy to nie praktykuje się wśród naszych żydków?

— Chaskiel brał więcej.

— Skąd możecie wiedzieć, że więcej?

— Bo jego ten chłop zabił. Darmo nie zabija się człowieka. Nawet taki cham, grubianin nie podniesie ręki na kogo, jeżeli nie ma do tego powodu. Ten chłop musiał mieć powód.

— Uszer!

— Co chcecie?

— Uszer, wy rzucacie na nas ciężki kamień!

— Prawda, ja go rzucam i płaczę nad nami!

— Nie rozumiem was!

— Stoi w piśmie, że zguba żydów wyjdzie od żydów. Mieszkaliśmy między różnymi dzikimi narodami. Z tych narodów nie pozostało nic, nawet imię, a my jesteśmy. Więc my nie zginiemy od obcych narodów; zginiemy od siebie samych i nasza chciwość nas zgubi. Oto

dzisiaj Rokita zabił Chaskla. Kto powie, że się tak stało?

— Każdy powie...

— Nie, Mojsie, nie każdy powie, że chłop zabił żyda... Rozumiecie wy, co to znaczy? Aj, Mojsie, wy macie małego syna — uczcie go, żeby on nie był zbyt chciwy. Niech nie drze za dużo, bo napisano jest, że zguba żydów od żydów idzie, od żydów wyjdzie. Wy to sobie do głowy weźcie, Mojsie, ja was proszę, a proszę was dlatego, że chciałbym, aby nasze miasteczko kwitnęło w spokoju, w handlu, nabożności...

Długo Engelman rozprawiał na ten temat, Małka już oddawna spać poszła, sklep zamknięto, a dwaj przyjaciele jeszcze gawędzili.

Dopiero, kiedy zegar wydzwonił północ, filozof czarnobłocki podniósł się z ławy.

— Czas już iść — rzekł do Mojsie.

— Spać?

— Nie, nie mógłbym zasnąć przy takich ciężkich myślach.

— Dobranoc wam, Uszer.

— Dobry rok, Mojsie!

.....
Upłynęło kilka lat.

Czarnebloto jest takie same, jak dawniej, tylko na kirkucie przybyło kilkanaście nowych słupków, w brudnych izbach znaczna ilość kołysek, a warstwa śmieci proporcjonalnie zgrubiała.

Obliczono, że na sześń śmieci, trzeba trzech dziadków.

Mojsie Fisch, Jankiel Bas, Dawid Śliwka, Hil Glancman, Uszer Engelman, ci najpierwsi na całe miasto obywatele, żyją w dobrym zdrowiu, tylko postarzelili się cokolwiek. Srebrne

nici wplątały się w ich brody, padły na skronie, niby szron zimowy.

To srebro dostaje się ludziom w udziale za wysługę lat, ono wskazuje, że mąż dojrzewa, niby gruszka z drzewa, może niebawem spaść na ziemię, aby więcej nie powstać.

Mojsie Fisch twierdzi, że taki srebrny patent dostaje się ludziom darmo, dlatego, że za pieniądze nikt by wykupić go nie chciał.

Cały kahał uznał, że Mojsie Fisch ma rację, że powiedział, przypadkiem zapewne, mądre słowo.

Małe bachorki, wyszedłszy z kołysek, wrażały na pociechę ojców i matek. Abramek Mojsia robił się coraz piękniejszy, głowę miał ostrzyżoną — y samej skórze, a od obu skroni zwieszały mu się na twarz dwa śliczne, czarne, lśniące, aksamitne pejsy, niby dwie pijawki dobrego gatunku, które już się dobrze krwi nassały i zamierzają lada chwila odpaść.

Mądre to dziecię; jeszcze dziesięciu lat nie doszło, a już było biegłe w prawie i umiało na pamięć wszystkie przyczyny, dla których mąż może żonie dać rozwód.

Małka pyszniła się swoim synem. Może ze względu na jego zdolności nadzwyczajne, na nabożność Mojsia, na zasługi przodków, diabeł z Małki wyszedł, jak się zdaje na zawsze.

Jak się zdaje, bo kto może ręczyć za przyszłość, za kobietę i za diabła? Spółka rozwiązana chwilowo może znów przyjść do życia.

Tymczasem zerwanie było widoczne.

Małka zaniedbała się zupełnie w elegancji. Na miejsce Różańskiego przybył do Zatraceńca dzierzawca, człowiek stary, nudziarz, któremu, jak się zdawało, życie obrzydło.

Do kogo było się stroić? Małka, widząc,

że to się nie oplaca, przestała się myć i zaczęła chodzić prostymi drogami, co znać było na jej przydeptanych trzewikach i spódnicy tak zaszarganej uczciwie, że i stara Rypsowa nie mogła się taką pochwalić. Miejsce gorse-tów i staników do figury zastąpił kaftan, bogaty w plamy od oliwy i nafty.

Mojsie był w siódmym niebie; rozkoszował się myślą, że nareszcie ma naprawdę żonę według serca, bez głupich fanaberii i bez zalotności diabelskiej, która uczciwemu mężowi spokój i sen odbiera.

O Rokicie mało kto już wspomina, tylko żydówki dzieci małe nim straszą.

Wasążek słowa dotrzymał. Za grzechy swoje wielkie poszedł kościołowi służyć, straszliwym basem pieśni nabożne śpiewa, w kościele usługuje, zakrystianem jest. Żonę sprowadził do siebie, ale w chałupie jego szwagier siedzi i grunt Wasążka obrabia. Jukiel głowę sobie łamie, w jaki sposób te różne symulacje zwalić, a szlachciura śmieje się tylko.

— Niech biorą — mówi — co chcą, ale niech sobie zębów nałamią, nim ukaszą. Miałem kapusty narobić i narobiłem — niech jedzą!

W Brzozówce dobrze i na Majdanie dobrze. Jadwinia ślicznie wyrosła, trochę spoważniała. Ciotka Gertruda o wyprawie dla niej myśli, bo bliski kuzyn pana Stanisława do Brzozówki zajeżdża i bardzo się Jadwini zaleca.

Borecki gospodaruje i cieszy się wnukiem, psutym, rozpieszczonym przez ciotkę. Malec wygląda jak bryś, a takie mądre ma oczy, takie mądre, że niesposób opisać.

Dziadowi Błażejowi zmarło się: pochowany jest w Zimnej Woli, na cmentarzu, pod samym

parkanem. Pani Zawadzka krzyż na jego mogile kazała postawić.

Jest noc letnia, po niebie płynie pełny księżyc.

W Czarnymbłocie przed domem siedzi samotnie Uszer Engelman. Rozmyślał on długo, o swoim miasteczku i zaczął modlić się za nie.

— Błogosławione — mówi — Imię tego, który nas umiłował; błogosławione Imię tego, który nas zachował; błogosławione Imię tego, który nam dał dziedzictwo świata.

A potem, cichym szeptem, jakby w obawie, żeby go kto nie usłyszał, dodaje:

— Panie świata! pohamuj chciwość ich! Panie świata! daj im pomiarkowanie i rozum! Panie świata! ukróć żarłoczność ich, aby nie sprawdziły się słowa, że zguba nasza od nas samych wyjdzie.

KONIEC.



Biblioteka Dobrych Książek

ŁOMŻA, UL. STEFANA OKRZEI 13.

w roku 1936-ym wydała powieści następujące:

Klemens Junosza: „Pod wodę”.

Antoni Skrzynicki: „Wierzę”.

Janina Maria Chojcka: „Opętańcy”.

Jadwiga Ziółkowska: „Fale Bałtyku” (2 tomy).

Pierre l'Ermite: „Kobieta z zamkniętymi oczami”.

Jan Szczepkowski: „Przez prerie i puszcze”.

Zofia Topińska: „Na zatracenie”.

Czesław Xawery Jankowski: „Sto procent”.

Klemens Junosza: „Czarne błoto”.

Ks. Karol Wisemann: „Fabiola” (2 tomy).

Cena każdego tomu 1 zł.

Komplet 12 tomów tylko zł. 10.

Uwaga na adres: ŁOMŻA, UL. OKRZEI 13.

w Warszawie: Skład główny w księgarni

„KRONIKI RODZINNEJ”, ul. Podwale 4.